

MAŁGORZATA MUSIEROWICZ

OPIUM W ROSOLE

Niedziela 30 czerwca 1983

W nocy spadł olbrzymi śnieg.

Teraz, w południe, niebo było już czyste: wysokie, szafirowe i pełne chwały. Mróz jak triumfalne solo na piszczałce przeszywał powietrze, a słońce z euforią krzesło w płaszczyznach śniegu całe chmary zimnych, tańczących, oślepiających płomyczków człowiek czuł się aż niepewnie, dostając za darmo coś tak świeżego, czystego i bezinteresownie pięknego - w tak dużej przy tym ilości. A w ogóle - czy uczciwa osoba ludzka ma prawo tak bezmyślnie cieszyć się urodą świata, który w tej samej przecież chwili zawiera w sobie tyle cierpień, okrucieństwa i zła?

Tym mniej więcej torem biegły myśli Maćka Ogorzałki, kiedy tak sobie stał po kolana w zaspie, przed kościołem Dominikanów, w oczach wciąż jeszcze mając obejrzaną przed chwilą Czarną Szopkę. Stał sobie, oddychał głęboko, patrzył na śniegowe iskry, mrużył powieki i myślał, że przeżywa oto jeden z tych niezwykłych i cudownych dni, kiedy się wie na pewno, iż Wszechświat pełen jest absolutnego piękna i doskonałej harmonii, a wszelkie zło i brzydota są tylko dodającą smaku przyprawą, jak szczypta soli w słodkim cieście.

Naturalnie, wie się te rzeczy również w dni pochmurne i słotne, lecz jakby z mniejszą oczywistością. Ciekawe dlaczego.

Ruszył z miejsca i poszedł po skrzypiącym, migoczącym, bielutkim śniegu - wysoki, zgrabny chłopak o bardzo ładnych oczach i bardzo czerwonych uszach. Mroźny wiaterek igrał z jego bujną, jasną czupryną, bo noszeniem czapki Maciek nie zhańbił się jeszcze nigdy w życiu, od czasów niemowlęstwa, rzecz jasna. Powietrze było dziś jak kryształ, gdyż ruch kołowy w Poznaniu po prostu zamarł z powodu nieprzewidzianych opadów śnieżnych, toteż Maciek oddychał sobie z przyjemnością i czuł się tak, jakby go kto systematycznie napełniał gazem rozweselającym. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że odruchowo prostuje zgarbione plecy i wyżej unosi zwieszoną dotąd głowę.

Śnieg iskrzył, słońce się jarzyło. Zastanawiając się nad dziwnym wpływem aktualnego stanu ducha na mięśnie szyjne człowieka, jak również analizując czynniki psychiczne motywujące zwieszanie głowy, bądź jej podnoszenie, i wreszcie dochodząc do wniosku, że przyływy nadziei mają bezpośredni związek ze stanem kręgosłupa ludzkiego i na odwrót - Maciek Ogorzałka dotarł do przejścia dla pieszych, na którym nie zabawił ni chwili. Jezdnia była jak wymarła, wszędzie pusto, cicho i białe, więc

przeszedł ulicę Stalingradzką na ukos. Zanim wszakże dotarł do przeciwległego chodnika - zorientował się, że ktoś go, cholera jasna, śledzi. Obejrzał się.

Dzieciak. W dodatku dziewczynka. Dziwaczna jakaś, o ile on się znał na dzieciach. Drobna była i chuda, nóżki miała jak zapalki, buzię brzydką - wyrazistą i komiczną, z oczkami jak czarne wiśnie i plackowatymi rumieńcami w kolorze malin. Rozciągając usta w szerokim uśmiechu, szła teraz za Maćkiem krok w krok i wymachiwała rękami. Unosiła ramiona lub nimi wzruszała, a przy tym co jakiś czas wybuchła monotonnym, rozdzierającym kaszlem, brzmiącym tak, jakby miała zamiar wycharczeć z siebie płuca.

Do Maćka dotarła irytująca prawda, że dziewczynka go przedrzeźnia. Tak jest. Bez najmniejszych wątpliwości. Przedrzeźniała jego sposób chodzenia. Oczywiście, wiedział o tym, że idąc kołysze się na boki i zbyt mocno wymachuje rękami. Brat mu o tym powiedział. Ale to nie znaczy, że przyjemnie mu było wieść za sobą swą własną parodię.

W osiemnastym roku życia Maciek wyrósł bujnie a nagle. Kiedy patrzył na swoje ręce, zdumiewało go, że są takie długie, a to samo dotyczyło nóg, które, oczywiście, były jeszcze dłuższe. Maciej Ogorzałka - romantyk o charakterze eksplozywnym i dość znacznie rozbudowanej ambicji - uważał, że niestety cholerny los skarał go tym wzrostem, że wygląda jak Alicja w krainie czarów po zjedzeniu wiadomego ciasteczka i że jest teraz, krótko mówiąc, dziwacznie nieproporcjonalny. Nie był. Sylwetkę miał, że daj Boże każdemu, a do tego twarz Kmicica, nos orli, uśmiech ujmujący, a wejrzenie uczciwe i śmiałe. Co zaś do jego sposobu bycia, cechował się on nieco przesadną powagą i godnością, którymi Maciek starannie rekompensował swe wyimaginowane defekty.

Zmarszczywszy teraz czarne brwi. Maciek wzruszył ramionami i przyspieszył kroku. Dotarł do końca zadrzewionego skweru, przez cały czas jednak słyszał za sobą zimny śniegowy chrzęst oraz rzęzący kaszelek, który rozlegał się z nieprzyjemną monotonią co kilkanaście sekund. Smarkata utrzymywała doskonałe tempo. Niesamowity dzieciak. Przez cały czas udawało się jej zachować stałą odległość od Maćka - pięć metrów, mniej więcej. Z tej też odległości małpowała każdy jego ruch. On w prawo - ona w prawo. On w lewo - ona też. On przystaje - ona jak wmurowana.

Odwrócił się ku niej gwałtownie. Stanęła jak wryta. Umknęła wzrokiem. Najpierw spojrzała w niebo, potem na ośnieżone koronkowe drzewa, zakaszlała gromko, jak woźnica, splunęła i z zajęciem poczęła oglądać własne buty.

„Skończymy teraz z tym idiotyzmem - pomyślał twardo Maciej Ogorzałka. - Złatwimy sprawę po męsku, cholera jasna psiakrew!” - Wbił w dziewczynkę spojrzenie surowe i ostre. Prędzej czy później będzie musiała na niego spojrzeć, a wtedy pojmie wszystko z wyrazu jego twarzy.

Popatrzała... Takie figlarne, złośliwe zerknięcie, jakby lada moment miała wybuchnąć śmiechem. Ich oczy się spotkały i Maciek przez sekundę miał wrażenie, że mała raczej go lubi. Jednak natychmiast potem zrobiła tak ohydna minę, że przeszły go ciarki. Czując się jak w sennym koszmarze, Maciek wykonał zwrot na pięcie i szybko ruszył przed siebie. Przebył z chrzęstem zaśnieżona, skrząca się jezdnię i pospieszył stromym chodnikiem wzdłuż Teatralki. Miał nadzieję tu właśnie się urwać. Były na to pewne szanse.

Stawiając wielkie kroki i posuwając się naprzód tak szybko, jak tylko mógł bez posądzenia o chęć ucieczki, Maciek pomyślał, że samopoczucie i obraz świata kształtują się, psiakrew, w dziwnej zależności od nieoczekiwanych drobiazgów. Na przykład, jeszcze dziesięć minut temu snuł jakieś mrzonki na temat doskonałej harmonii we Wszechświecie. Teraz mu przeszło. Jaka znowu, psiakrew, doskonała harmonia, skoro - niedaleko szukając - tuż za nim posuwa się dysonans tak zgrzytliwy, jak ta ohydna ze wszech miar smarkula?

Znaleźli się teraz w okolicach Teatralki - malowniczy ten skwer położony jest na zboczu wzgórza, którego szczytem przebiega ulica Fredry. Samo wzgórze ze swym ostrym spadem i długim odcinkiem łagodnej pochyłości nadaje się do wielu rzeczy: do biegów, do sadzenia begonii, do czynów społecznych, najlepiej jednak - do saneczkowania. Dziś, w tak wyjątkowo śnieżną i słoneczną pogodę, kłębiła się tu nieprawdopodobna ilość dzieci, odzianych w charakterystyczne dla naszych czasów czerwone i szafirowe ortalionowe kurteczki o jednakowym z grubsza kroju. Dzieci te, nadające śnieżnemu wzgórzcu dość monotony kolorystycznie wygląd, oddawały się w zasadzie trzem typom zajęć: albo czekały z sankami na swoją kolej albo właśnie zjeżdżały, albo już zjechały i teraz mozolnie pięły się pod górę boczkami trasy. Po białej stromiźnie zsuwały się bezustannie coraz to nowe kohorty sanek, wyładowanych kwiczącymi rumianymi postaciami. Tu i ówdzie gburowate wyrostki ślizgały się na obcasach, strasząc grzecznych malców i rozdzierając powietrze ochrypłymi rykami, od czasu do czasu jakiś dzielny narciarz z przerażeniem wypisanym na buzi szusował heroicznie w dół, a na szczycie wzgórza przytupywało zziębnięte, wierne, wytrwale wyczekujące stadko rodziców. Było ich dzisiaj tylu, że gromadzili się nawet na chodniku w sposób

zagrożający porządkowi publicznemu i politykowali sobie dla przetrwania tych mroźnych godzin nudy.

Maciek przeszedł pomiędzy stojącymi - swobodny i odprężony. Nie musiał już oglądać się za siebie. Szóstym zmysłem wyczuwał, że zgubił smarkulę na dobre. Spokojnie więc minął tor saneczkowy przebył Most Teatralny, dotarł do ulicy Roosevelta - i tu dopiero poczuł w plecach jakby mrowienie. Spojrzał nerwowo. Już była.

Musiła chyba przegalopować na ukos całą Teatralkę. Teraz - pękając ze śmiechu, dysząc, kaszląc i smarkając, cała w rumieńcach od biegu po mrozie, deptała mu niemal po piętach, pełna nowego zapału.

Coś w Maćku jakby eksplodowało z oślepiającym błyskiem. Skoczył ku niej w ostatecznej furii, nie wiedząc, co czyni i co chce jej uczynić - ale ona była szybsza, oczywiście. Wpadła do bramy najbliższej kamienicy i przytała się gdzieś w jej mrocznej czeluści. No, nie. Nie będzie przecież ganiał dziewczynek po bramach.

Od kamienicy numer pięć, gdzie mieszkał, dzieliły go jeszcze dwa domy. Maciek obejrzał się błyskawicznie i jak ścigany pobiegł przed siebie co sił w nogach. Wskoczył do bramy, zatrzęsął ciężkie drzwi o kobaltowych szybkach i oparł się o nie plecami. Zaraz potem, strofując się i w duchu sam przed sobą się wstydząc, odchylił jedno skrzydło drzwi i ostrożnie wyjrzał na ulicę.

Dziewczynka stała w dziwnej pozie, pochylając się niemal do ziemi i ręce opierając o ugięte kolana. Przekręcała przy tym głowę w bok wpatrując się z uwagą w okna sutereny - i Maciek, który natychmiast schował się do bramy, miał dziwną pewność, że te okna należą akurat do jego mieszkania.

Kluski ziemniaczane, jak szary parujący kurhan, spoczęły na olbrzymim, niebieskim półmisku z przedwojennego fajansu. Pani Marta Lewandowska obłożyła je ze wszystkich stron kopiastymi porcjami kwaszonej kapusty, ugotowanej z listkiem bobkowym i kminkiem. Właśnie zaczęła wylewać na kluski skwierczący tłuszcz z skwarkami i cebulką - gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Ze spokojem dokończyła, co zaczęła. Poląła równiutko całą kluskową górę, sprawiedliwie rozłożyła skwarki - a tymczasem dzwonek się powtórzył. W chwili zaś, gdy pani Marta otarła dłonie ściereczką - zadzwoniono po raz trzeci, długo i natarczywie.

- Czemu nikt nie otwiera? - krzyknęła w stronę jadalni. Ale nie została usłyszana. Rodzina Lewandowskich kończyła spożywanie rosółu z wołowiny. Przy stole panował rozgwar i szczęk jak na polu bitwy. Sztućce zgrzytały o fajans, co chwila wybuchwały głośne spory, zrywał się huraganowy śmiech albo też po prostu wszyscy mówili jednocześnie, każdy o swoim, jak to w rodzinie. Zapewne nawet nie słyszeli dzwonka.

Pełna obaw, czy smakowite kluski nie wystygną, pani Lewandowska pospieszyła więc do drzwi wejściowych, marszcząc z lekka czarne brwi i odruchowo poprawiając uczesanie - ciężki kok upięty z czarnych, siwiejących mocno warkoczy.

Pani Marta była kobietą słusznej postury, toteż gdy otworzyła drzwi, wzrok jej zawisł na wysokości metra siedemdziesiąt, gdzie w powietrzu nie było nawet muchy. Dopiero na bąknięte gdzieś z dołu „dzień dobry” opuściła oczy i ujrzała na progu chudą, niedużą dziewczynkę. Dziecko mogło mieć ze sześć lat. Ustrojono je w drogi kożuszek, czerwony berecik z prawdziwego mohairu, takież puszysty szalik oraz eleganckie skórzane botki zagraniczne na grubej plastikowej podeszwie.

„Kto to widział tak stroić dzieciaka?” - pomyślała, oceniając wartość botków na mniej więcej półtorej mężowskiej pensji.

- Dzień dobry - odrzekła. - Czego chcesz, mała?

Dziewczynka podniosła na nią czarne oczy dygnęła i uśmiechnęła się szeroko, ukazując mnóstwo różnorodnych zębów i szczerb.

- Przyszłam na obiadek - oznajmiła. Pani Lewandowska zacukała się z lekka.

- Proszę? - wyrwało się z jej obfitego łona.- Na co?

- Na obiadek - powtórzyła dziewczynka z leciutkim zniecierpliwieniem i przełknęła ślinę.

Głodna jest! - mignął w umyśle pani Marty sygnał alarmowy.

Pani Marta była jedną z tych osób, które nie potrafiłyby z pewnością napisać pracy naukowej, ani też poematu, ale które za to bez wahania przygarną bezdomnego kota, bez narzekań wychowają gromadę dzieci, bez zastanowienia zajrzą do chorego sąsiada i bez niczyjej namowy przynosić będą zakupy bezradnej staruszce. Należała do tego cichego i niemal niedostrzegalnego gatunku ludzi, bez którego życie każdego społeczeństwa zmieniłoby się w istną dżunglę.

Przez cały czas rozmowy miała świadomość, że w kuchni stygnie wielka ilość klusek, a zimne kluski, skąpane w skrzepłym tłuszczu, mogą poważnie zaszkodzić nie tylko jej kulinarnej sławie, ale i żołądkom domowników.

- No, to chodź - powiedziała więc po prostu i odsunęła się z przejścia. Sprawnie zdjęła z małej czapkę i kożuszek, po czym szybko poprowadziła ją za sobą.

Kluski nie zdążyły jeszcze ostygnąć. Pani Marta dźwignęła oburącz ciężki półmisek i wiodąc za sobą małego gościa, pospieszyła do jadalni.

To był właśnie ten pokój w suterenie, którego okna wychodziły na chodnik ulicy Roosevelta. Przy długim stole, spowici przytłumionym światłem bijącym z górnych tylko części okien (dolne bowiem znajdowały się już poniżej poziomu chodnika) siedzieli wszyscy członkowie rodziny Lewandowskich, zaproszeni tu dziś na niedzielny obiad. Byli więc trzech przystojni, wąsaci i czarniawi synowie pani Marty, jej wąsaty i siwy mąż Franciszek oraz gruba, nieśmiała i wciąż uśmiechnięta synowa Mariolka z półrocznym niemowlęciem.

Niemowlę wypluwało smoczek i zanosilo się co chwila śmiechem pełnym czystego szczęścia, pan Franciszek łaskotał je pod bródką i przemawiał czułym basem, synowie przekrzykiwali się gromkimi barytonami, jedna tylko synowa Mariolka nie mówiła, bowiem ze spokojnym uśmiechem na ustach kończyła właśnie jeść blade rosół z kawałkami gotowanej wołowiny.

Wejście matki z wielkim półmiskiem powitano okrzykami uznania. Wśród gwaru i zapachu nikt nie zwrócił uwagi na dziewczuszkę, kroczącą śladem pani Marty. Uśmiechając się bezwiednie, dziewczynka usiadła więc na wolnym krześle obok pana domu i rozglądała się wokół z niezwykłym zajęciem.

Pani Lewandowska uplasowała uroczyście półmisek pośrodku stołu, zasiadła i powiedziała:

- Jedz, dziecko - stawiając przed dziewczynką talerz z rosołem. Zachęciła domowników, by brali się za kluski, po czym naląła wreszcie i sobie.

Posiłała się godnie, bez pośpiechu, spoglądając bokiem na dziewczynkę. Zauważyła, że mała nie jest specjalnie wygłodzona. Jadła chętnie, lecz nieuważnie, zajęta przede wszystkim tym co działo się przy stole. Poufałe żarty, docinki i rozmowy zdawały się ją zachwycać. Wodziła lśniącymi oczami od jednej osoby do drugiej i radośnie wtórowała każdemu wybuchowi śmiechu. Mocne rumieńce wystąpiły na jej pociągłą buzię, nakrytą czarną, sztywną i błyszczącą czupryną, sterczącą na wszystkie strony.

Po obu stronach głowy wykwitwały z tych sterzących kosmyków duże różowe uszy, łączące się w wesołą całość z cienkim, spiczastym noskiem - a to przy pomocy nadzwyczaj szerokiego uśmiechu. „Istny język - pomyślała pani Marta, sięgając po kluski. - Ale też kaszle okropnie, powinna leżeć w łóżku co najmniej tydzień”.

Nałożyła sporą porcję klusek na talerz dziewczynki, przydała skwarek i kapusty.

- Jedz, to dobre - mruknęła zachęcająco w odpowiedzi na pytające spojrzenie małej.

Nie bardzo miała ona zaufanie do tych szarych kluseczek. Gmerała w talerzu widelcem, obwąchiwała danie ze wszystkich stron i nie mogła się zdecydować na pierwszy kęs.

Pani Marta taktownie zostawiła ją w spokoju. Wiedziała, że samym swym zapachem kluski zrobią swoje. I rzeczywiście: już po chwili dziewczynka wsuwała, aż się jej te różowe uszka trzęsły, a mlaskała przy tym tak rozkosznie, że ściągnęła na siebie spojrzenie pana domu.

Otarłszy wąsy pan Lewandowski odsunął talerz, odchylił się w krześle i zwrócił do dziewczynki swe szerokie, przyjazne oblicze. Nie pytał o powód jej przybycia, ufając, że to i tak się okaże, jeśli okazać się ma; jeśli zaś okazać się nie ma, to tym bardziej pytać nie wypada. Zwrócił się do niej tylko ze słowami:

- Jak masz na imię, maluśka? - ponieważ, szanując każdą bez wyjątku istotę żyjącą, chciał przy sposobności przemówić do dziewczynki jak do kogoś już znajomego, po prostu po to, by poczuła, że jest pod jego dachem mile widziana.

Skierowała na niego bystre spojrzenie i uśmiechnęła się szczerze od ucha do ucha co wyglądało, jakby jakiś różowy owoc nagle pękł w pół

- Genowefa - odrzekła głosem solennym. - Genowefa ee... Lompke. Tak, Lompke. - Przyjrzała się dokładnie rozłożystej twarzy pana Franciszka, wszystkim jej zacnym zmarszczkom, szarym oczom i kosmatym brwiom, po czym oznajmiła z najszerszą sympatią: - przyszłam specjalnie na obiadek.

- Specjalnie, hę? - pan Franciszek uszczypnął dziewczynkę w ucho i potarł ją za grzywkę. - Na obiadek, hę - Geniusia? - nie wiadomo czemu roześmiał się tubalnie, klepnął po kolanach i rozejrzał się po zebranych przy stole członkach rodziny, jakby szukał ich aprobaty dla wspaniałego postępuku niezwykłej Genowefy.

- Tak. Ja chciałam tu być - ciągnęła swe wyjaśnienia rozpromieniona dziewczynka. - Widziałam przez okno, jak tu jest fajnie. Wszyscy siedzą i jedzą. I się śmieją. To przyszłam.

Pan Lewandowski spojrzał na nią z zastanowieniem i chrząknął. Pani Marta zaś pochyliła się ku małej, pytając półgłosem, gdzie są jej rodzice.

- Umarli - odpaliła bezzwłocznie dziewczynka. - Umarli na bronchit.

Państwo Lewandowscy popatrzeni na siebie, poruszeni.

- A gdzie ty mieszkasz, Geniusia?

- Tu... tego, niedaleko - bąknęła dziewczynka. - W blokach. - Rozejrzała się z zachwytem po niskim, ciemnym i biednym pokoju z dwojgiem okien, w których widać było przemykające po chodniku nogi - to w tę, to w tamtą stronę. Ale nie słyszało się tego przez podwójne szyby - zwłaszcza, że właśnie zamknięto okno. Pokój był zaciszny i przytulny, zagracony niezgrabnymi meblami z epoki, kiedy pani Marty jeszcze nie było na świecie. Najokazalej prezentował się kredens, zaopatrzony w drzwiczki i lustro oraz pięknie rżnięte szybki o tęczyowych krawędziach, nasuwający domysły najróżniejszych smakołyków ukrytych w jego ciemnym wnętrzu.

Czyściutki obrus na stole był sztywny od krochmalu i pachniał żelazkiem, a stół otaczały ciężkie krzesła o wysokich, twardych oparciach. W pokoju panowało miłe zagęszczenie i Genowefa ze szczerym żalem powiedziała:

- O, u nas nie jest tak ślicznie - a potem rozejrzała się po stole i zapytała całkiem szczerze: - A deser będzie?

- Kompot - odpowiedziała pani Marta. - Wiśniowy.

- Gruszkowy otwórz, mamusia, gruszkowy... - przymilił się najmłodszy z synów, mniej więcej dwudziestoletni wąsacz o kruczej czuprynie, rumiany i błękitnooki.

- Ty, Sławek, kompletnie smaku nie masz, gruszkowy przy wiśniowym może się schować! - przekrzyczał go żarliwie starszy brat, mąż Mariolki, zaś pani Marta oznajmiła, że otworzy się jeden i drugi, żeby dla wszystkich starczyło i żeby wszyscy byli zadowoleni. Jak powiedziała, tak zrobiła.

Obiad zakończył się wspaniałym podwójnym akcentem i Genowefa Lompke, objedzona zarówno kompotem gruszkowym, jak wiśniowym, poczuła się widać w obowiązku odplacić gościnnemu domowi czymś prawdziwie cennym.

- Powiem wierszyk! - oznajmiła nagle, zdejmując botki i włączając na krzesło.

Odkaszlnęła leciutko, by skierować na siebie uwagę zebranych, złożyła wiotkie rączki wyuczonym ruchem, przybrała sztuczną minkę i sztucznym blaszanym głosem wyrecytowała, patrząc głęboko w oczy pana Lewandowskiego:

- Stary jesteś, śmierć cię czeka. Garbarz po twą skórę pośle. Już niedługo twego życia. Mój ty stary, biedny ośle.

Urwała. Zapanowało ciężkie, pełne konsternacji milczenie, w które Genowefa niezwłocznie znów wkroczyła, ulegając nagłemu atakowi kaszlu. Wykaszlawszy się, złapała równowagę i z wysokości krzesła oznajmiła z oszołomioną miną:

- Do diabła, zapomniałam, jak to dalej leci.

- Całe szczęście - burknął Sławek. - Nie wiadomo, do czego by doszło.

Wmieszała się pani Marta.

- A kto cię, dziecko, uczy takich wierszyków? - spytała surowo.

- Tatuś - odpowiedziała Genowefa całkiem po prostu. Odkaszlnęła soczyście i stropiła się na widok miny pani Lewandow-

- O - powiedziała. - Coś nie w porządku?

- No chyba - pani Lewandowska wciąż patrzyła na nią podejrzliwie. - To tatuś żyje?

- No chyba - ze zdziwieniem odparła dziewczynka.

Pani Marta siedziała przez chwilę bez ruchu, potem mrugnęła i potrząsnęła głową.

- Jak... to się stało? - zadała bezradne pytanie.

- Tego nie wiem - oświadczyła Genowefa, spoglądając spode łba. - A bo co?

- Bo z początku mówiłaś, że rodzice umarli...

- Z początku czego? - spytała Genowefa z usilnym zastanowieniem.

- To nie jest na moje nerwy - powiedziała pani Marta do męża, który uparcie walczył ze śmiechem. - Poczekaj - zwróciła się znów do Genowefy. - Mówiłaś przecież, że tatuś i mamusia umarli, tak?

- Mówiłam?

- Mówiłaś. I że tatuś uczy cię wierszyków, też mówiłaś. Więc ja tego nie rozumiem.

- Ja też - stwierdziła Genowefa. - Ale to naprawdę tatuś mnie uczy tych wierszyków. Żebym mówiła przy gościach.

- Pewnie jaki pijus - przemówił ponuro najstarszy z wąsatych synów. - Mam rację, mała? Tata lubi wypić, nie?

- Lubi - przyznała dziewczynka. - Bardzo dużo pije...

- A widzi ojciec! - powiedział najstarszy syn z posępnym triumfem. - Ja znam życie.

- ...Herbaty. A najwięcej to kawy - uzupełniła Genowefa, kołysząc się na piętach i z wysokości krzesła patrząc na zgromadzonych. Była wyraźnie w formie, różowa i zadowolona z powszechnego zainteresowania. - Ale mój tatuś nie jest pijusem. Jest tym... no, zapomniałam.

- Narkomanem! - podsunął Sławek.

- Nie. Na „I”.

- Inwalidą? - podsunęła nieśmiało synowa Mariolka, która dopiero teraz skończyła jeść potężną porcję klusek.

- Nie, no zaraz... - wyteżala się Genowefa. - I... i... i...

- Inspektorem! - rzucił Sławek na chybił-trafił.

- Nie...

- Inkasentem!

- Neeee... podobnie, ale nie tak...

- Kasjerem!

- Nie... takie długie słowo...

- Dajcie spokój - wmieszała się pani Marta. - Geniusia. Złaż już z tego krzesła i włóż buty. U nas nie musisz mówić żadnych wierszyków.

- O, już wiem! - powiedziała z ulgą Genowefa. - Intelktualistą.

Genowefa Lompke opuściła dom Lewandowskich o piątej - i to tylko dlatego, że wąsacze się ruszyli. Po herbacie i placku drożdżowym z kruszonką wszyscy - z wyjątkiem Sławka, który mieszkał u rodziców - poszli do siebie. Zrobiło się pusto i Sławek zaproponował Genowefie, że ją odprowadzi.

- Bo już ciemno - powiedział. - Taka duża panna nie powinna chodzić sama po ciemku.

Pan Franciszek pogłaskał Genowefę po głowie i zachęcił ją życzliwie, by przyszła jeszcze kiedyś,

- Taka jesteś fest dziewczuszka - dodał serdecznie.

Zdziwił się i wzruszył, kiedy dziecko rzuciło mu się gwałtownie na szyję i mocno ucałowało w oba policzki, najpierw jego, a potem Martę.

- Przyjdę na pewno! - obiecało, wisząc długo na szyi pani Lewandowskiej i z całej siły ściskając ją chudymi ramionkami. - Na pewno! Na pewno! - oderwała się niechętnie, po czym szybko wzięła za rękę Sławka, który - ubrany już do wyjścia - czekał koło drzwi. - Do widzenia! - zawołała wychodząc. - Do widzenia! Cześć i czołem! - brzmiało to tak, jakby żegnała się z Lewandowskimi na wieki.

Oglądała się za siebie nawet wówczas, gdy drzwi zostały ostatecznie zamknięte za jej plecami.

- Gdzie mieszkasz? - spytał Sławek, zaciągając suwak kurtki i ujmując znów rękę dziewczynki.

- Na... Na Norwida - odpowiedziała.

- No, to bliźniutko - stwierdził Sławek i poszli przed siebie wąskim, zimnym korytarzem, który się ciągnął przez szerokość budynku. Po prawej stronie były jeszcze drzwi innego mieszkania z tabliczką, na której duże drukowane litery składały się w napis Ogorzałka. Po lewej widać było drzwiczki z desek prowadzące do piwnic. Korytarzyk był ciemnawy i nieprzytulny. Genowefa wydała z siebie mimowolne westchnienie ulgi, kiedy po przebyciu paru schodków znaleźli się wreszcie na szerokim podeście parteru. Dotarli do bramy i właśnie Sławek sięgał po klamkę ciężkich dębowych drzwi o kobaltowych szybkach - kiedy ktoś nacisnął je z zewnątrz. Usunęli się na bok i przepuścili wchodzącą osobę - bujną piękność o rudych lokach i wybitnym biuście. Olśniewająca ta dziewczyna miała bardzo zgrabne nogi, zielone oczy, urocze piegi i czekoladowy płaszczyk, w którym było jej bardzo do twarzy. Na jej widok Sławka zupełnie zamurowało, dziewczyna zaś stanęła jak wryta i zrobiła się czerwona na twarzy i szyi, co Genowefa odnotowała nie bez zdziwienia.

- Dzień dobry - powiedział nieswoim głosem Sławek. - Genowefa poczuła, jak dłoń, obejmująca jej łapkę, zaciska się nagle bardzo mocno.

- Dzień dobry... - odparła ruda piękność, gęsto mrugając rudymi rzęsami. Następnie zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, wsadziła kciuk w usta i zaczęła nerwowo gryźć palec rękawiczki włóczkowej.

- Ida - szepnęła gwałtownie Sławek po chwili milczenia.

- Tak? - szepnęła ona niemal jednocześnie.

- Chyba już czas, żebyśmy zaczęli rozmawiać ze sobą.

Piękna panna omal nie upuściła torebki.

- O... o czym? - spytała.

- O nas - rzekł z mocą Sławek, nadal ściskając łapkę Genowefy - Żaden inny temat mnie nie interesuje. Tylko ty i ja.

Nagły skowyt wdarł się w jego wyważone słowa w momencie, gdy Ida szykowała się do udzielenia odpowiedzi.

- Aaaa-u! - zawyła Genowefa. - Co robisz, stary wariacie? Boli! Puść!!!

- O Jezus, przepraszam - spłoszył się Sławek. - Całkiem o tobie zapomniałem.

Genowefa była oburzona.

- Ściska mi rękę jak wariat! - pożaliła się rudej pannie. Spojrzała na jej ucieszoną minę i spytała bezpośrednio: - Jak się nazywasz?

- Borejko - odparła z uśmiechem ruda panna Ida.

- Aha. A ja Genowefa Sztompke.

- Bardzo mi miło.

- Mnie też jest bardzo miło. Bardzo, Bardzo a bardzo - prowadziła konwersację Genowefa. - Mieszkasz gdzieś tutaj?

Rudowłosa wyjaśniła, że zamieszkuje lokal numer dwa, pierwsze drzwi na prawo, parter.

- Tu? Tak blisko? - ucieszyła się Genowefa Sztompke. - To ja wpadnę kiedyś do ciebie, dobrze?

Sławek wydawał się zniecierpliwiony tą wymianą uprzejmości.

- Ida! - odezwał się tonem kategorycznym. - Naprawdę już dość tego.

- Czego? - spytała bezzwłocznie Genowefa Sztompke.

- Tego milczenia! - huknął Sławek. - Tego mijania się na schodach. Ja jestem cierpliwy. Ida, przeczekałem wszystkich. Tego Waldka. I tego Krzycha. I tego cholernego Klaudiusza. Czekałem spokojnie, bo wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. Ale teraz już nie będę czekał. Teraz nastał mój czas. Ida. Więc przestań mi uciekać i udawać, że nie wiesz...

- Czego? - chciała wiedzieć Genowefa.

- ... że nie wiesz... no, wiesz czego.

- Nie, nie wiem - szepnęła Ida, wpatrując się w błękitne oczy Sławka jak zahipnotyzowany gołąbek.

- Wiesz, Ida. Wiesz. Że cię Kocham.

- Kolanko mi zmarzło. Tu tak wieje z tych otwartych drzwi - wtrąciła Genowefa.

- A ja sobie wylałam rosół na rajstopy. I herbatę. Chcecie jeszcze długo stać w tym zimnie?

- O tak - stanowczo rzekł Sławek Lewandowski, patrząc nieustannie w oczy Idy.

- To ja polecę - zaproponowała Genowefa. - Nie musisz mnie odprowadzać. Mam blisko.

- To leć - zgodził się Sławek, puszczając łapkę Genowefy i natychmiast ujmując dłoń we włóczkowej rękawiczce.

- To cześć i czołem - pożegnała się życzliwie Genowefa Sztompke. Była nieco urażona, bo nikt jej nie odpowiedział.

Było jak na japońskim drzeworycie trójbarwnym: białą spadzistość Teatralki przecinały pionowo czarne pnie kasztanów o powykręcanych dziwacznie gałęziach; tkwiły na nich ociążale obłe śniegowe poduchy. Pod drzewami, osiadłe na listwach różowych ławek, ciągnęły się rytmicznie pięciolinie bieli. Powietrze było ciemnoszare, pokropkowane dużymi płatkami, które opadały tak wolno, że zdawało się, iż wiszą bez ruchu. W miarę, jak Maciej Ogorzałka pokonywał trasę z supersamu, śniegu było coraz więcej i więcej, a ruch płatków stawał się wyraźniej dostrzegalny. Wkrótce cicha falująca zasłona skryła miłosiernie panoramę miasta, ogarniętego zamętem. Tramwaje oczywiście stały, bo szyny zawałone gęstą, rozjechaną kaszą śniegową, były całkowicie nieprzejezdne. Tylko w samym śródmieściu samochody kotłowały się w korkach

ulicznych, o czym świadczyła daleka płatanina klaksonów. Tu wokół panowała głucha, tajemnicza cisza.

Maciek czuł się niezwykle - trochę jak we śnie, a trochę jak w kinie. Ludzie mijali się powoli, płynnie, jak cienie zatarte przez drżący biały raster. Zagapiony, rozmazony, szedł Maciek powoli, wymachiwał torbą z książkami i niemal włókł po śniegu siatkę pełną pieczywa i sera. Płatki śniegu zasypywały mu twarz, osiadały łagodnie na policzkach, brwiach i nawet rzęsach.

Nagle w tym cichym, wirującym śniegu, w tej przytulnej szarości, tuż przed Maćkiem zamajaczyła wysmukła postać ludzka w długim, wciętym kożuszku. Maciek zatrzymał się, postać ludzka też się zatrzymała i podniósłszy zaśnieżone rzęsy, ukazała w ich białej oprawie chłodne jak źródło, jasne oczy o przejrzystych tęczęwkach i tajemniczym wejrzeniu. Oczy te lśniły w twarzy zaróżowionej od mrozu, dość nijakiej, prawdę mówiąc, ale harmonijnej. Natomiast położone poniżej usta były całkowicie niezwykle. Mianowicie miały taki wyraz, jakby ich właścicielka bezustannie gotowała się do całowania.

W Maćka jakby grom strzelił. O, nieba. To się musiało stać tego dziwnego dnia. Z pewnością było to zapisane w księdze jego losu.

Maciek stał w miejscu i patrzył w przejrzyste oczy, a one sygnalizowały mu takie mnóstwo różności, że biedaczysko doznawał niemal zawrotu głowy. Po raz pierwszy bowiem oczy dziewczęce mówiły mu z tak bliska i tak bez ogródek, że jest przystojny, wspaniały i męski, i bardzo-bardzo interesujący, i że kto wie... kto wie...

Minęła go. Maciek nie zamierzał pozwolić, by cudowne zjawisko zniknęło z jego życia tylko dlatego, że on się zagapi. Zawrócił gwałtownie w miejscu i podążył śladem fascynującej dziewczyny. Postanowił sobie, że przynajmniej raz jeszcze spojrzy w te zagadkowe oczy i wypatrzy w nich znów ten czarodziejski, jakże podnoszący na duchu wyraz aprobaty - a może i czegoś więcej niż aprobaty.

Teraz, rzecz jasna, było to niemożliwe. Szedł za nią i tylko od czasu do czasu, gdy zwracała głowę w bok, mógł widzieć kawałek jej profilu. Jednakże i ta sytuacja miała swoje dobre strony: widział długie bladozłote włosy spływające spod futrzanej czapeczki oraz nadzwyczaj zgrabną figurę pod wciętym kożuszkiem. Było zaiste coś niezwyklego w tej poetycznej istocie - może to zagadkowe spojrzenie, a może coś w wyrazie twarzy... przyszło mu do głowy, że to coś właśnie nazywa się urokiem osobistym. Rzuciła na niego urok osobisty. Bez wątpienia.

No proszę, jak ona ślicznie się porusza. Jakby tańczyła po tym śniegu. Na chwilę stanęła przed gablotkami pełnymi fotosów, potem bez wahania pobiegła po stromych, wysokich i całkowicie nie odśnieżonych schodach Opery. Kiedy zniknęła za ciężkimi drzwiami, Maciej już forsował podnóże schodów. Ślisko było. Z obu stron pośpiesznie przyglądały mu się wielkie kamienne postacie: tytaniczny półnagi facet w draperii na biodrach, stojący obok kamiennej lwicy i golusieńka szara facetka, siedząca boczkiem na lwie. Oboje mieli białe śniegowe czapki, białe naramienniki i po kupce śniegu na nosie.

W przestronnym marmurowym hallu było cicho, ciepło i mrocznie. Nic się jeszcze nie działo za dwiema parami przeszklonych drzwi, które wiodły w głąb westybulu, ku widowni. Wszystko tu spowite było tajemniczym, pełnym oczekiwania mrokiem, tylko z okienka kasy biło rzeczowe i rześkie żółte światło elektryczne - tam też stała Ona i w tę też stronę pociągnęło Maćka. Trafiła się niepowtarzalna okazja, by ją obejrzeć z bliska. Stanął przy okienku, wczytując się żarliwie w program na najbliższe dwa tygodnie, wydrukowany na różowej kartce. Kartka była przyklejona do szyby, znajdowała się mniej więcej dwa centymetry od jej promiennej głowy.

Kupowała bilety na dziś - na „Straszny Dwór”, - dwa bilety! Otworzyła torbę, żeby wyjąć pieniądze, i nozdrza oszołomionego Maćka połaskotane zostały leciutkim, świeżym i cierpkim zapachem cytryn. Miała ich w torbie całe pół kilo!... Przez opar fascynacji dotarła do niego błyskawiczna myśl: „Gdzieś sprzedawali!” - lecz już za chwilę zapomniał o realiach, ponieważ usłyszawszy głos dziewczyny, znalazł się jakby pośrodku wiru gorącego powietrza, które odbierało mu dech i zdolność widzenia. Pytała o cenę biletów, ale on nie słyszał słów, tylko ton jej głosu. Brzmiał jak saksofon altowy: ciepło, zamszowe i głęboko.

Maciek westchnął mimo woli. Odwróciła głowę. Został obdarzony szybkim spojrzeniem spod rzęs. I już. I to wszystko. Już szła w stronę wyjścia.

Rzucił w okienko kasy prośbę o dwa bilety obok tych co przed chwila... przeżył sekundy trwogi, że nie starczy mu forsy, wysupłał ostatnie grosze ze wszystkich kieszeni - zapłacił - i już leciał za nią, łowiąc cień cytrynowej woni w nagrzanym powietrzu hallu.

Kiedy wypadł na zewnątrz - ona właśnie sfruwała z ostatnich stopni. Maciek rzucił się ku schodom, gdy nagle kątem oka zarejestrował błyskawiczne poruszenie przy figurze kamiennego tytana. Coś się bujało na ogonie zaśnieżonej lwicy. Zanim Maciek zdążył odwrócić głowę, już wydarzenia potoczyły się zgodnie z własną dyna-

miką, jak nieuchronna kamienną lawina: nieduży ciemny kształt z głośnym „Hu-huuuu!” odpadł od ogona lwicy, z wrzaskiem wylądował pod stopami Maćka, zbił go z nóg i spowodował, że chłopak rzucił się naprzód długim szczupakiem, by nie przydepnąć tego czegoś małego, skulonego i wyjącego nieczłowieczym głosem. A skoro już się rzucił, to i spadł jak ciężki wór, tłukąc sobie boleśnie kość ogonową, a gdy już leżał, to niestety przyszło mu do głowy, żeby wstać, wskutek czego zsunął się ze śliskiej krawędzi stopnia i - podskakując na każdym kolejnym kancie - zjechał na siedzeniu aż do samego podnóża schodów. Tam to, obserwując całe zajście i pękając ze śmiechu, stała cytrynowa dziewczyna. Tak, śmiała się! Śmiała się jeszcze wtedy, gdy szła w stronę miasta - i ten jej ciepły, zamszowy śmiech jak muzyczna fraza rozbrzmiewał czas jakiś, aż zacichł w śnieżnej zamieci.

To był koniec. Maciek siedział, jak ugodzony sztyletem w serce, rozrzucając ręce na obie strony wsparty palcami o wyżej położone stopnie, z głową dramatycznie odrzuconą w tył. Nie chciało mu się wstawać. Nie chciało mu się żyć. Nie miał także najmniejszej ochoty sprawdzać, co było przyczyną jego upadku i - być może - czegoś więcej: utraty najbardziej bajecznej z życiowych szans. Nie oglądając się nawet wiedział i tak, że przyczyną była ona: ta mała, ta obrzydliwa, ta wstrętna dziewczynka, ten niesamowity bachor, ten sam ciągle złośliwy gnom co go prześladował w niedzielę i którego obecności za plecami obawiał się podświadomie za każdym razem, kiedy wychodził z domu. W tej chwili odczuwał niemal ulgę; tak to zwykle bywa, gdy dopadnie człowieka niebezpieczeństwo, którego obawiał się zbyt długo. W każdym razie uczucie lęklivego oczekiwania na cios Maciek miał już za sobą. Cios właśnie nastąpił. Nie mogło chyba zdarzyć się nic gorszego.

Uniósł się z uczuciem, że zamiast serca ma lodowatą wyrwę, miast kości ogonowej - porcję jakiejś obolałej siekaniny. Rozmasował sobie pośladki. Potem, posykurając otrzepał spodnie i zszedł z ostatniego stopnia. Już chciał podążyć w swoją stronę gdy usłyszał rżący kaszelek, tuż za piecami, kazał Maćkowi odwrócić się gwałtownie.

Stało tam i patrzyło na niego okrągłymi czarnymi oczami i wydawało się zadowolone! Ale miało też poczucie winy; kiedy tylko ich spojrzenia się zetknęły, niesamowite dziecko, trzepiąc rękami, powiedziało

- Yhi - hyy! - odskoczyło w bok i biegiem rzuciło się przed siebie. Zniknęło za gęstniejącą kurtyną śniegu tak nagle, jak znika nocny koszmar albo zły duch.

Maciek mieszkał tylko z bratem. Najpierw dojeżdżał do swego liceum z odległych o trzydzieści kilometrów Pobiedzisk. Ale potem Piotr wpakował się w kłopoty, potem się załamał, potem zaczął dziwaczeć - i rodzina uznała, że nie powinien mieszkać sam. Na mocy decyzji rady rodzinnej (ojciec, mama, dwie starsze siostry oraz ciotka Leokadia) Maciek został zameldowany u Piotra, w jego malutkim pokoju z kuchnią - w suterenie - wciśniętym między mieszkanie Lewandowskich a prywatny zakład szycia kołder.

Dobrze mu się tu mieszało. Przede wszystkim, w mieszkaniu Piotra panował duch swobody. Umeblowane bardzo ascetycznie, tu i ówdzie zastawione nie rozpakowanymi jeszcze od przeprowadzki skrzynkami, kipiało ono mnóstwem przedmiotów, gromadzonych od przypadku do przypadku i osadzających się warstwami jak gleba. Obok półek z książkami stał tu na przykład akumulator samochodowy, podłączony do prostownika na nieokreślony czas; pod ścianami pokrywało się pyłem kilka opon, silnik do łodzi, stara drewniana pięta, powiększalnik fotograficzny „Krokus”, przykryty bardzo szarym workiem z folii, stosy gazet i czasopism poukładanych wprost na podłodze i zdekompletowany zestaw do majsterkowania. Żeby przejść od drzwi do tapczanu Piotra, należało lawirować między sprzętem sportowym a puszkami z farbą emulsyjną zmagazynowaną na wypadek remontu, przy czym zawsze istniała możliwość, że narty jednak się obsuną i uderzą nieostrożnego wędrowniczka po głowie.

Przy tapczanie Maćka zamiast akcesoriów samochodowych znajdowały się części i opony od roweru, a zamiast powiększalnika - panoszył się na podłodze adapter stereofoniczny, jedyny przedmiot w tym pokoju odkurzany przez właściciela przynajmniej raz dziennie. Pozostałe przedmioty nie miały tyle szczęścia. Porządki odbywały się tu z rzadka, tylko przy uroczystych okazjach. Dzięki temu w mieszkaniu panował szczególny rodzaj zasiedziałej przytulności - bowiem zgodnie z tendencjami męskiej psychiki, zaprowadzono tu jednak swoisty ład, oparty na jakichś nieokreślonych, lecz logicznych zasadach, gazety poskładane były rocznikami, książki stały w idealnym porządku i zawsze wiadomo było, gdzie sięgnąć, żeby wyjąć potrzebny tom, a wszystkie luźne papiery, listy i zeszyty wtłoczone były po prostu do szuflad, podobnie jak skarpetki, chustki i krawaty.

Maciek w każdym razie bardzo lubił swoje mieszkanie, skromne i ubogie, tak różne od błyszczących wnętrz, w jakich żyli jego koledzy. Co więcej, koledzy też woleli przychodzić do niego i zawsze, kiedy wynikał problem - u kogo się uczyć, wszyscy opowiadali się za tym, żeby pójść do Maćka. Twierdzili, że jest tu atmosfera.

Ogarniało to człowieka od samego progu - i teraz też Maciek poczuł to znajome, miłe tchnienie domowego powietrza, kiedy tylko otworzył drzwi. Owionął go spokój pełen bezpieczeństwa. Zamknął za sobą drzwi i zasunął rygiel, a potem jeszcze dwukrotnie przekręcił klucz; zupełnie jakby zawałał wejście do swej pieczary ciężkim głazem, którego nikt obcy nie ruszy.

Piotra nie było. Już od paru dni odbywał swój zwykły objazd. Odkąd stracił posiadłość w „Cegielskim”, pracował u znajomego prywaciarza w warsztacie galanterii metalowej. Kiepska to była praca dla dobrego inżyniera - ale była to jednak jakaś praca. Szkoda tylko, że do obowiązków Piotra należały te podróże: co pewien czas musiał rozwozić furgonetką towar po prywatnych sklepikach pamiątkarskich całej Polski północnej.

Myśl o bracie przemknęła Maćkowi przez głowę razem z konstatacją, że niepotrzebnie kupił dwa bilety do Opery, i to na dziś, kiedy przecież powrotu Piotra nie należy się spodziewać przed upływem trzech dni. Pokiwał głową i uśmiechnął się na myśl o tym odruchu, który kazał mu zawsze kupować wszystkiego po dwa. Położył świstki na kuchennym stole, żeby o tej sprawie nie zapomnieć i postawił imbryk na gazie.

Kuchnia była mała i przyjemna, spinning wisiał na kredensie obok dwóch podbieraków i siatki na ryby a pudełko z haczykami, błyskami i muchami dekorowało stół jadalny. Maciek dokonał powierzchownych porządków, kantem dłoni przesuwając wszystko, co igrało na stole - w stronę ściany. Następnie usmażył sobie jajecznicę i zjadł ją z chlebem wprost z patelni. W czasie, gdy świeżo parzona herbata dochodziła w czajniczku do stanu doskonałości, otworzył pustawą lodówkę. Na półeczce leżała tu cytryna, jedna z tych dwóch, które pani Lewandowska przyniosła w grudniu. Maciek miał wtedy anginę, a Piotr grypę z powikłaniami i dobra sąsiadka podzieliła się z nimi drogocennym artykułem. Oszczędzali wtedy z Piotrem, nie zjedli cytryn od razu i teraz właśnie opłacała się ta wstrzemięźliwość: można było stać sobie przy lodówce, trzymać w dłoni jedwabisty owoc, przymknąć oczy i wchłaniać woń cytrynowej skórki, przywołując w pamięci wyraz pewnych oczu.

Terkot dzwonka wyrwał Maćka raptownie i bardzo niemiło z tej rozkosznej kontemplacji. Zaczerwieniwszy się z lekka, Maciek włożył cytrynę z powrotem do lodówki i pospieszył otwierać drzwi. W swobodnej pozie, oparta ramieniem o futrynę, stała na progu Kreska, mieszkanka sąsiedniej kamienicy, wnuczka profesora Dmuchawca. Pierwszy rok w Maćkowym liceum przebiegał jej jak po grudzie, więc przy-

chodziła tu zawsze, ilekroć miała problemy z matematyką, co zdarzało się, niestety, aż nazbyt często. Kreska była delikatnym, miłym i zbzikowanym stworzeniem o promiennych burych oczach z wielkimi rzęsami i burych włosach obsmyczonych na Izabelę Trojanowską. Była ładna - której to cechy nie zdołała jeszcze całkowicie zniwieczyć przez swój sposób ubierania się. Nosiła jakieś dziwaczne płaszcze, jakby ze starej ciotki, długie kamizele własnej roboty, pozszywane z łątek, kolorowe getry z włóczki oraz także czapki-uszanki, swetry-olbrzymy i parometrowe szale z frędzlami. Posuwała się nawet niekiedy do własnoręcznego wykonywania butów i torebek. Wszystko to wyglądało raczej biednie, ale zabawnie i modnie, a Maćkowi podobało się przede wszystkim dlatego, że wiedział, co się kryje za tym nieustającym festiwalem pomysłowości: Kreska chronicznie nie miała forsy. Przechodziła nad tym problemem w sposób imponujący i pełen rozmachu (wiadomo było, że mieszka u dziadka i że zarabia szyciem) - bo była to rzeczywiście świetna dziewczyna, tylko, że Maciek nie przepadał za jej towarzystwem. Raził go w Kresce całkowity brak poetycznej zadumy i tego technienia romantyzmu, który cechować winien dziewczynę - zwłaszcza ładną. Kreska była, niestety, przeraźliwie rzeczowa, odpychająco koleżeńska, i w ogóle zachowywała się jak kapral.

- Co jest, stary półgłówku? - powitała go od progu, łyskając w półmroku białymi zębami i ciepłymi gwiazdkami oczu. - Coś tak się zaszył? Rygle, zamki, łańcuchy - co jest, rewizji się spodziewasz? - to mówiąc wkroczyła do korytarza, a stamtąd do kuchni. - Złapałam dwóję, no. Przyszłam zaraz po szkole, bo absolutnie nie dam z matką rady.

- Nie byłaś jeszcze w domu? - burknął Maciek, niezadowolony z jej przybycia. Byłoby lepiej, gdyby sobie poszła. Miałby jeszcze czas dla siebie, mógłby sobie rozpamiętywać zapach cytryny i myśleć o dzisiejszym wieczorze. - Może powinnaś - rzekł niechętnie - zjeść najpierw obiad, to ci rozjaśni umysł...

Zrozumiała to po swojemu.

- Ależ nie, synu, nie rób sobie kłopotu... - powiedziała szybciotko, czerwieniąc się po uszy. - Kompletnie nie jestem głodna, zresztą, nie dojadłam w szkole śniadania... Jak mi wytłumaczysz matkę, to zaparzę fantastyczną herbatę i zjem moją kanapkę...

- Już zaparzona - rzekł Maciek z mroczną rezygnacją i wyjął z kredensu dwie szklanki. - Może jednak usmażę ci jajko?

- Stary, nie bądź szalony - zdenerwowała się ona. - Daj herbaty, powtarzam, a ja już jem. - To mówiąc, zapuściła rękę aż po łokieć w czeluści torby uszytej z kawałka starego dywanika. Po dłuższym w niej gmeraniu wyjęła foliowy woreczek, a z niego - kanapkę z białym serem, owiniętą w czyściutki papier. Wbiła zęby w chleb z takim głodnym zapalem, że Maciek czym prędzej odwrócił wzrok, po czym wstał i bez słowa napełnił szklanki herbatą. Potem, pogwizdując niefrasobliwie, wyjął z lodówki rarytas w postaci żółtego sera, pół kostki masła kartkowego oraz ketchup firmy polonijnej. Postawił to wszystko na stole przed Kreską, dołożył chleba i zaczął jeść, choć żołądek miał całkowicie wypełniony.

Chciał tym sposobem zachęcić Kreskę do jedzenia, lecz na nic się zdała jego ofiara. Kreska pochłonęła swoją kanapkę, uśmiechnęła się cynicznie, oświadczyła, że się obzarta po uszy i odwróciwszy spojrzenie od stołu, wbiła je w zeszyt do matematyki.

- Kończ - powiedziała, popijając niesłodzoną herbatę - Masz ruszyć głową, a ty mamlesz szczękami. Miamlasz i miamlasz.

Maciek z oburzenia omal nie wypułł wszystkiego, co miał w ustach. Oto i nagroda za jego poświęcenie i dobrą wolę! No, nie, naprawdę, jej rubasność była nie do zniesienia. Wstał sztywno od stołu i w milczeniu wziął się za uprzątnięcie talerzy oraz żywności. Kiedy wycierał biały blat stołu. Kreska dostrzegła bilety.

- O - powiedziała. - Wiew kultury. Moje gratulacje. Kultura dzisiaj rzecz bezcenna. Ile też wybuliłeś?

- Nieważne - posępnie rzekł Maciek, który wybulił trzysta. Przyszło mu do głowy, że trzeba by odsprzedać komuś bilet... może Kresce na przykład, jak już przyłazła. Nie, jej właśnie odsprzedać nie wypada. Dziewczyna jest bez forsy. Ale właściwie miło byłoby pójść z nią dziś wieczór. Swoją człowieka, a przynajmniej bilet się nie zmarnuje. - Kupiłem jak głupi - powiedział głośno. - Piotr wyjechał, a ja zapomniałem i kupiłem na dziś. Na „Straszny Dwór”. Ty chodź ze mną, co? Dyryguje jakiś sławny facet, zapomniałem nazwiska.

No, nie, ona jednak była nie do wytrzymania. Upuściła łyżeczkę i ni stąd, ni zowąd zanurkowała pod stół, padając na czworaki. Zabawiła tam dłuższą chwilę, wreszcie wylazła - bez łyżeczki - cała czerwona, z drwiącym uśmiechem.

- Ostatnio jestem bez grosza - powiedziała hardo.

- Tyle masz na pewno - pospieszył Maciek. - To bilety ulgowe. Dla pracowników kultury.

- Dla pracowników kultury?

- Tak, dla nich.

- Skąd ty do pracowników kultury nagle?

- Po znajomości. Trzy dychy. Jak nie masz, to oddasz później. Nie pali się.

- Tyle mam - odpowiedziała porywczo. - Nie łiesz czasem, że to tak tanio?

Maciek wzruszył ramionami i ze znudzoną miną popił ze szklanki.

- Dobra, dawaj tę matkę - rzekł sucho. - Trzeba szybko machnąć wszystko, co zadane, bo wieczór i tak mamy stracony.

Zdziwił się, czemu spojrzała nagle na niego tak, jakby ją coś zabolalo czy obraziło

Zagadkowa dziewczyna nazywała się Matylda Stągiewka i była bardzo spostrzegawcza. Spostrzegła wśród śnieżnej zamieci zgrabnego, wysokiego blondyna o orlim profilu i marzycielskim wejrzeniu; zauważyła nawet, że ma on oczy koloru czekolady i zamaszyste czarne brwi. Toteż pokierowała swymi krokami tak, by na niego wpaść. Następnie uczyniła wszystko, by w jednym spojrzeniu pomieścić sto procent uwodzicielskiej mocy, jaką dysponowała. Udało się bez pudła. Obiekt eksperymentu okręcił się wokół własnej osi i niezwłocznie pospieszył za Matyldą.

Nie była zaskoczona, gdy ujrzała go za sobą, przy kasie Opery. Z uznaniem stwierdziła, że piękny chłopak ma refleks - kupował bilety w jej rzędzie. Pozwalało to żywić nadzieję, że nie widzą się po raz ostatni. Wolałaby wprawdzie, żeby kupił jeden bilet, nie dwa - z drugiej jednak strony, istnienie jakiejś ewentualnej rywalki nie było dla Matyldy powodem do zmartwienia.

Incydent na schodach Opery rozweselił ją znacznie mniej, niż okazała. Wybuchnęła śmiechem wyłącznie dlatego, żeby chłopca rozzłościć i żeby zadrasnąć jego ambicję. Wiedziała, że ten ostatni zwłaszcza czynnik skuteczniej niż cokolwiek innego każe mu o niej pamiętać aż do wieczora. Uważała, że się zna na psychologii. I jak na siedemnastolatkę, była ona rzeczywiście niezłym psychologiem, ta Matylda Stągiewka. Zostawiła chłopaka siedzącego z głupią miną u podnóża schodów i lekkim krokiem pospieszyła do domu.

Idąc tak sobie miękko po miękkim śniegu, nagle - pomiędzy jedną twardą myślą a drugą - Matylda złapała się na dziwnym wrażeniu, że jest obserwowana. Obejrzała się raz i drugi, ale nie zauważyła żadnej postaci o predyspozycjach śledczych. Wśród tańczących płatków wyróżniła sylwetki drepczących kobiet z siatkami, chudego dziecka, przytulonej i zagadanej pary studentów - i uznała, że wmawia sobie jakieś głupstwa. Ale pomyślała także, że wmawianie sobie jakichś głupstw było praktyką dotychczas jej obcą. W dodatku to dziwne, mrowiące uczucie w okolicach karku pojawiło się znowu - zupełnie, jakby ktoś idący za nią w to właśnie miejsce wpijał swój niechętny wzrok.

Postanowiła, że nie będzie więcej o tym myśleć, przypisała dreszczyk w karku niskiej temperaturze i zamieci, po czym skręciła w ulicę Stalingradzką i poszła wzdłuż szarej bryły opery w dół ulicy. Mieszkała za skwerkiem, w willi położonej naprzeciw żółtego gmaszyska Domu Studenckiego. Żeby dotrzeć na lewą stronę ulicy, musiała teraz pokonać przejście dla pieszych koło kościoła Dominikanów, a potem drugie, przy Parku koniuszki. Światła sygnalizacyjne były zalepione śniegiem, więc poszła z tłumem. Kiedy przechodziła przez pierwszą jezdnię, uczucie mrowienia w karku jeszcze się wzmoгло. Na drugim przejściu usłyszała za sobą wyraźne człapanie.

Mała, zaśnieżona dziewczynka szła za nią krok w krok, powłócząc w śniegowej kaszy cienkimi nóżkami w botkach. Spod przysypanego śniegiem beretu widać było czerwone jak jabłka policzki, czerwoną kuleczkę nosa i szerokie usta, z których właśnie, w sposób nader obraźliwy, wysunął się spory różowy jęzor.

Matylda nie wzięła tego do siebie. Natomiast zastanowiło ją - ba, zaniepokoiło - coś innego: to dziecko miało postawę oskarżycielską.

Otóż, mało jest ludzi, na których coś takiego nie podziała. Każdy chyba uczynił choć raz w życiu coś, czego się wstydzi i z powodu czego miewa wyrzuty sumienia. Oczywiście, wyrzuty te mogą stanowić męczarnię dla duszy lub też być słabym zaledwie świerzbieniem na powierzchni pamięci; zależy to od kalibru owego uczynku, od tego - czy miało miejsce grube świństwo, czy też zaledwie potknięcie towarzyskie. Zależy także od kalibru, stylu i klasy człowieka. Jeden skręca się ze wstydu przez długie lata, bo zdarzyło mu się plotkować o osobie, której obecności nie był świadomy. Kto inny wszakże skrzywdzi lub poniży bliźniego, oszuka go, pobije lub zabije - i nie będzie miał z tego powodu żadnych niepokojów, prócz może jednego, czy się jednak na nim ktoś kiedyś nie zemści. Różnie bywa. Różnie. I oczywiście przykłady można by

mnożyć. Wniosek z nich jednak zawsze ten sam: mało kto może sobie powiedzieć „jestem w porządku”.

I oto, jeśli któregoś dnia drepcze za człowiekiem mała postać dziecinna o oskarżycielskiej postawie i na dobitkę z oskarżycielsko wywalonym ozorem, człowiek zmuszony jest do zastanowienia się nad przyczynami takiej demonstracji.

Pierwsze skojarzenie Matyldy było takie oto: dziewczynka jest zapewne siostrą któregoś z chłopców i ma o coś pretensje. Pewnie o te katusze, które chłopak przeżywa z winy Matyldy. Pierwsze skojarzenie nie bez powodu tak interesuje psychiatrów. Pierwsze skojarzenie bowiem wypływa z podświadomości, a ta wiadomo co zawiera przede wszystkim: szczerą prawdę o poczuciu winy. Prawdopodobnie mroczny obszar podświadomości w duszy Matyldy zalegały stosami złamane i zdeptane serca licznych młokosów. Rozkochywanie ich w sobie bowiem, sycenie próżności ich mękami, a następnie porzucanie monotematycznych nieszczęśników było ulubioną rozrywką tej interesującej osoby.

W dzieciństwie Matylda była zgoła nieinteresującym, przejeżdżonym słodyczami grubasem o apatycznej twarzyczce i tkniętych próchnicą zębach. Koledzy w szkole z upodobaniem nękali ją przezwiskami, wśród których „Szczerbo!” było zdecydowanie najelegantszym. Lata spędzone w uczelni stopnia podstawowego upłynęły Matyldzie na bezsilnym łkaniu w poduszkę, względnie w rękaw szkolnego fartucha. Teraz brała za to swój odwet. Wypracowana jej aparycja i nienaganne odzienie, skąpy uśmiezek i modulowany głos oraz usta ułożone w kuszący dziobek czyniły - jak się przekonała - piorunujące wrażenie nawet na niegdysiejszych prześladowcach. Matylda wykorzystywała to z rozmachem i bez większych skrupułów. Od czasu do czasu tylko trawił ją lekki niepokój sumienia. Na przykład wtedy, gdy odrzucony wielbiciel wpadał w dwójce z rozpaczą lub w ogóle tracił chęć do życia. Jednakże szybko uspokajała się myślą, że niewinne a miłe flirty są rozrywką całkowicie nieszkodliwą w czasach, gdy wokół panoszy się tyle zła. Myśl nie pozbawiona logiki, zapewne. Tyle tylko, że uspokajanie sumienia przy pomocy porównań, choćby skuteczne, bywa zwodnicze (gdyż prawdą może być tylko prawda, nic innego). Praktyka ta przypomina okrywanie słonia kołderką: prędzej czy później, mniej lub bardziej drastycznie, coś jednak spod niej wychynie.

Tymczasem na ulicy Stalingradzkiej róg Chopina wydarzenia toczyły się swoim torem. Mała dziewczynka schowała teraz swój oskarżycielski język, jak zwiija się flagę, i maszerowała za Matyldą w nader ekscentryczny sposób: na każde trzy kroki, jakie

czyniła, czwarty stawiany był w bok. Oglądając się ukradkiem, Matylda zauważyła, że dziewczynka pochłonięta jest bez reszty odliczaniem stopni i bardzo skupiona na tym, by się nie pomylić. Teraz byłoby dość łatwo zgubić się i zniknąć.

Matylda podbiegła kawałek i przeniknęła w tłum koło przystanku autobusowego. Udało się. Właśnie nadjechał pospieszny i tłuszcza wpychała się do wozu jednymi drzwiami, a wypchała drugimi, powodując duże zgęszczenie i chaos na chodniku. Nie zwlekając, Matylda otworzyła swoją furtkę i przez białą, cichy ogród dobrnęła do schodków oszklonego ganku.

Mieszkanie Matyldy było obrazem luksusu w dobrym stylu, o ile dzisiejszych czasach pojęcia te nie są zasadniczo przeciwstawne. Dochody pana Stągiewki, który przebywał od dłuższego czasu na kontrakcie Polservice'u w Libii, oraz wyszukany gust pani Stągiewkowej, która była kobietą elegancką - o ile w dzisiejszych czasach dwa ostatnie słowa nie zawierają sprzeczności same w sobie dały uderzający efekt. Linie, kolory i faktury były tu skomponowane w przemyślaną całość, a najdrobniejszy nawet przedmiot posiadał swoje miejsce i w ogóle nie wolno było go ruszyć. Koleżanki Matyldy lubiły tu przychodzić. Twierdziły, że w mieszkaniu tym jest atmosfera.

Obiad, przyrządzony przez gosposię, czekał na piecyku w kuchni (błękitne kafelki, szafki z jasnej sosny), w dużym rondlu. Obok rondla stała kartka od mamy z napisem: Nie kupuj biletów na dziś, okazało się, że mam dyżur. Wobec tego Matylda podpałiła gaz pod rondlem (cielęcina w sosie szczypiorkowym) i czekając, aż się obiad zagrzeje, sięgnęła po słuchawkę telefonu, który dla wygody zamontowano i w kuchni.

Nakręciła numer szpitalnej centrali.

- Stomatologię poproszę - powiedziała. -Doktor Stągiewkową - pomieszała łyżką w rondlu i spojrzała w okno.

Za siatkową firanką walił gęsty śnieg.

W słuchawce odezwał się głos mamy, więc Matylda wyjaśniła Jej, że niestety kupiła już bilety na dziś wieczór i że wobec tego pójdzie z jakąś koleżanką lub z chłopakiem, który będzie miał akurat czas. Pożegnała mamę chłodno i uprzejmie, nałożyła sobie na talerz cielęciny i ryżu, po czym usiadła przy sosnowym stole pod oknem.

Na dworze trwała niesamowita zamieć, powietrze było tak wypełnione mknącymi tumanami śniegu, że zrobiło się niemal ciemno. W brunatnej poświacie ukazało się jednak coś, co sprawiło, że Matyldzie szczypiorek stanął w przelyku. Ktoś był w

ogrodzie. Ktoś zaglądał do wnętrza kuchni. Ktoś przytykał twarz do szyby rozplaszczając nos, ktoś usiłował przeniknąć wzrokiem szkło i firankę. A kiedy nie osiągnął pożądanego rezultatu, odszedł od okna i zadzwonił do drzwi. Dzwonek był długi, ostry i przeraźliwy.

Matylda przeknęła nieco ryżu, wstała bez pośpiechu i poszła spokojnie otwierać. Miała już pewien pogląd na to, kogo ujrzy na ganku.

Dzwonek terkotał natarczywie, powtarzając sygnał w tym samym rytmie co parę sekund. Matylda odemknęła główne drzwi i ujrzała tę właśnie osobę, której się spodziewała: dziecinę z jęzorem. Co prawda jęzor był teraz schowany, a dziecina jak odmieniona - przyjemna i zachęcająca - ale pomylić ją z kim innym było rzeczą niemożliwą.

Wiatr wcisnął przez uchylone drzwi kilka garści śniegu.

- No? - spytała Matylda krótko, odsunęła się z przejścia i wpuściła małą do środka, szybko domykając za nią drzwi. - Czego chcesz?

Jej głos, bynajmniej teraz nie zamśwowy i nie modulowany, brzmiał ostro i niemilo; Matylda nie widziała jednak powodu, by się wysilać na modulowanie dla istoty tak mizernej.

- Przyszłam jednak - wyjaśniającym tonem przemówiła mała pokraka, zakaszła, pociągnęła nosem i zaczęła odpinać guziki kożuszka.

Matylda nie miała pojęcia, co by tu odpowiedzieć. W milczeniu patrzyła, jak dziewczynka zdejmuje kożuch, strzepuje go energicznie i wieszka na kółeczku przeznaczonym na torby i parasole, w dolnej części ozdobnej drewnianej garderoby.

- A... po co przyszłaś? - spytała wreszcie akurat w chwili, gdy mały gość zdjął berecik i walił nim dziarsko o rozpostartą dłoń, znacząc ścianę śladami mokrych bryzgów.

- Na obiadek - wyjaśniła dziewczynka - wpadłam tu dziś, bo miałam po drodze.
- To mówiąc, powiesiła beret obok kożuszka schowała ręce w rajstopy, wyraźnie odruchowym gestem. Na żółtych, wytartych w okolicy kolan rajstop widniały już ślady po kilku innych takich obiadkach najlepiej były widoczne te po dżemie z czarnej porzeczki.

- Zjem dzisiaj tu.

- Dlaczego niby miałabyś zjeść tu? - głos Matyldy zgrzytnął.

- A dlaczego nie? - spytała dziewczynka z lekkim zdziwieniem.

- przecież ja cię nie znam - powiedziała oschle Matyllda. - Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

- Trombke się nazywam. Trombke - wpadła jej w słowo dziewczynka. - Trombke Genowefa.

- To jeszcze mało - rzuciła z irytacją Matyllda. - Skąd ja mam wiedzieć, czy ty mnie nie nabierasz?

- Nie nabieram! Naprawdę jestem głodna! - zapewniła ją Genowefa. - A zresztą, jakbym nabierała, to co? Nie masz obiadu? Nie szkodzi, zjem sobie chlebka.

Matyllda milczała niezachęcająco, patrząc w bok.

- To mam sobie iść, tak? - zrozumiała dziewczynka z przykrością i podniosła pełne żalu czarne oczy.

Zaprzeczenia nie było, więc niechętnie sięgnęła po swój kożuszek.

- Poczekaj chwilkę - powiedziała Matyllda i dziecko aż się rozpromieniło, zwracając się ku niej całym ciałem. - Czy ty przypadkiem nie jesteś siostrą Jurka ze szkoły muzycznej?

- Nie - odrzekła Genowefa po gorliwym namyśle. - Jurka ze szkoły muzycznej - nie. Nie i nie. Na pewno.

- A, to może Ryszarda?

- Ryszarda? - zastanowiła się Genowefa. - Też ze szkoły muzycznej?

- Nie, z technikum chemicznego.

- A, z chemicznego. Nie. Z chemicznego nie.

- Z którego więc?

- Co z którego? - wytrzeszczyła oczy Genowefa Trombke. W jej twarzy znać było szczery wysiłek. Bardzo się starała zrozumieć i dopomóc.

- Słuchaj, powiedz mi wreszcie po prostu - czyją ty jesteś siostrą - z irytacją zażądała Matyllda.

Genowefa wzmogła w sposób widoczny swe myślowe wysiłki.

- Yh, yh, ja nie wiem - wystękała wreszcie.

- No, jak to nie wiesz? Przecież to brat cię tu przysłał, prawda?

- Skąd - ze zdumieniem odpowiedziała dziewczynka. W życiu nie miałam brata. Ani siostry.

Matyldę w sposób zupełnie wyraźny zatkało.

- O - powiedziała wreszcie, przestając uważać, że cokolwiek rozumie. - To dlaczego szłaś za mną? Dlaczego pokazywałaś język?

Ostatnie zwłaszcza pytanie zbiło dziewczynkę z pantafelku. Wydeła policzki, a następnie z furkotem wypuściła powietrze ze stulonych ust.

- No?! - nacisnęła Matylda.

- Ja... lubię... tego... chłopaka - wydusiła wreszcie z siebie Genowefa Trombke.

Matylda wyprostowała się i odrzuciła z czoła pasmo bladozłotych włosów.

- Wiedziałam, że chodzi o chłopaka - powiedziała z satysfakcją osoby, która po długotrwałym macaniu stopą w trzęsawisku nareszcie odnajduje pewny grunt. - Tylko jeszcze nie wiem, o którego?

- Jak to o którego? - zdumiała się Genowefa. - Przecież jest tylko jeden!

Mina Matyldy była wypadkową rozbawienia, pobłażliwości i absolutnej pewności siebie.

- Tak sądzisz? - spytała słodko.

- On się przewrócił na schodach! - krzyknęła Genowefa, zakładając ręce w tył i robiąc gniewną minę, co oszpeciło ją jeszcze bardziej. - Ja tylko go straszyla, on tak śmiesznie przede mną ucieka... miły jest... On nie chciał mnie nadepnąć i się przewrócił, a ty się śmiałaś... To brzydko!

Matylda wyprodukowała kwaśny cytrynowy uśmiech.

- Skąd znasz tego chłopaka? - spytała równie kwaśno. Milczenie. Genowefa zacisnęła szerokie usta, tworząc z nich jedną, dość długą linijkę.

- A... może wiesz, jak on ma na imię? - cierpliwie podpytywała Matylda.

Nie było odpowiedzi.

- No, cóż - Matylda oderwała się od ściany i zwróciła w stronę drzwi kuchennych. - Jeżeli go tak bardzo lubisz... może będę mogła dziś ci go pokazać. Teraz chodźmy do kuchni. Dostaniesz jednak obiad.

Pojawili się w hallu Opery, pod Moniuszką, za dziesięć siódma kiedy Maciek przyszedł o szóstej czterdzieści pięć. Kreska już była oparta plecami o marmurowy cokół, z brązową fizjonomia Moniuszki ponad głową, ręce miała w kieszeniach swego dziwo-płaszczu, a gumę do żucia w ustach. Żuła, żuła, postukiwała czubkiem pantofla o posadzkę w rytm jakiejś swojej wewnętrznej, skocznej melodii i beztrosko popatrywała po wypełniającym się z wolna hallu.

Maciek z daleka zobaczył jej jasną twarz w kształcie serca. Pomachał nad głowami ludzi, ale go nie zauważyła. Dopiero kiedy stanął przed nią, zakłopotany i oficjalny, i wykrztusił „dzień dobry” - jakby się widzieli przed paroma dniami, a nie zaledwie trzy godziny temu - spojrzała na niego oczami pełnymi blasku, wypluła gumę w garść i powiedziała krótko:

- Chodźmy.

Skontrolowano im bilety i poszli, cicho stąpając po grubym chodniku, przez półkolisty westybul, w prawo. Pośród kremowej bieli ścian, pośród luster, złocień i kinkietów z żaróweczkami w kształcie płomyków, pośród silnie retuszowanych fotosów balerin i solistów, można było na chwilę zapomnieć, że się żyje w epoce nuklearnej. Całkiem sporo ludzi szukało tego zapomnienia - już w tej chwili w westybulu roily się dziesiątki osób. Maciek z miejsca zapuścił sokoli wzrok w ten wytworny tłumek, oddając się bez reszty poszukiwaniom jedyne go powodu, dla którego tu przybył - to jest, cytrynowej dziewczyny. Bardzo tym tropieniem zajęty, nie od razu dostrzegł, że Kreska już stoi przy marmurowej ladzie szatni i w najlepsze gawędzi z grubą, siwą szatniarką (miała szczególne upodobanie do takich pogawędek. Woźny w szkole też za nią przepadał) i oddaje swój płaszcz. Maciek spiesznie oddał skafander, zabrał ich wspólny numererek, umieścił go w kieszeni marynarki - po czym nagle stanęli twarzą w twarz i Maciek osłupiał. Uczucie, które go ogarnęło, było gwałtowne i bliskie oburzenia, a streścić dałoby się w Jednym zdaniu: „Jakim prawem ta przekłeta Kreska wygląda inaczej niż zwykle?”

Przyzwyczał się do jej codziennego wyglądu i teraz czuł się niemal nieswojo. Nie było w niej ani śladu zwykłej zamaszystości. Ubrana była w powiewną, ciemnozieloną sukienkę, trzymającą się na dwóch sznureczkach i ukazującą delikatne ramiona. Wokół szyi zawiązał sobie jakąś, psiakrew, obrózkę z malutką czerwoną różyczką. Nie podobało mu się to. Zdecydowanie. Z tymi zupełnie gołymi ramionami, z tą całkiem gołą szyją. Kreska wyglądała jak całkiem inna dziewczyna i Maciek poczuł się obco i niezręcznie, ponieważ ta inna dziewczyna to była bardzo ładna i pociągająca dziew-

czyną i na domiar złego intensywnie z niej emanowało - dotąd jakże dotkliwie nieobecne - technienie romantyzmu. A romantyzm był cechą, którą Maciej Ogorzałka szalenie wysoko cenił w osobach płci żeńskiej.

Kreska stała na tle kremowej ściany, na twarzy miała pełen czułości cień uśmiechu, a jej lśniące oczy (które nagle okazały się zielone, a nie bure) patrzyły prosto w oczy Maćka - poważnie i pytająco. Maciek pomyślał niechętnie, że Kreska ma śliczne usta - i zaraz się zmarszczył, zły sam na siebie za tę myśl niestosowną, zupełnie jakby Kreska była jego siostrą.

- Fajna kiecka - powiedział sucho i uprzejmie, odpowiadając na to nieme pytanie w jej oczach tak, jak - zdawało mu się - ona by sobie życzyła.

Ale to nie było to pytanie, a już na pewno nie ta odpowiedź. Twarz Kreski zmieniła się nagle, jakby ją kto przetaił gąbką i wydobył zwykłą, zawiadacką i wesołą minę spod maseczki. Powiedziała też po swojemu, szorstko i wesoło:

- Człowieku, no spodziewam się, że fajna, kosztowało mnie to kupę wysiłku. Ufarbowałam letnią suknię, a potem ją suszyłam na kaloryferze. Nie chciała, cholerna, wyschnąć, więc musiałam użyć suszarki do włosów. Trzy godziny na całą operację, stary!

- No, przecież nie trzeba było - oschle zauważył Maciek. - Kryzys jak licho, wcale nie trzeba się stroić. O, patrz, tamta dziewczyna przyszła do opery w dżinsach i w golfie.

- Tamta dziewczyna nie ma krzty wycucia - oznajmiła Kreska z mocą. - Równie dobrze mogła przyjść w szlafroku, bo jest kryzys, albo przywlec kożę na sznurku. Specjalna Okazja wymaga Specjalnego Stroju - broniła nadal swych pozycji. - Jeżeli nie będziemy umieli się zdobyć nawet na taki mały, niepotrzebny wysiłek, wkrótce skapcanejemy do cna i będziemy tu przychodzić w waciakach. Co tu czasy mają do rzeczy. Zresztą, o, proszę, sam też przywdziałeś garniturek i krawacik. - Nie patrząc, Maciek poczuł na sobie ciepło jej spojrzenia. - Wyglądasz jak dyrektor zakładu drobiarskiego - powiedziała, pociągnęła Maćka za rękaw granatowego garnituru i powlokła go, obrażonego nieco, w stronę drzwi wiodących na widownię.

Opera Poznańska jest bardzo ładnym budynkiem o szlachetnych proporcjach i takichż tradycjach. Wystrój widowni też ma bardzo ładny - Jeśli ktoś lubi czerwony plusz i złocenia. Kolosalnych rozmiarów kryształowy żyrandol (tysiące i tysiące krysz-

tałowych łożek i kryształowych kuleczek na kolistym metalowym -szkielecie) wisi nad głowami melomanów, rozpraszając ich uwagę i powodując nieodmiennie na każdym spektaklu falę cichych rozważań na temat trwałości zamocowania w suficie.

Pierwszy rząd, pośrodku którego mieli miejsca Kreska i Maciek, był jeszcze pusty. Sala wypełniała się powoli, a Maciek siedział jak na szpileczkach, wiercił się w swoim fotelu, podskakiwał i przemieszczał, zajęty zgadywaniem, z której też strony nadejdzie cytrynowa dziewczyna. Chciał ją widzieć od pierwszej chwili. Chciał zobaczyć, z kim przyjdzie. Oczywiście, z jakimś wspaniałym facetem w smokingu. Taka dziewczyna na pewno nie wychodzi wieczorem z kuzynką. Ciekaw był tego faceta. Ciekaw był, jak ona na tamtego będzie patrzyła. Czy wejdą trzymając się za ręce, czy objęci, czy może - osobni i oficjalni?

Gubiąc się w rozważaniach i domysłach, biedny Maciek przeżywał istne męki oczekiwania. Nie słuchając, potakiwał Kresce, która - ożywiona - gadała i gadała, komunikowała mu, że we Wrocławiu, skąd pochodzi, nie ma takiej rozkosznej Opery i że ona, Kreska, w ogóle szalenie lubi staroświeckie wnętrza, rozglądała się po sali, pokazywała mu żyrandol pod sufitem i partyturę rozłożoną tuż przed nimi, nieco w dole (gdyż od kanału dla orkiestry dzieliło ich tylko wąskie przejście przy balustradzie), i piękną panią w łoży, i znajomego hydraulika w trzecim rzędzie.

Już zgromadzili się muzycy, już zapalili lampki przy pulpitych, już poczęli stroić instrumenty, napełniając całą salę czarodziejską atmosferą oczekiwania na cud - już rozmowy, śmiechy i kasłania zaczynały dogasać i cichł z wolna szelest papierków na widowni - a dwa krzesła na skraju pierwszego rzędu pozostawały wciąż puste.

Kreska umilkła wreszcie, zerkając niepewnie na swojego sąsiada, on zaś, bez ruchu wpatrzony w drzwi boczne, nie dbając o to, że boli go wykręcona szyja, skupiony był cały w tym jedynym punkcie świata.

Zgasł gigantyczny żyrandol, pogasły kinkiety między łożami cisza ogarnęła salę i wyraźnie słychać było, jak bileterki zamykają wszystkie drzwi. Maciek oklapł i zwiesił głowę.

Powitany burzą oklasków pojawił się sławny dyrygent, oślepiająco łysnął żółtawą kulą łysiny w smudze światła rzucanej przez reflektor punktowy - skłonił się i zwrócił ku orkiestrze. Postukał batutą w pulpit. Podniósł prawą rękę. A więc - to koniec. Nie przyjdzie.

Na przekór jednak tej myśli Maćka drzwi boczne otworzyły się z rozmachem, dał się słyszeć protestujący szept bileterki i oczy najbliżej siedzących zwróciły się w stronę dwóch osób, które po omacku, w półmroku, przedzierały się na swoje miejsce. Maciek nawet nie musiał patrzeć w tym kierunku, by widzieć, że jednak przysła!

Przymknął oczy. Poprzez pierwsze takty uwertury przedarł się z lewej strony jakiś kaszel, jakieś sapanie, skrzypnięcie odchylanego fotela. Spojrzał ostrożnie w lewo.

W półmroku, za nieruchomymi profilami sąsiadów, dostrzegł tylko złociste mżenie jej włosów i jedno migdałowe oko, lśniące w świetle rzucanym przez lampki orkiestrowe. Jeszcze ostatni szelest - i dziewczyna odchyliła się na oparcie, znikając mu z pola widzenia. Maciek także zagłębił się w swój fotel, odetchnął głęboko i na moment przymknął oczy. Odpoczywał po wysiłku oczekiwania. Westchnął znów i popatrzał w prawo, na czysty profil Kreski. Natychmiast, jakby wyczuła jego spojrzenie, odwróciła głowę i popatrzała na niego wielkimi, poważnymi oczami. Skinął jej głową pobłażliwie, a ona odpowiedziała mu ostrożnym uśmiechem.

Na czas antraktu Kreska nie chciała opuścić widowni.

- Posiedźmy tutaj - namawiała Maćka. - Pogadamy trochę, jest pusto, a na korytarzu tłum. Poza tym, ten żyrandol jest fascynujący.

- Chodźmy, no, chodźmy, proszę cię - nalegał Maciek, przestępując w miejscu.

Mógłby zabić Kreskę za ten jej tępy upór. Trawiło go pragnienie pogoni. Chciał dotrzeć w pobliże cytrynowej dziewczyny i skontrolować, kto jej towarzyszy. Nie zdołał tego stwierdzić po pierwszym akcie, kiedy opadła kurtyna i zabłysły światła, ponieważ zarówno dziewczyna, jak i osoba jej towarzysząca, natychmiast się podniosły. Zasłonięte przez najbliższych wychodzących również sąsiadów, pognały chyba do bufetu, gdzie, jak szeptano wśród publiki, była do nabycia czekolada bez katek.

- Ale ja nie chcę czekolady - upierała się Kreska, głucha na Maćkowe błagania. - Chrzanię ich czekoladę, pluję na te ich ochłapy, zresztą to na pewno jest wściekle drogie.

- Dobra. To idę sam - zdecydował się wreszcie Maciek.

- Dżentelmen! - obrazila go rozzłoszczona Kreska.

- Podobno są i dropsy - beznamiętnie rzekł on, kierując się ku wyjściu. - Kupię ci.

- Chrzanię ich dropsy! - wybuchnęła Kreska i około siedmiu sekund posiedziała w zbuntowanej pozie, z wysuniętym podbródkiem i zaciśniętymi pięściami. Potem nie wytrzymała. Dogoniła Maćka w załomku westybulu, przebijając się przez kulturalne gromadki spacerujących melomanów, którzy zapewne również chrzanili te ochłapy.

Pojawiła się u boku Maćka bez słowa. Bez słowa kroczyła przy nim po czerwonym chodniku, milczała i z rzadka tylko zerkała w któreś z licznych ściennych zwierciadeł. W swojej szmaragdowej kreacji podobała się nawet sama sobie. I już nie żałowała, że w przypływie niezrozumiałej fantazji odcięła całą górę tej kiecki przed farbowaniem, choć momentami, nie da się ukryć, chłodek przelatywał jej przez gołe ramiona i plecy.

Niestety, Maciek nawet na nią nie patrzył. Sprawdzał każdy metr kwadratowy zatłoczonego westybulu, który półkolistie obiegał parter widowni - i dopiero kiedy uzyskał pewność, że nie ma tu tej, której szuka - pobiegł w stronę schodów wiodących do bufetu na piętrze.

Bufet mieścił się w lustrzanej salce pseudorokokowej, pełnej kryształowych połysków i zwierciadlanych lśnień. Ledwie Maciek i Kreska tam wpadli, czekolada się skończyła. Tłumek wyciekał przez drzwi, lecz ona stała dokładniusięko na wprost wejścia jakby przez cały czas wiedziała, że Maciek lada chwila tam wleci.

Ubrana w piękną suknię z miękkiego szarego jedwabiu, ozdobiona dyskretną biżuterią ze srebra, uczesana w grecki bladozłoty kok, stała sobie wspierając wąską dłoń o biodro, a jej oczy zalśniły na widok Maćka jak dwie niklowane błyski do połowu szczupaków.

Maciek Ogorzałka stanął jak wryty, głównie dlatego, że nagle dostrzegł, gdzie spoczywa druga dłoń wytwornej istoty: oto na ramieniu tego małego okropieństwa odzianego w boty, golfik i poplamione żółte rajstopki; tego ze wszech miar przeraźliwego stworzenia, które właśnie rozmaśliło się w szczerbatym uśmiechu powitalnym i wychrypiało, podając przybyłym lodowatą rączkę:

- Dobry wieczór! Cześć i czołem! - po czym pytająco spojrzęło na swą towarzyszkę, jakby sprawdzając, czy zadanie zostało dobrze wykonane.

- Ach, to wy się znacie? - spytała zagadkowo dziewczyna głosem fletu czarodziejskiego i zatopiła niklowane źrenice w oczach Maćka.

- Tak!!! - wypalił momentalnie Maciek Ogorzałka i w ten oto nieskomplikowany sposób znajomość została zawarta, czemu naiwny chłopiec nie mógł się wprost

nadziwić. Wszystko byłoby cudownie, gdyby nie obecność małego potworka. - Czy to... siostrzyczka? - spytał Maciek, kryjąc wstępt.

Cytrynowa Matylda nie udzieliła jednoznacznej odpowiedzi, pomna, iż jednoznaczne odpowiedzi są zazwyczaj o wiele mniej frapujące niż wieloznaczne milczenie, poparte nieznacznym uśmiechem i dwuznacznym spojrzeniem z ukosa. To tak jak z pomarańczami: pół pomarańczy smakuje o wiele lepiej niż cała pomarańcza, nie mówiąc już o dwóch.

Konstatując, że chłopiec ma wystarczająco błędne oczy, Matylda przeniosła uwagę na towarzyszącą mu dziewczynę. Oszacowała Kreskę i jej Specjalny Strój spojrzeniem króciutkim jak błysk flesza - od czubka jej samodzielnie ostrzyżonej głowy po czubki własnoręcznie odmalowanych wilbrą pantofli letnich. Towarzyszący temu poślizliwy uśmiech każdą normalną kobietę doprowadziłby do szału. Ale nie Kreskę. Kreska zajęta była obserwowaniem nadzwyczaj interesującego zjawiska, jakim była mała Genowefa. Kiwając się intensywnie na obcasach i rozanielonym uśmiechem reagując na obecność Maćka, dziewczynka powiedziała nagle

- Popatrz, co ja potrafię! - i wykonała najzupełniej prawidłowy mostek. Stała w tej pozycji przez kilka zapierających dech sekund wreszcie podniosła się jak na sprężynie, rozdziawiła się w uśmiechu i puściła wspaniałe perskie oko.

Kreska odpowiedziała jej spontanicznym uśmiechem i równie wspaniałym mrugnięciem, a to spowodowało z kolei natychmiastową reakcję Genowefy. Nieznacznie opuściwszy stanowisko przy boku Matyldy, ustawiła się koło Kreski ciasno przylegając ramieniem do jej boku. Potem, niezależnie od toku rozmowy, co jakiś czas podnosiła głowę i uśmiechała się do Kreski, na przemian znacząco i abstrakcyjnie.

Rozmowa zaś toczyła się niezbyt wartko. Matylda dbała o to, by wciąż mieć na twarzy uśmiech Giocondy, co było bez wątpienia zajęciem absorbującym; Maciek, nadal oszołomiony szczęściem obcowania tak bliskiego ze swym marzeniem, bąkał coś nieskładnie; Kreska zaś nie miała nic specjalnego do powiedzenia - może poza tym, że nie przepada za towarzystwem wystrojonych do niemożliwości zgrywusek o zimnych oczach przepełnionych podstępными zamiarami: - ale tego akurat powiedzieć nie mogła, więc milczała. Jej spokojne spojrzenie irytowało jednak Matyldę, która, parokrotnie poczuwszy je na sobie, zdetonowała się z lekka, a wreszcie zwróciła się do Maćka z naiwnym pytaniem:

- Czy to twoja siostra?

- Skąd, to jest Kreska - rzucił Maciek. Zabrzmiało to tak, jakby powiedział - „tylko Kreska”.

- Kreska? - uśmiechnęła się uprzejmie Matylda.

- Eee... tak. Przepraszam, Kreska, zapomniałem nagle, jak ty masz na imię - stwierdził ze zdziwieniem Maciek. Kreska milczała przez chwilę.

- Janina - odrzekła wreszcie, a głos jej tchnął niezmaconym spokojem. - Janina Krechowicz.

„Patrzcie państwo, nie wiedziałem” - wyraziła mina Maćka.

- A ja jestem Genowefa Bombkę! - zawrzaśnięto gdzieś od podłogi. Niesamowite dziecko rozciągało tam właśnie swe członki w regularnym szpagacie, na swój sposób i w miarę swych umiejętności starając się awansować na duszę towarzystwa.

Wobec tego i Maciek się przedstawił, a to spowodowało, że doczekał się wreszcie, iż z własnych ust cytrynowej dziewczyny usłyszał jej imię, które wniknęło mu w uszy jak muzyka:

- Matylda... Matylda!

Ugodzony zachwytem, Maciek doznał natychmiastowego skojarzenia literackiego i wybełkotał:

- Matylda... de La Mole...

- Skąd - spojrzała ona ze zdziwieniem. - Stągiewka.

- Proszę? - stropił się Maciek, podczas gdy Kreska omal nie pękła, tłumiąc nagły atak śmiechu. - Nie, nie... ja... Stendhal...

- Stągiewka - powtórzyła Matylda z naciskiem. Przenikliwy pierwszy dzwonek rozbrzmiał tuż nad ich głowami i kazał Maćkowi zamknąć rozdziawione usta. Zresztą, zamknąłby je i tak. A co, czy każdy musi czytywać Stendhala? Sam zawinił, po co wyskakiwał ze swoimi snobistycznymi skojarzeniami. Piękne dziewczęta mają zupełnie naturalne prawo do lekceważenia arcydzieł światowej prozy, ponieważ same są żywymi arcydziełami Stwórcy i jako takie powinny tylko i po prostu - być, kwitnąć, ozdabiać świat i gasić swym urokiem wszelkie książkowe ramoty.

Kreska najwyraźniej ośmiela się kpić w duchu z Matyldy. Obrzydliwie rozbawiony uśmieszek drży w kąciku jej ust. Maciek zirytował się - oczywiście na Kreskę.

- Janina to rzeczywiście jak siostra - pospieszył nagle z zapewnieniem, bo przeszła go obawa, by Matylda nie pomyślała sobie aby czegoś niewłaściwego. - Znamy się jak te... jak łyse konie, prawda, Kreska?

Kreska spojrzała na niego szybko, rozszerzonymi oczami.

- Tak, Maćku. Dokładnie tak. Jak łyse konie - zgodziła się po krótkiej chwili, bardzo uprzejmie i bez śladu ironii.

Matylda coś powiedziała, ale jej słowa zagłuszył drugi dzwonek. Słyszał je tylko Maciek, gdyż stał - rzecz jasna - bardzo blisko.

- E, no pewnie - odpowiedział z wyrazem szczęścia w oczach, a głos jego aż wibrował. - Kreska, usiądź z tą małą, dobrze? - i już leciał za Matyldą, drobiącą w swych szarych pantofelkach zamszowych w stronę wyjścia.

- Oczywiście, że się nie obrazi... - dobiegła uszu Kreski jego odpowiedź na pytanie zadane przez subtelną Matyldę. - Jak te... jak łyse konie. Wzięłem ją dziś tylko dlatego, żeby się bilet nie zmarnował...

Odeszli.

Terkotał trzeci dzwonek i chyba od tego nagłego sygnału Kresce zatrzymało się serce. W oczach jej się zaćmiło i przez malutki ułamek sekundy miała wrażenie, że wszystko wokół sypie się, wali i rozpada w gruzy. Ale ktoś ścisnął ją za rękę zimnymi palcami i świat znów stał się taki, jak przedtem. Tyle, że dużo bardziej ponury.

- Lepiej - powiedziała Genowefa. - Smutno ci? - popatrzała na Kreskę z dołu, wysoko zadzierając ostrą bródkę. Oczy miała czarne i mądre.

- Gniewasz się, że musisz ze mną siedzieć? - spytała nieśmiało.

Kreska zmusiła się do uśmiechu.

- Skąd - odparła.

- Aha. To idziemy?

- Jasne. Idziemy. - Kreska mocniej ujęła małą, lodowatą rączkę o drobnych palcach. - Wiesz, mamy znakomite miejsca. Dla pracowników kultury. W samym środku pierwszego rzędu.

Genowefa rychło podzieliła tę opinię.

- Znakomite miejsca, znakomite miejsca - szeptała z zapalem, kiedy powitany znów wielkimi brawami pojawił się sławny dyrygent i stanąwszy dosłownie tuż przed

nią, z twarzą na wysokości jej twarzy, potoczył złocisty blask ze swej gładziutkiej łysiny. Przesłała mu przyjemny uśmiech, kiedy się kłaniał, i była przeświadczona, że odpowiedział jej mrugnięciem.

- Mrugnął do mnie, mrugnął do mnie, widziałaś? - szeptała, dysząc z podniecenia. - Och, jaki on piękny, jaką ma łysą główkę. Jak robak.

Punktówka zgasła i dyrygent wziął się za swoją robotę; machał i machał rękami, muzycy grali posłusznie, kurtyna poszła w górę i ukazała wnętrze Straszego Dworu, tłumek niemiłosiernie wymalowanych dziewczeczek nad haftem, potem Miecznika - Genowefa jednakże nie widziała nic, poza jednym wyłącznie: poza wspaniałą łysiną pana dyrygenta, która dokładnie na wprost niej, za balustradą, odstawiła swój własny, kuszący taniec. Po kilkunastu minutach pożądlivej obserwacji Genowefa wiedziała już, że co nieuniknione, stać się musi.

Póki co, zostawiała sobie to zadanie na potem, jak wytrawny smakosz dozujący rozkosze stołu, by przedwcześnie nie doznać przesytu. Nie ustawała za to w ciągłym przemieszczaniu się z fotela do obciążonej pluszem balustrady i odwrotnie, zanosząc się przy tym rozzierającym kaszlem. Psykania i wzrokowe gromy ze strony sąsiadów nie wywierały przy tym na nią najmniejszego wpływu.

Kreska natomiast siedziała bez ruchu i jakby nie widziała, co się dzieje na scenie i obok niej. Ściskając mocno dłonie, patrzyła nieruchomo przed siebie, a jej wzrok nie wyrażał absolutnie nic. Dużo za to myślała.

A raczej może nie myśli to były, tylko szereg niezbornych obrazów, w których Maciek był osobą pierwszoplanową. Przypominało się jej na przykład, że ujrzała Macieka pierwszego września ubiegłego roku, kiedy to wystraszona i zgnębiona poszła do swojej nowej szkoły. Spóźniła się, długo się błąkała po ponurych korytarzach, i to właśnie Maciek natknął się na nią i troskliwie doprowadził pod drzwi klasy. Już to tylko wystarczyłoby, żeby Kreska pokochała go od pierwszej chwili, nie musiałby nawet mieć tych oczu jak kasztany i tego zniewalającego uśmiechu... A potem się okazało, że mieszkają w sąsiednich domach. A jeszcze potem się okazało, że Kreska nie radzi sobie w szkole, a jeszcze potem - że Maciek jest genialny i wszystko umie, a matematykę zwłaszcza, i że do tego jest koleżeński i chętnie Kresce pomoże, i że Kreska ma wpadać do niego, ile razy ma kłopoty... „Wcale jeszcze wtedy nie wiedziałam, że jestem w nim zakochana - pomyślała Kreska ze zdziwieniem. - Tylko po prostu nie mogłam przeżyć nawet kilku dni bez niego”.

Jednakże wszystko od początku poszło w złą stronę. Na widok Maćka Kresce mdlało serce i oczy zachodziły łzami wzruszenia. Żeby nic nie pokazać po sobie, w obronnym odruchu stawiała się szorstka i rzeczowa, chociaż sama świetnie wiedziała, jak go to drażni i złości. „To się musiało skończyć jakąś Matyldą” - pomyślała Kreska z rozpaczliwą jasnością.

W tym momencie dotarło do niej, że na sali coś się dzieje. W połowie arii Miecznika na lewo od Kreski wszczął się szmer, ktoś dyszał, ktoś się zrywał, ktoś szepotał gorączkowo - kiedy tam spojrzała zobaczyła ślaniającą się w swym fotelu Matyldę i Maćka cucącego ją przy pomocy programu. Dwóch przejętych starszych panów rozcierało Matyldzie rączki. Mimo tych wszystkich zabiegów nieszczęsna mdlała nadal i dopiero kiedy Maciek wyprowadził ją - wspartą na jego ramieniu - zdawała się stopniowo nabierać wigoru.

Poruszenie było znaczne. Miecznikowi na scenie wyraźnie drgnął głos przy słowach „być odważnym jako lew”, widzowie z pierwszego rzędu wstawali ze współczuciem i ciekawością - i dopiero kiedy ozdobne drzwi bocznego wyjścia zamknęły się za Matyldą i Maćkiem, wszystko uspokoiło się z wolna.

Nie na długo jednak. Miecznikowi nie dane było odśpiewać swą arię do końca. Ciągnąc wysoki ton, urwał niespodziewanie i nie wyjaśnił publiczności, co mianowicie trzeba oddać na skinienie - za to osłupiałym wzrokiem zapatrzył się w pierwszy rząd, jakby widział tam - on jeden - czające się, straszliwe niebezpieczeństwo.

W rzeczy samej, coś się nagle zaszamotało, kwiknęło, z kanału dla orkiestry dobył się przerażający głos męski, ryczący:

- Yyy - muzycy zgubili ton, a Miecznik na scenie dostał napadu śmiechu.

Stało się bowiem to, co stać się musiało: Genowefa wywiesiła się za balustradę i kwicząc pomacała znienacka lodowatą rączką łysinę pana dyrygenta.

- Jesteś bardzo ciekawą postacią - surowo oznajmiła Kreska rozbawionej Genowefie. Za drzwiami sali rozpoczął się właśnie akt trzeci. One dwie zaś stały na grubym chodniku westybulu, po długotrwałym pobycie w toalecie damskiej. Ukrywały się tam od momentu, kiedy Kreska wyprowadziła z widowni wyjąca ze szczęścia Genowefę, tłumacząc oburzoną widzom, że biedne dziecko jest niestety umyślowo niezrównoważone. Siedziały w toalecie przez resztę drugiego aktu i calusieńki antrakt. Teraz, kiedy dziewczynce nie groziły już żadne nieprzyjemności ze strony wzburzonych melomanów, Kreska odważyła się wychynąć z Genowefą na otwartą Przestrzeń.

- Nie mogę pojąć żeby klepać dyrygenta? - powiedziała. - Co cię, u licha, napadło

- Sam się podwinął - wyjaśniła Genowefa z dziecinną prostotą. - Zresztą, bo ja wiem. Chciało mi się go poklepać, to poklepałam. Ja zawsze robię to, na co mam ochotę.

- Ho, ho. Naprawdę?

- Yhy. A co, ty nie robisz?

- Nie. Przecież nie podłożyłam Matyldzie nogi, prawda? - mruknęła Kreska. - Ładnie by doprawdy ten świat wyglądał, gdyby wszyscy robili to, na co mają ochotę.

- Tak - zgodziła się Genowefa. - Też myślę, że ładnie.

Kreska spojrzała na nią z zaskoczeniem. Potem oczami wyobraźni zobaczyła świat urządony według recepty Genowefy Bombkę - i, jakkolwiek była obecnie najdalsza od wesołości, musiała się roześmiać. Genowefa zawtórowała jej, uszczęśliwiona nieoczekiwanym sukcesem. Była przezabawna ze swoimi żarliwymi, czarnymi ślepkami, ze świeczką w każdej dziurce od nosa i z szerokim, bezzębnym uśmiechem.

- Lubię cię. Kresko - wyznała z głębi duszy.

- I ja cię lubię - w rewanżu odrzekła Kreska. - No, jak, idziemy z tego przybytku? Na widowni pokazać się już nie możemy, chyba to rozumiesz. Wywołałaś najprawdziwszy skandal.

- Oj. Ale on pięknie zaryczał!... - Genowefa zachłysnęła się szczęściem tego cudownego wspomnienia. - To było fajne. No, dobra. Idziemy. Masz numerek? - wyjęła swoją blaszkę zza gumki rajtuzów i z zajęciem skonstatowała, że Kreska się stropiła. - Nie masz! - wykrzyknęła. - Zgubiłaś!

- Jeszcze gorzej - mruknęła Kreska, przypominając sobie, że jej płaszcz i skafander Maćka wisiały na tym samym wieszaku i że szatniarka dała Maćkowi tylko jeden numerek.

- Będziesz wracać w taki mróz bez płaszcza? - zatroszczyła się Genowefa.

Do tego jednak nie doszło. Wprawdzie Maciek, bez reszty widać pochłonięty Matyldą, wziął swój skafander i zapomniał w ogóle o Kresce z jej płaszczem - to jednak gruba szatniarka ją pamiętała. Bez zbędnych formalności wydała okrycie, które również trudno byłoby pomylić z innymi. Kreska nie wracała więc półnaga w mróz, co

nie znaczy, by jej żal do Maćka uległ zmniejszeniu choć o odrobinę. Tak ją zlekceważył! Tak odtrącił! Jakże ona teraz będzie żyć?...

- Gdzie mieszkasz? - ocknęła się nagle na Moście Teatralnym. - Stały obie z Genowefą na środku jezdni, mróz ścisnął, wicher dął, chodnikiem przechodził nocny patrol, łomocząc butami. Śnieg sypał w mroku zaślepiając żółte oczy latarni.

- Na Norwida, tam, w tych nowych blokach - odpowiedziała z ociąganiem Genowefa i wyraźnie posmutniała.

- Z Matyldą? - spytała Kreska. - Kto to w ogóle jest, ta Matylda, czy to twoja siostra?

- Co wy wszyscy z tą siostrą? - zdziwiła się dziewczynka. - Wcale nie jestem jej siostrą! Nie mam żadnej siostry. Ani brata. A Matylda jest niedobra.

Kroki na chodniku, za ich plecami, ustały.

- Chodźmy już - powiedziała Kreska i ogłędnęła się nerwowo. - Odprowadzę cię do domu, nogi mi marzną.

Już bez słowa, pół biegnąc, kuląc się w zacinającym śniegu, dotarły do nowego osiedla koło szpitala Raszei. Genowefa zatrzymała się przed bramą wysokościowca i oświetlona bijącym z klatki schodowej sinym blaskiem jarzeniówek podniosła na Kreskę oczy pełne błagania i smutku.

- Zobaczymy się jeszcze, prawda?

- Na pewno, na pewno - mruknęła Kreska trzęsąc się z zimna i czując, jak jej stopy w cieniutkich pantofelkach lodowacieją coraz bardziej (ach, trzeba było jednak wybrać się do Opery w spodniach narciarskich i botach, ach, trzeba było nie wybierać się wcale...). - No, to pa, mała, na górę już chyba trafisz. Lecę, bo mi zimno.

- Ale ja wcale nie wiem, gdzie ty mieszkasz! - zawołała za nią żałośnie Genowefa, lecz Kreska już nie słyszała. Zniknęła w ciemnej, pełnej śniegu przestrzeni, nie domyślając się nawet, że doprowadziła małą dziewczynkę do łez.

- Dzień dobry - powiedziała Genowefa, zdejmując wreszcie palec z dzwonka. - Przyszłam na obiadek.

Siwa, szczupła pani, która na długotrwałe dzwonienie otworzyła wreszcie drzwi, przez chwilę wyglądała, jakby musiała się przyzwycząić do widoku Genowefy.

- Przyszłam na obiadek - powtórzyła Genowefa niepewnie.

Siwa pani uśmiechnęła się do niej.

- Dobrze trafiłaś. Dziś pierogi.

- Z czym? - poinformowała się Genowefa.

- Z mięsem!

- A, to lubię.

- A, to mnie cieszy. - Siwa pani miała oczy błękitne, trochę złe a trochę smutne. Ale uśmiechała się wciąż i w najmniejszym stopniu nie przejawiała zaskoczenia z powodu planów konsumpcyjnych Genowefy. Wprawilo to dziewczynkę w szampański humor.

- Znam mnóstwo dowcipów - zareklamowała się, wkraczając z rozmachem do przedpokoju i zdejmując kożuszek. Od ciepłego powietrza rozkaszała się jak zwykle i długo potem zipała, żeby złapać oddech.

- Zapalenie oskrzeli - stwierdziła ze znanstwem siwa pani. - Syropek jakiś pijesz?

- Ciągle zapominam, cholera - wyznała Genowefa. - A zupa jaka?

- Rosół.

- Ojejku. Wszyscy jedzą rosół. - Genowefa wytarła nos rękawem, bo chusteczki jakoś nie mogła znaleźć w żadnym zakamarku swych rajtuzów. Potem weszła za panią do dużej i jasnej kuchni. Tu rzuciło się jej w oczy, że dwa wielkie okna zawierają dwa piękne widoki na ulicę Roosevelta i na daleki, błękitny i zaśnieżony park wokół Opery. Spodobało jej się.

W ogóle, z punktu poczuła się dobrze i swojsko w tym mieszkaniu. Pachniało tu smacznie i ciepło, na co od razu zwróciła uwagę, zapachy bowiem były jej ulubioną stroną rzeczywistości. Podobnie jak smaki.

Pośrodku tej miłej, obszernej i wysokiej kuchni stał potężny stół na grubych toczonych nogach. Przy stole zaś siedziały cztery dziewczyny. Trzy z nich były rude, a jedna miała włosy koloru słomy, ostrzyżone jak u chłopaka. Spośród tamtych trzech najbardziej ruda była panna Ida, na widok której Genowefa zareagowała radosnym ożywieniem. Do tej przecież Idy przybyła właśnie z wizytą przyjaźni. Lecz niestety panna Ida czytała przy jedzeniu wcale nie spojrzała na dziewczynkę. Ta najstarsza dziewczyna - a właściwie pani - ta ze słomianymi włosami, w jednej ręce trzymała

łyżkę, a drugą kiwała wózek ze śpiącym dzieckiem. Spojrzała na Genowefę mile i puściła do niej perskie oko.

Genowefa uznała, że lubi tę przyjemną osobę i przeniosła wzrok na dwie dziewczynki, siedzące po jednej stronie stołu, pod ścianą. Jedna z nich była gruba, a druga chuda. Były o parę lat starsze od Genowefy, co ją odrobinę onieśmieliło.

- Iduś, dostaw jeszcze jedno nakrycie - poleciła siwa pani i podeszła do piecyka, osnutego smakowitymi kłębami pachnącej pary,

Panna Ida podniosła głowę znad książki i spojrzała na Genowefę. Chyba ją poznała, ale nie powiedziała na ten temat ani słowa. I nawet się do Genowefy nie uśmiechnęła. Wytrzeszczyła tylko oczy i zrobiła się okropnie czerwona na twarzy.

- Cześć i czołem! - przywitała ją więc Genowefa. - To ja. Pamiętasz mnie? To z tobą rozmawialiśmy wtedy w bramie, ja i...

- Tak!!! - przerwała jej Ida z dziwaczną gwałtownością i podniosła się raptownie zza stołu. - Tak, tak, oczywiście, ja też pamiętam! - stojąc przy kredensie, za plecami sióstr, przewróciła oczami i, rozciągając usta, powiedziała coś bezgłośnie do Genowefy.

- Proszę? - spytała Genowefa. Nie bardzo rozumiała, o co chodzi rudej, z drugiej jednakże strony nie lubiła, kiedy jej kto przerywał. - Mówię, że to z tobą rozmawialiśmy wtedy w bramie, Ja i...

- Oczy! ...Wiście!... - wrzasnęła Ida, łapiąc dech. - Oczywiście - zrobiła do Genowefy potworną minę, wyszczerzyła zęby, po czym nagle dodała sztucznie słodkim głosem: - A oto i twoje nakrycie, maleńka.

- O, dziękuję. Ale tu przecież jest wolne nakrycie - zauważyła Genowefa, siadając przy stole.

- Nie rusz!!! - krzyknęły nagle i jednocześnie dwie dziewczynki. Zerwały się ze swoich miejsc i obie - gruba i chuda - stały groźnie nad zdezorientowaną Genowefą. Młoda pani z wózkiem podniosła oczy.

- Natalia, Patrycja, proszę siadać - powiedziała strofująco.

- Ale, Gabusiu... Ale przecież... nie można!

- Tak - zgodziła się pani nazwana Gabusią i spojrzała na Genowefę zamyślonymi oczami. - Ale ona przecież o tym nie wie. To miejsce musi być wolne, wiesz? - wyjaśniła miłym głosem. - Czekamy na kogoś.

- Aha, on zaraz przyjdzie, tak? - domyślnie spytała Genowefa. Lubiła zadawać pytania. Już dawno bowiem odkryła, że ilekroć o coś spyta, otrzymuje jakąś odpowiedź. Uznała, że jest to bardzo dobry sposób poznawania tego skomplikowanego świata, w którym przyszło jej żyć. Bo gdyby nie pytała - mogłoby się wszak zdarzyć, że nikt by jej nic nie powiedział... tym razem nikt nic nie powiedział właśnie - chociaż wszystkie dziewczyny patrzyły w ten pusty talerz i milczały, siwa pani pogłaskała Genowefę po buzi i spytała miękko:

- Ty nic nie wiesz?

- A co?

- Jak to możliwe? - zdziwiła się siwa pani, a wszystkie dziewczyny wpatrzyły się w Genowefę. - Ty jesteś przecież z naszego podwórka, tak? Jesteś koleżanką Patrycji?

- Neeee - zaprzeczyła gruba Patrycja. - Ja, mamuś, nie znam tej dziewczynki.

- Ja też nie - oświadczyła chuda Natalia z wielkimi zębami. - Jak się nazywasz, mała?

- Ja się nazywam Genowefa Pompkę - rzekł mały gość z powagą.

- A jakże tu do nas trafiłaś? - pytała pani, uśmiechając się mile. Genowefa już nabierała tchu, by opowiedzieć szczegółowo, co zaszło w bramie, kiedy błyskawicznie wtrąciła się Ida.

- Pewnie twoje obiady są głośne, mamó, w całej okolicy - powiedziała. - Wczoraj było tu na rosółku pół podwórza.

- Osiem osób! Tylko osiem osób! - sprostowały obronnie Patrycja i Natalia.

- Osiem osób, osiem gąb - mruknęła pani Gabunia. - Osiem żywych reklam jałdodajni pani Borejko.

Siwa pani Borejko parsknęła śmiechem i dalej dopypywać się, czy do Genowefy rzeczywiście dotarła jakaś tego typu wieść.

- Jaka wieść? - spytała Genowefa nic nie rozumiejąc. - Ja przyszedłam dlatego, że...

- A! - krzyknęła panna Ida tak gwałtownie, jakby ją kto uszczypnął.

- ...że państwa Lewandowskich nie ma w domu - dokończyła Genowefa obserwując ze zdziwieniem, jak panna Ida, cała czerwona, opada na krzesło z wyrazem ulgi na twarzy.

- Zgadza się, nie ma ich - przyświadczyła pani Gabunia, zerknęła na Idę i mocniej zakolysała wózkiem, bo dobiegało z niego jakieś Pomrukiwanie. - Widziałam ich na Placu Mickiewicza, całą rodzinę.

- To wspaniali ludzie - powiedziała siwa pani, naląła rosołu i postawiła talerz przed Genowefą.

- I mają wspaniałych synów - dorzuciła pani Gabusia z niewinną miną.

- A zwłaszcza jednego - chórem i znacząco powiedziały Natalia i Patrycja, po czym wydały z siebie jednocześnie znaczące chrząknięcie.

Panna Ida zerwała się, wywracając krzesło.

- Mamo!... - krzyknęła kozim głosem, zupełnie jakby miała lat osiem, a nie osiemnaście.

- No, co? - zaśmiała się siwa pani.

Genowefa z zainteresowaniem patrzyła to na jedną, to na drugą stronę stołu, żywo uczestnicząc w wymianie zdań. Wyglądała jak zagorzały kibic meczu tenisowego.

- One mi dokuczają! - poskarżyła się Ida. Pani Borejkowa oświadczyła, że nie słyszała.

- Jak to, nie słyszałaś! Jak to, nie słyszałaś! One mówią, że Sławek...

- Że Sławek? Kto tu mówił coś o Sławku? - siwa pani udawała tylko zdziwienie, ale Genowefa się na tym nie poznała.

- O Sławku? - krzyknęła. - Ja mówiłam o Sławku! Ja go znam! Ida też go zna! Staliśmy razem w bramie i on powiedział, Idusiu...

- Rany boskie, weźcie tego bachora, bo go uduszę! - wybuchnęła panna Ida. - Mała, jedz no szybciej, bo ci rosół ostygnie!

Genowefa lekko speszona, posłusznie wetknęła łyżkę w rosołową toń. W ciszy, która przez moment panowała w kuchni Borejków, dały się słyszeć dalekie, lecz zbliżające się powoli sygnały. To długie i przeraźliwe, to modulowane, to całkiem krótkie, jak uderzenia, przeciągały śródmieściem, kierując się w stronę Pałacu Kultury. Kobiety w kuchni spojrzały po sobie w milczeniu. Dziecko w wózku obudziło się nagle i zapłakało.

- Gabriela, zajmij się pierogami! - poleciła siwa pani ze spokojem. - A ja się zajmę Pyzunią.

- To jest Pyzunią? - chciała wiedzieć Genowefa, zaglądając do wózka.

- Tak - pani Borejkowa aż się cała rozplynęła w czułym uśmiešku wyjmując z wózka tłustego i różowego człowieczka w białym - Moja wnuczka.

- Moja córka! - sprostowała zazdrośnie Gabriela od kuchenki.

- A kto jest jej tatusiom? - spytała Genowefa siorbiąc i mlaskając rosół bowiem bardzo jej smakował, a tak spożywany - Smakował o sto razy lepiej.

Znów nie utrafiła z pytaniem. Pani Gabriela gwałtownym ruchem odwróciła się od pieca i spojrzała na nią ostro, pozostałe zaś osoby z uporem wpatrywały się w swe talerze.

- Tata jest pewien człowiek niegodny tego miana - oświadczyła wreszcie pani Gabriela, z furią wytrząsając pierogi na półmisek. - Obecnie znajduje się on w Australii, wiesz, na końcu świata, bo tam można zarobić dolary na samochód. A tu nie można.

- Nic nie rozumiem - oświadczyła Genowefa po raz drugi.

- Nie szkodzi - fuknęła Gabriela. - Ja i tak nie do ciebie mówię.

Ale Genowefa nie dała się zrazić, bo lubiła być dogłębnie poinformowana.

- To na niego czeka ten talerz? - pytała wytrwale. Znów cisza.

- O, nie - powiedziała zajadle pani Gabrysia. - Nie na niego. Janusz Pyziak zresztą i tak tu nie wróci.

Siwa pani usadziła dziecko na swoich kolanach i spojrzała na Genowefę błękitnymi oczami, które teraz były całkiem smutne.

- Talerz czeka na mojego męża - wyjaśniła równym głosem. - Na ojca tych tu czterech panien;

- On też jest na końcu świata? - spytała Genowefa z właściwym sobie taktem.

- A, nie. Nie. On jest w Polsce. Jak zawsze - odparła siwa pani tak cicho, że ledwie ją było słyhać.

- To kiedy on przyjdzie na obiad?! - chciała wiedzieć zniecierpliwiona Genowefa.

Ale odpowiedzi znów nie otrzymała. Siwa pani szybko wstała od stołu i zawołała różnym głosem:

- No, kto zjadł rosół, niech się bierze za pierogi!

- Nic a nic nie rozumiem - powtórzyła półgłosem Genowefa i dla pośpiechu do-kończyła rosół pijąc wprost z przechylonego talerza;

Lekarze twierdzą podobno, że stan ducha zwany zakochaniem przypomina pewne formy obłądzenia. Jeżeli tak im się kojarzy stan zakochania z wzajemnością, to cóż powiedzieliby o miłości nieszczęśliwej, zawiedzionej i odepchniętej, pozbawionej nawet ociupinki nadziei?

Nic człowieka nie cieszy. Nic. Każda myśl, od czego by nie wyszła, maniacko nawrócić musi do tego samego wciąż obiektu i tematu. Tragiczna, doprawdy, mania. Człowiek nią owładnięty godzien jest naprawdę głębokiego współczucia, tym głębszego, im mniej ma szans na uzyskanie jedyne go potrzebnego mu lekarstwa, to jest - wzajemności.

Idzie się, na przykład, ulicą i nagle gest przypadkowego przechodnia albo brzmienie czyjegoś głosu nawodzą na pamięć - jakżeby inaczej - tę jedną, jedyną osobę - i naprawdę można by umrzeć z tęsknoty wprost na zakurczonym chodniku.

Albo siedzi się w klasie i niespodziewanie na cyfry w zeszytcie nakłada się - jak żywy - obraz czyjejś ręki z długopisem, pochylonej głowy, cienia pod rzęsami... słyszy się ten niepowtarzalny głos, objaśniający, jakże cierpliwie, zawłościci geometrii - i gotowe. Ból w sercu, łzy w oczach, człowiekowi robi się wszystko jedno. Dwójka nie dwójka, nagana, obniżone sprawowanie - jakież to może mieć znaczenie? Świat widzi się w odcieniach mrocznych i posępnych, przyszłość maluje się przed człowiekiem pesymistycznie. Wspomnienia i wizje pojawiają się coraz bardziej natrętnie, zupełnie jakby kierowane były przez tajemniczy mechanizm o wciąż większej szybkości obrotów. Ponieważ żyć z tym nie można, chciałoby się wymazać te wspomnienia z pamięci - co do jednego - a równocześnie nie chce się stracić żadnego z nich, bo są już ostatnim skarbem, jaki się ma.

Biedna Kreska. Jej życie toczyło się na pozór po dawnemu, co ją samą zdumiewało. Po dawnemu poruszała się, oddychała, pracowała, jadła, odrabiała lekcje. Machinalnie farbowała swoje stare kiecki, szła na zamówienie, chodziła nawet do kina (unikając jedynie z uporem filmów o miłości) i sprzątała dziadkowi mieszkanie, bez powodzenia zresztą. Ale to już nie była dawna Janka Krechowicz. Pobladła, smutna, z podkrążonymi oczami, z mglistym wzrokiem - wyglądała jak z kiepski w dodatku, por-

tret akwarelowy. Przede wszystkim rzucało się w oczy - to, że wszelka radość wygasła. Przestała nawet dbać o ubiór, wciągała na grzbiet w i co no bo dla kogo tu się trudzić? Prawdziwym elegantkom się nie dorówna, kiedy się, jak Kreska, nie dysponuje niemal żadnymi finansami. Więc nie warto. Nic nie warto. Bo - dla kogo?

W tym to stanie ducha zadzwoniła któregoś popołudnia do Boreików. Ida która lubiła się stroić, a u której tendencja ta ostatnio wzmogła się zauważalnie, zamówiła u Kreski pikowaną kamizelę ze starych łatek kretonowych. Dzwoniąc do tych znajomych drzwi, Kreska pomyślała, że niezależnie od kamizeli trafiłaby tu prędzej czy później. Znała Borejków od dawna, ilekroć przyjeżdżała do poznania w odwiedzin, dziadek prowadził ją do czterech wesołych dziewcząt albo zapraszał je wszystkie na lody. Po nieszczęściu, jakie spotkało Kreskę ubiegłej zimy, właśnie dom Borejków, dotknięty takim samym nieszczęściem, był tym miejscem na ziemi, gdzie rozumiano ją najlepiej. Powinna była właściwie przewidzieć, że i z tym swoim najnowszym zmar-twieniem przyjdzie tu właśnie - nawet nie po to, by o nim mówić, i nie po to, by ją po-cieszano - ale żeby przyłożono jej do serca życzliwość, jak przykłada się plasterek na ranę.

Pora była niemal wieczorowa i na ciemnych schodach pachniało świeżo upie-czonym ciastem. Drzwi otworzyła Gabrysia w spranych dżinsach i swojej odwiecznej kraciastej bluzce, piastując na biodrze śliczną malutką córeczkę. Gabrysia była uśmiechnięta jak zawsze, na przekór wszystkim dramatycznym wydarzeniom, jakich nie oszczędziły jej ostatnie lata. Kreskę tak zastanowiło to dziwne a rzadkie zjawisko, że nie powiedziała nawet „dzień dobry”, tylko, wchodząc do przedpokoju, wypaliła z miejsca:

- Jak ty to robisz, że nie jesteś smutna?

- Opowiadam sobie dowcipy - odrzekła Gabrysia, prychnęła śmiechem i doda-ła: - Właż, Janeczka. Dawno cię tu nie było.

Łokciem zatrzasnęła drzwi, wymierzyła Kresce przyjacielskiego kuksańca i po-wiodła ją do dużego, zagraconego, nieporządnego i uroczonego pokoju o zielonych ścia-nach. Pośród najprzeróżniejszych, nienowych i niepięknych sprzętów na honorowym miejscu Pyszniło się tu nowiutkie, białe lakierowane łóżeczko z kolorową pościelą i całą furą zabawek. Przy stole, jak zawsze zarzuconym książkami i czasopismami, stało wysokie krzeselko, do którego to mebla Gabrysia właśnie wsadziła Pyzunię, by podjąć przerwana czynność wpychania w nią kaszki na mleku.

- Pyzo - powiedziała czule. - Jedz kaszkę, bo nie urośniesz ani centymetra!

- Nie cię! - oświadczyła radośnie Pyza, dziecko dziedziczące widać po swojej matce nie tylko pogodę ducha, ale i niezłomny charakter.

- Jak się czuje profesor? - spytała Gabrysia, zapominając na chwilę o kaszce.

Kreska westchnęła, jak zwykle ostatnio, kiedy myślała o dziadku.

- Smutny i milczący - powiedziała. - No i z sercem wciąż niedobrze.

Gabrysia milcząc patrzyła w łyżeczkę.

- Bardzo go lubię - szepnęła.

- A on ciebie.

- Był najlepszym nauczycielem i wychowawcą, jakiego widział świat - wojowniczo oświadczyła Gabrysia. - To nie do pojęcia, że on właśnie nie może już uczyć.

Kreska uśmiechnęła się smętnie i pokiwała głową.

- Dlaczego nie chce widzieć nikogo z nas, nikogo z dawnych uczniów?

- Chce. Tylko...

- Nie, nie chce, Janeczko. Nie chce. Cesię prawie wyrzucił za drzwi, Pawełkowi powiedział, żeby nikt do niego nie przychodził... Nie chce nas...

- Chce. Jestem pewna. On... ja myślę, że nigdy jeszcze tak was wszystkich nie potrzebował.

- To co, przyjść? Ja też chciałabym go zobaczyć. Nie widziałam go od września.

- No jasne, że przyjdź. Jesteś taka wesoła i pogodna. Powinnaś przyjść właśnie teraz. - Kreska spojrzała z wahaniem na Gabrielę i nieśmiało powiedziała: - Właśnie o to chciałam cię zapytać, odkąd weszłam. Ty sobie dałaś radę ze wszystkim. Żadne nieszczęście cię nie złamie. Jesteś wciąż radosna, a jak to się robi? Jak można być radosnym na tym strasznym świecie?

- Nie „można”, a „trzeba” - mruknęła Gabrysia, ocierając bródkę dziecku. - Ciapku jeden, Pyzo okropna, na dziś ci daruję, kasza już jak lód. Ty wiesz. Kreska, co to za bystra osoba? Nie tknie, ale zobaczysz, co się będzie działo, jak jej dam parówkę.

- Parówkę! - ożywiło się dziecko w sposób widoczny.

- O właśnie - Gabrysia odsunęła przemyślną konstrukcję za którą schowany był półmisek z pokrywką. Wyjęła z d niej cienką kielbaskę i podała dziecku, które rzuciło się z entuzjazmem na jadlo. - Widziałaś? Skąd ja mam brać tyle parówek? - pytała re-

torycznie Gabrysia. - Wracając do tamtej sprawy - powiedziała, odchylając się w krzesło i kierując na Kreskę żywe spojenie. - Nikomu nic nie przyjdzie z tego, że ja się rozkleję. Pamiętasz co twój dziadek mawia? Że uśmiech bywa aktem męstwa, że smutek to słabość i postawa zbyt wygodna. Być radosnym i dobrym, kiedy świat jest smutny i zły, to mi dopiero odwaga.

- Ja nie myślę, Gabrysiu, że świat jest zły. Myślę, że jest piękny. Tylko czasy, w których żyjemy, są straszne.

Gabriela spojrzała uważnie na Kreskę ciepłymi, mądrymi oczami. Potem wlepiła jej kuksańca i powiedziała:

- Ciele jesteś. A czy kiedykolwiek były inne czasy? Co też ty bredzisz, Janka, świat zawsze był taki sam - pełen miłości i nienawiści zarazem, dobra i zła, kłamstwa i prawdy. To że nas przypadkiem zło dotyka, nie znaczy wcale, że jesteśmy szczególnie pokrzywdzeni. Trzeba to przyjąć jak jeszcze jedną próbę, którą nam los zadał - i spokojnie robić swoje.

- Co niby? - spytała z rezygnacją Kreska. - Co w ogóle można robić w takich beznadziejnych czasach, z tak niepewną przyszłością w perspektywie?

- Boże, no to samo, co w każdym innych: myśleć. Wybierać. Walczyć. Doskonalić się. Kochać...

Kresce rumieniec wypłynął na twarz i czoło. Zacięła usta i odwróciła się z desperacją.

- Ooo... - zrozumiała Gabriela. - No, nie mów. Kłopoty sercowe?

Kreska milczała jak purpurowy głaz.

- Patrzcie, państwo, a ja myślałam, że ona ma poważne problemy! - zawołała dziarskim głosem Gabriela. - No nie, tym to się w ogóle nie przejmuj! Popatrz na mnie, mąż mi uciekł na Antypody, Pyzunia nawet go nie obchodzi... - tu jednakże głos Gabrysi wyraźnie się załamał. - A ja się przecież trzymam prawda?...

- Prawda - miękko przyznała Kreska. Chwila ciszy.

- A w każdym razie udaję, że się trzymam - uzupełniła rzczoowo Gabrysia.

- Dobrze ci to wychodzi - szepnęła Kreska.

Znów cisza. Dziecko ciamkało parówkę, a zza drzwi słychać było podśpiewywanie Natalii:

- Szczekają już psy, skończyła się wolna sobota...

- Tak naprawdę - powiedziała nagle Gabriela wciąż tym samym pękniętym głosem - tak naprawdę, Janeczko, to tym właśnie koniecznie trzeba się przejmować. Tą jedną sprawą... miłością.

- Od tego ona jest, żeby się nią przejmować - zgodziła się Kreska.

- Właśnie. Czasami nawet - dodała Gabrysia. - Czasami nawet... można sobie ewentualnie... troszeczkę popłakać.

- Uhm - przytaknęła Kreska.

Popłakały sobie razem przez dziesięć sekund i trochę im ulżyło. Może płakałyby i dłużej, ale niespodziewanie otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyła zamaszycie mama Borejko z cukiernicą i talerzem pełnym świeżutkiej szarlotki. Gabrysia natychmiast zrobiła minę dziarską, ale Kreska nie zdążyła i mama Borejko skarciła je obie wzrokiem.

- Powinnyście się nawzajem podtrzymywać na duchu, a nie dosmucac! - powiedziała mimochodem a surowo. - Gabriela, proszę natychmiast sprzątnąć ten śmietnik ze stołu. Janeczka, wytrzyj nos i ustaw krzesła. Będziemy jeść podwieczorek.

W drzwiach, zwabione wonią ciasta, pojawiły się teraz Natalia i Patrycja, za nimi zaś, poprzedzana głębokim ochryplym kaszlem, zmaterializowała się Genowefa Pompkę we własnej osobie. Z początku patrzyła w najbardziej hałaśliwy punkt pomieszczenia, to jest w Gabrysię, która właśnie wyjmowała z wysokiego krzeselka swoją Pyzunię i całowała ją w karczek, wywołując tym fontannę pisków i chichotów. Lecz potem wzrok Genowefy – pełen tęsknoty - przesunął się na inne osoby i oto nagle cały pokój zawibrował jej donośnym wrzaskiem:

- Kreska! Kreseczkaaa!!! - Śmignąwszy przez pokój Genowefa z rozbiegu wskoczyła Kresce w ramiona i zawisła na jej szyi, wciskając nos w mokry jeszcze policzek dziewczyny.

Skonsternowana Kreska stała jeszcze chwilę bez ruchu, piastując w objęciach ów słodki, pachnący gumą do żucia i czekoladą, lepki i silnie przybrudzony ciężar. Wreszcie sił jej zabrakło, postawiła małą na podłodze, przykucnęła przed nią i powiedziała

- Cześć i czolem. Miło cię znów zobaczyć. - Prawdę mówiąc, wcale nie było jej miło, bo na widok Genowefy stanął jej przed oczami - w całej swej okropności - tamten wieczór w Operze. Ale cóż temu winna była ta mała? - No, jak? - spytała Kreska pogodnie - Skąd tu się wzięłaś, hm?

Ależ radosne były te czarne ślepka! Cała buzia, usmarowana czekoladą, promieniająca szczęściem, zrobiła się w uśmiechu wręcz poprzeczna.

- Przyszłam do Idy na obiadek - wyjaśniły szczerbate usta. - Bo ja stałam w bramie ze Sławkiem i weszła Ida, i on powiedział, że...

- Cisza!!! - ryknęła Ida z przedpokoju, zreflektowała się i dodała ze sztuczną swobodą: - Dajcie temu dziecku czekolady czy coś. Zapchajcie mu wreszcie ten dziób!

Kreska odgarnęła małej potarganą grzywkę.

- Czekoladę to Genowefa ma nawet na czole - zauważyła.

- Bo oni tu mają taką pyszną, z orzechami. Amerykańską - Wyjaśniła Genowefa, patrząc na Kreskę rozkochanym wzrokiem.

- Paczka z Chicago - dodała Gabrysia. - Ta pani znów napisała bardzo miły list. Wszystko o nas wie, o ojcu też. Przysłała mnóstwo wzruszających drobiazgów, nawet gumkę krawiecką. Chcesz trochę?

- Jasne! - zapaliła się Kreska. - Dajcie od razu kawałek, wszyję w tę Idy kamizelkę. Zaraz, gdzie się podziała Ida?

- W tej chwili wyszła - znaczącym tonem, odpowiedziały Natalia i Patrycja i jednocześnie zaniósły się znaczącym chichotem.

- To szkoda - stwierdziła Kreska; - To ja się nawet nie dowiem, czy jej się przyda ta kamizela.

- Oj, przyda się, przyda! - powiedziały znacząco Natalia i Patrycja i jednocześnie znacząco zachrzękały.

- A co się dzieje? - zaśmiała się Kreska. Gabrysia prychnęła.

- Te dwie wariatki wkraczają w wiek dojrzewania. Słuchajcie pryszczate, takimi śmichami-chichami możecie Idusi zdrowo dokuczyć. A może tego właśnie chcecie, co? Zawiść was dręczy?

Natalia i Patrycja zaczęły się zaklinać, że nic podobnego, w pokoju znów się zrobiło hałaśliwie i wesoło, z kuchni gwizdał czajnik Przyniesiono herbatę i odbyło się

rozkoszne picie i gawędzenie oraz pożeranie wspaniałego ciasta. Potem obdarowano Kreskę dziesięcioma metrami bezcennej gumki, paczką herbaty dla dziadka oraz pastą do zębów - a przez ten cały czas Genowefa tkwiła u boku swojej Kreseczki - ciasno przytulona, spokojna, bezpieczna i szczęśliwa.

Kreska czuła się podobnie. Plasterek Borejków został już przyłożony i chyba nawet przrósł jej do serca - w każdym razie wyraźnie odczuwała jego kojące i rozgrzewające działanie. W końcu jednak trzeba było zebrać się i odejść; dziadek nie lubił zbyt długo zostawać sam w domu. Kreska podniosła się - i wstała też Genowefa. Po czym, jakby to się rozumiało samo przez się, bez słowa podążyła za Kreską do przedpokoju. Tam wdziała boty i nałożyła kożuszek oraz berecik.

- Idziemy! - zakomenderowała, sięgając do klamki. - Dziękuję za bardzo pyszny obiadek i wszystko - rzuciła z czystej uprzejmości. Wypadło to dosyć zdawkowo. Chęć znalezienia się sam na sam z uwielbianą Kreseczką gasiła widać w Genowefie wszelkie inne emocje.

Kreska ubrała się pośpiesznie, wyłuskując swój płaszcz z przeładowanego wieszaka. Podczas gdy Natalia i Patrycja żegnały się z Genowefą, upychając jej po kieszeniach paczuszki gumy balonowej z Chicago, mama Borejko wzięła Kreskę na stronę.

- Janeczko - szepnęła. - Co to za dziewczynka, czy ty ją dobrze znasz?

Spojrzały obie naraz na szczęśliwą Genowefę. Z wypiekami na policzkach, z oczami jak gwiazdy, rozdziawiając się w stuprocentowym uśmiechu, dziewczynka chłonęła jakieś Gabrysińskie żarciki, nie spuszczając wzroku z jej wesołej twarzy.

- Myślałam, że dowiem się czegoś od pani - odrzekła cicho - Widziałam ją raz w życiu... w Ope...rze. - Wiem, że mieszka na Norwida, w tych na samo

- Tak - powtórzyła pani Borejko. - I nazywa się pompkę.

- Bombkę.

- Tak Pompkę, mówię przecież. Cos dziwnego Jest z tym dzieckiem nie umiem tego sprecyzować, ale czuję... czuję to przez skórę - powiedziała szeptem pani Borejko i wzdrygnęła się jak od dreszczu. - Siedziała u nas pół dnia i ani razu nie wspomniała o domu czy rodzicach - ani słówkiem! Ale powiedzmy, że wcale nie jest dziwne. Powiedzmy. To jednak dziwne jest co innego: że ona tak namiętnie się garnie do obcych ludzi. To jest aż... przejmujące - pani Borejko spojrzała Kresce prosto w oczy i powiedziała z naciskiem: - Janeczko, odprowadź ją, proszę, do domu. A potem daj mi znać,

gdzie ona mieszka. Dokładnie. Jakoś tak czuję, że muszę to wiedzieć. Bo inaczej stanie się coś złego.

Ale Kreska nie spełniła prośby pani Borejkowej. Mimo że naprawdę zamierzała to uczynić. Nie wyszło, po prostu. Kiedy znalazła się z Genowefą na ulicy, było prawie ciemno. Pochmurne niebo, miękkie i obwisłe jak flanela, otulało dachy i kominy; łagodna szarość osypywała się na ulice; brudnawy śnieg, tu i ówdzie rozmiękł, tu i ówdzie odgarnięty na boki, szpecił trotuary, przeobrażając się w stojące, smętne i czarne kałuże. Genowefa z całą satysfakcją wlaźła w jedną z nich.

- Co robimy? - spytała radośnie, nie wypuszczając ze swej lepkiej rączki dłoni Kreski.

Kreska, która miała szczerzy zamiar odprowadzić małą do domu, a następnie wrócić do siebie i zająć się lekcjami - teraz pojęła, że proponowanie Genowefie czegoś takiego, wobec ogromu jej radowi i jej oczekiwań, byłoby zwykłym grubiaństwem.

- Zapraszam cię na lody - powiedziała. - Do Hortexu. - Po czym zreflektowała się i dodała: - Nie, na lody nie, bo kaszlesz. Na krem.

- Co się martwisz, ja ciągle kaszlę - beztriosko rzuciła Genowefa. - To samo przejdzie.

- To przejdzie w zapalenie płuc, chodź no szybciej, piątka idzie - zarządziła Kreska. - Jak podbiegniemy, to za chwilę będziemy na Głogowskiej.

Ale to tylko jej zależało na pośpiechu. Nie Genowefie. Genowefa chciała być z Kreską jak najdłużej. Toteż ociągała się, jak mogła powłóczyła nogami, przystawała co chwilę - zdążyły do tramwaju tylko dlatego, że piątka musiała przystanąć, by przepuścić długi sznur wozów milicyjnych, ciągnących od Placu Mickiewicza i kierujących się na Kochanowskiego. Ostatni z nich przejechał, odprowadzany wzrokiem wszystkich przechodniów, piątka zakręciła ze zgrzytem i łoskotem, i znalazła się na przystanku właśnie wtedy, gdy Kreska i Genowefa tam dotarły.

Zaraz potem z ciężkiego nieba lunął cichy i ciepły deszcz, jakby natura właśnie odczuła potrzebę dokładnego umycia tego szarego i smutnego zakątka Polski.

W Hortexie też było szaro, a przy tym tłoczno. Kreska usadziła małą przy czarnym stoliku pod oknem, sama zaś poszła w kolejkę do kasy. Nie minęły jednak i cztery sekundy, jak Genowefa znalazła się przy niej. Oczywiście, stolik zajęto w mgnieniu oka. I kiedy Kreska nabyła wreszcie porcję rozmiękłych truskawek z kleksem bitej

śmietany - nie było już gdzie usiąść. Poszły więc przez całą długość baru, rozglądając się za skrawkiem miejsca, i znalazły je w odległym kącie pod fikusem, przy stoliku zajęтым przez rozczochranego staruszka. Staruszek miał wielki nos jak pomidor, a na nim okulary, i z zajęciem oddawał się lekturze nie nowej już gazety „New York Times”. Był tak zaczytany, że ich niemal nie zauważył.

Usiadły. Dalekie to wszystko było od wygody i przyjemności, ale Genowefie najzupełniej wystarczało. Oblizła łyżeczkę i z błogą miną rozejrzała się wokół.

- Nigdy tu nie byłam - oznajmiła. - Ojejusi, ale to jest pyszne! - jadła krem z zapalem bardziej chyba odnoszącym się do sytuacji niż do przysmaku.

- Czy... nie powinnaś być już w domu? - spytała Kreska przebiegle, niczym prawdziwy detektyw.

- Nie - padła krótka odpowiedź.

- A rodzice jeszcze nie wrócili z pracy? - badała ostrożnie

Genowefa napchała w usta truskawek i uśmiechnęła się wymijająco, pomyślała, że pani Borejko trochę przesadza. Rodzice pracują zapewne do późna, a dziecko łązi samopas. Było smutne, ale nie zagadkowe. Z pewnością też w sytuacji Genowefy nie było niczego dramatycznego: była dobrze ubrana, dobrze odżywiona i dobrze rozwinięta. I o co jeszcze chodzi?

- A klucz od mieszkania pewnie nosisz na sznurku, na szyi - spytała dla uzupełnienia całości obrazu.

Dziewczynka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Skąd - odparła.

Nim jednak Kreska zdążyła zadać następne pytanie, ujrzała coś, co sprawiło, że płynący rumieniec wylał się biedaczce na twarz, a tchu zabrakło jej zupełnie na przeciąg dobrych paru sekund.

Oto przez gwarny tłum przedzierał się roześmiany Maciek Ogorzałka lśnią z daleka jasnożłotą czupryną i białymi zębami, w rękach trzymał po miseczce deseru lodowego Ambrozja. Za Maćkiem podążała roześmiana Matylda, transportując z wdziękiem dwie herbaty ekspresowe. I oczywiście szukali wolnego miejsca.

Jeżeli oni ją teraz tu zobaczą... Kreska siedziała zwrócona twarzą do kasy. Genowefa zaś, przeciwnie, zajadała swój deser na wprost wielkiego okna. Żeby ich tylko nie zauważyła... Kreska upuściła łyżeczkę - stary, dobry sposób - i schyliła się pod stół,

bawiąc tam tyle czasu, ile - wydawało się jej - będzie potrzebował Maciek, żeby znaleźć wolny stolik.

Niestety, wolnych stolików nie było. I kiedy Kreska wyjrzała spod stołu, Maciek i Matylda wciąż jeszcze stali - tyle, że dużo bliżej - i rozglądali się bezradnie. Teraz już tylko kwestią czasu było nieuniknione spotkanie. Kreska siedziała na swoim stołku, nisko spuściwszy głowę, i błagała w duchu rozczochranego staruszka, żeby nie dopijał herbaty i nie składał gazety, bo gdyby zwolnił miejsce, ściągnąłby niechybnie poszukujący wzrok Macieja.

Kochany staruszek czytał jednak zapalczywie, od czasu do czasu wydając zadowolony rechocik; był dopiero w połowie artykułu wstępnego i ani myślał dopijać herbaty. Za to Genowefa, dziecko bystre, nieomylnie wyczuła, że Kreska jest w stanie napięcia. Podniosła znad kremu czujny wzrok, popatrzała na kryjącą się Kreskę, rozejrzała się po sali, i z głębi trzewi ryknęła:

- Maciuś!!!

Tłum wokół umilkł, dziesiątki oczu wpatrzyły się w Genowefę która w rozchełtanym kożuszku, z nosem białym od bitej śmietany, stała z wyciągniętymi rękami i z miłosnym uniesieniem wymalowanym na szpetnej twarzyczce.

Kresce pobladły usta i zapłonęły uszy. W tej właśnie chwili dostrzegła ją Matylda. Uśmiechnęła się wyrozumiale i szepnęła coś Maćkowi do ucha. Po czym oboje zaczęli się przeciskać w stronę gdzie siedziały Kreska z Genowefą. Tego już było dla biednej Kreski za wiele. Salonowe rozmówki z parą szczęśliwych zakochanych to coś, do czego nie była zdolna dzisiaj i nigdy zdolną zapewne nie będzie. Poza tym, dała sobie przecież słowo, że nie odezwie się do Maćka już nigdy w życiu.

Zbladła, uśmiechnęła się białymi wargami, wstała od stolika i bez słowa oddaliła się ku bocznemu wyjściu.

Zimny, przykry dzień. Mokre nogi. Lodowata bryja na chodnikach zlanych brudną wodą. Piotr Ogorzałka, brat Macieja, przemarzył do szpiku kości. Ledwie wyskoczył - nieco ogrzany - z tramwaju numer trzyście, znów ziąb przeszył go na wskroś, zagłębiając się w każdy zakamarek ciała jak igły lodowe. Przyczyną tego dramatycznego stanu, w jakim się znalazł Piotr Ogorzałka, stał się granatowy skafander.

Pan Piotr był człowiekiem nieco po trzydziestce, bardzo wysokim i szerokim w barach. Lubił ubierać się zimą w sportowy skafander z kapturem - i właśnie coś takie-

go miał teraz na sobie Tylko że to nie był jego skafander. To był skafander Macieja. Za krótki w pasie, za krótki w rękawach i nie dopinający się na pierś. Na skutek niepojętej zaiste pomyłki młodszy brat Piotra, luby Maciuś, wyszedł dziś rano z domu w skafandrze koloru khaki, należącym do Piotra, swój, granatowy, pozostawiając na wieszaku.

Pan Piotr otrząsnął się z irytacją, wzdrygnął z zimna, schował czerwone ręce o spierzchniętych nadgarstkach do kieszeni, które i tak były za płytkie - i skulony, kłusem przebiegł odległość dzielącą go od domu. Brama. Ciepłej. Chwała Bogu. Na schodkach podestu, należącego do parteru, siedziała dziewczynka w czerwonym berecie i rzewnie płakała.

- Co się stało? - spytał pospiesznie pan Ogorzałka, który w tej chwili o niczym bardziej nie marzył niż o szklance gorącej herbaty wypitej po solidnym tłustym obiedzie z gorącą tłustą zupą i gorącą pieczenia z kartofelkami. I kapustą. Jednakże był dobrym człowiekiem, a własne ciężkie przejścia uwrażliwiły go dodatkowo na niedolę innych. Obok kogoś takiego, rzewnie płaczącego na brudnych, ciemnych schodach. Piotr nie umiałby przejść obojętnie.

- Co się stało, malutka? - spytał więc znowu. Ta jakby tylko na to czekała. Podniosła zalaną łzami twarz, spojrzała na pana Piotra i wychlipała:

- Nie ma ich w domu...

Pan Piotr z namysłem pogładził swą dziką brodę ciemnoblonde.

- Hm... To wszystko? - zapytał.

Dziewczynka pokiwała głową, wciąż wylewając łzy.

- E, to jeszcze nie tragedia - pan Ogorzałka potarł małą za ucho. - Nie płacz. Nie ma ich, ale przecież przyjdą - tu uśmiechnął się do małej krzepiąco, przy czym piwne jego oczy zmrużyły się bardzo sympatycznie, a kędzierzawe brwi, dotąd opuszczone nad nosem, uniosły się wesoło ku górze.

Wtedy stało się coś dziwnego. Płacząca dziewczynka przestała płakać tak nagle, jakby jej odcięto dopływ wody. Wstała, pociągnęła nosem i wzięła Piotra za rękę.

- Też tak myślę - powiedziała rzeczowo, jakby odpowiadając na jego prośbę. - Dobrze, więc pójdę na obiad do ciebie.

- Co? - wyrwało się zaskoczonemu Piotrowi.

- Dziękuję - z godnością odrzekła dziewczynka

Ogorzałka i się zastanowił.

- Słuchaj, hm... Nie chciałbym cię zmartwić, ale... istnieje możliwość, że u mnie ma żadnego obiadu...

- To nic - odparło dziwne dziecko. - Usmażymy sobie jakieś jajka

- Hm - mruknął pan Ogorzałka. - Jajka, powiadasz...

- Jajka - przytaknęła. - Mogę je nawet sama usmażyć. Ja umiem smażyć jajka na czternaście sposobów. Nauczył mnie mój tatuś, który jest szefem kuchni w hotelu „Merkury”.

- No, no - rzekł pan Ogorzałka. - Kto by pomyślał. No. no. Ale historia!

Macka wciąż jeszcze nie było. Jak przewidywał pan Piotr, nie było też obiadu. Kuchnia zapuszczona, naczynia stały w zlewie, a w lodówce nie było nic poza jajkami, masłem roślinnym i podwieńdłą cytryną.

- Są jaja - powiedział pan Ogorzałka. - Znaczy, jednak będziemy jeść - zdobył się na krzepiący uśmiech w stronę dziewczynki. - Słuchaj, mała, jak ty tam masz na imię...

- Genowefa Zombke.

- Ja jestem Ogorzałka. Więc słuchaj, Geniu. Plan jest taki: zaczniemy od szybkiego zmycia naczyń...

- Ja umiem! - wykasłała Genowefa.

- ... Doskonale. Umyjesz je. A przez ten czas będzie nam się gotować zupa w proszku. W czasie zaś, gdy będziemy jeść tę zupę, dojdą jajka sadzone.

- Do czego dojdą? - chciała wiedzieć Genowefa.

- No... tak się mówi. Dosmażą się, rozumiesz?

- Rozumiem. Dziwnie to nazywasz.

- Inaczej niż twój tata, co? - zaśmiał się pan Ogorzałka. - Kim to on jest?

- Docentem - odpowiedziała machinalnie dziewczynka. - Ale to ja będę sama smażyć jajka, dobrze?

- Zgoda - mruknął Piotr.

Doskonale pamiętał, że według poprzedniej wersji tata Genowef miał być szefem kuchni w hotelu „Merkury”. Ale zasadniczo nie lubił być niedyskretny, a zwłaszcza nie cierpiał wszelkiego rodzaju przesłuchań.

- Spójrz tu, zajrzyj w tę szufladę - widzisz, jaki wybór?

W szufladce kredensu pałętało się z dziesięć paczuszek z zupami w proszku oraz wiele interesujących a różnorodnych drobiazgów Genowefa zapuściła tam wścibskie oko.

- Ojejusiu, ale masz fajnie, stary - powiedziała z uznaniem. - A co to, zbierasz korki? Jedna dziewczynka... Arieta... też zbiera korki. Od wódki i denaturatu.

- Nie, nie to, żebym kolekcjonował... - wyjaśnił pan Ogorzałka - i rozwinął z przyjemnością temat. - Lubię sam sobie sporządzać spławiki do wędek. Wycinam je, rozumiesz, z korka po winie, wygładzam papierem ściernym, następnie przy pomocy farby olejnej maluję kolorowe paseczki...

- I co z tym potem robisz? - spytała zasluchana Genowefa, podpierając brodę rękami.

- Przytwierdzam do żyłki nylonowej.

- A żyłkę?

- A żyłkę do wędki.

- A wędkę?

- Co wędkę?

- Do czego przytwierdzasz wędkę?

- No, trzymam ją w ręce, po prostu.

- Ale po co?

Piotr Ogorzałka musiał się aż otrząsnąć z osłupienia.

- Genowefo - rzekł. - Czyżbyś nie wiedziała, do czego służy wędka?

- Do czego służy wędka? - spytała ciekawie Genowefa.

- Do łowienia, Genowefo, ryb! - rzekł z mocą Piotr Ogorzałka.

- Siecią? - ucieszyła się dziewczynka. - To ja wiem. Widziałam sieci w-telewizji. Czy ty jesteś rybakiem?

- A, nie. Rybakiem nie. Niestety.

- To kim jesteś?

Pan Piotr zastanowił się, milczał przez chwilę i westchnąwszy powiedział:

- Bankrutem. Ale xo tam, wszystko jeszcze może się polepszyć

- Na pewno!

- To co, jaką zupę wybieramy?

Genowefa tknęła palcem w najbardziej kolorową paczuszkę.

- Ziemniaczana „Florida” - przeczytał pan Ogorzałka. - No, może być. Ona jest jadalna.

Umyli naczynia, ugotowali zupę, zjedli ją i zabrali się do smażenia jaj. Przy tej sposobności Genowefa, zgodnie z poglądem pana Piotra, okazała umiejętności godne raczej córki docenta niż szefa kuchni hotelu „Merkury”. Mówiąc zwięźle - nie miała bladego pojęcia o smażeniu jaj.

Pan Piotr spojrział na nią spod opadających powiek.

- A nie będzie ci przykro?

- Trochę będzie - przyznała ona. - A tobie?

- O, tak - zgodził się sennie pan Ogorzałka.

- Nie martw się, jeszcze się zobaczymy - pocieszyła go Genowefa uśmiechając się szeroko i pokazując różowe, bezzębne dziasełka. - Wpadnę na obiadek w jakąś niedzielę, co ty na to?

- Bmmm... zachwy... cony... - wymruczał sennie pan Piotr.

- To cześć i czołem. Spij sobie teraz. Ja pójdę do państwa Borejków. Tam jest taka Gabrysia, taka wesoła, z krótkimi włosami...

- Mmm... kojarzę... - wymamrotał pan Piotr, z trudem unosząc powieki.

- Jej mąż uciekł na koniec świata. Po dolary.

- A to świnia - otrzeźwiał nagle pan Ogorzałka.

- A ona nie czeka na niego z talerzem.

- Z czym? - pan Piotr podniósł głowę znad poduszki.

- Z talerzem. Do zupy. Na tatę to czekają. Z talerzem. Do zupy. Ten tata gdzieś jest...

- Ja wiem, gdzie on jest - powiedział już całkiem trzeźwo pan Ogorzałka.

- Ta Gabrysia wczoraj płakała - poinformowała go półgłosem Genowefa. - Smutno jej chyba, że ten mąż zwiął. Czy ty masz żonę?

- Hę?! - pan Piotr był wstrząśnięty nagłym zwrotem w rozmowie. - Nie mam.

- A narzeczoną?

- Nie! Genowefo, dlaczego o to pytasz?

- Nie, nic... - bąknęła dziewczynka. - Pomyślałam, że może... Ale ty się pewnie rozgniewasz...

- No, co tam?

- Że mógłbyś czasem zabrać tę Gabrysię do kina. Przecież ty też jesteś smutny.

- Ja?!

- Tak. Mogę iść z wami, jakbyście chcieli. Bo ja też czasem jestem smutna. Widziałeś film „Charlie Brown i jego kompania”?

- Nie. Słuchaj, Geniusiu...

- Słucham, słucham!

- Jesteś bardzo miłą dziewczynką...

- Naprawdę?! - zapiała uszczęśliwiona Genowefa Zombke.

- bez wątpienia. Jednakże radziłbym ci nie interesować się bardzo życiem sąsiadów... i moim. Wiesz, po prostu nie wszyscy ta lubią. Ja osobiście wolałbym, żebyś nie organizowała mi, hm, rozrywek.

- O szkoda - zmartwiła się Genowefa. - No, ale jak chcesz. Dobrze. To śpij sobie teraz. Ja pójdę do Borejków. Może wrócili.

- Tylko, Genowefo...

- Co?

- Nie opowiadaj tam... a zresztą nic, nic - mruknął pan Ogorzałka z pewną irytacją i położył się na wznak, gwałtownie zamykając oczy.

- To cześć i czołem - powiedziała niepewnie Genowefa, przykryła go pledem po uszy i pocałowała - ku nieopisanej konsternacji Piotra - prosto w czoło. Definitywnie tym sposobem odpędziwszy odeń senność, ubrała się i na palcach opuściła mieszkanie, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Panu Piotrowi śniła się wysoka blondynka, ciskająca z furią o ścianę mnóstwem talerzy. Sen miał charakter koszmaru i był niebywale męczący. Był przy tym do tego stopnia sugestywny, że pan Piotr po nagłym przebudzeniu odruchowo spojrział pod ścianę, jakby sprawdzając, czy nie leżą tam jakie skorupy. Otrząsnął się z ulgą, widząc zakurzony stos gazet i buty narciarskie San Marco, pozostałość po epoce sukcesu. Następnie zerknął na zegarek (była siódma) i uprzytomnił sobie, że dzwonek u drzwi terkocze jak na alarm. Otworzył.

- No, nareszcie! - z wyrzutem rzekł Maciek, zaróżowiony na twarzy i odziany w skafander koloru khaki.

- Co nareszcie, jakie nareszcie, czy ty nie masz klucza? - zdenerwował się na ten widok Piotr.

- No, właśnie nie mam. Oba są w skafandrze.

- W którym?! - wybuchnął starszy brat.

- No, w granatowym - spokojnie rzekł Maciek. Rozebrał się, Powiesił skafander khaki w korytarzu i przeszedł do kuchni, gdzie wypił resztę zupy ziemniaczanej wprost z garnka i zagryzł to chlebem.

- Jak to się stało, że pomyliłeś skafandry? - spytał Piotr z u, silonym spokojem.

Maciek uśmiechnął się rozbrajająco.

- Piotruś - rzekł, ocierając usta. - Ja się nie pomyliłem. Tylko ten granatowy jest za mały.

- O, tak.

- Rękawy ma już za krótkie.

- Stwierdziłem to osobiście.

- Chyba trzeba kupić nowy.

- Na to wygląda - wycedził Piotr i hamując poryw gniewu (cóż winien biedny Maciek, że rośnie...) poszedł do pokoju. Tam zasiadł przy swoim biurku i otworzył gruby brulion, w którym od przeszło roku spisywał, dzień po dniu, kronikę ważnych wydarzeń w kraju i na świecie. Wkleił teraz kilka ważnych wycinków z dnia wczorajszego, napisał nową datę i uspokajając się z wolna, ledwie spojrział na wchodzącego brata.

Jednakże po chwili, napisawszy pół zdania, pomyślał, że powinien chyba spojrzeć raz jeszcze - i uczynił to. No, tak. To go przecież zaniepokoiło: Maciek wyglądał na chorego. Oczy mu błyszczały, na policzkach miał silne wypieki, nawet młody jego wąsik lśnił dziś bardziej, niż zwykle rudawo. Starszy brat patrzył na niego na wpół podejrzliwie, na wpół niespokojnie.

- Masz gorączkę? - spytał.

- Nie mam gorączki i nie mam koszuli - udzielił Maciek dziwnej odpowiedzi.

- A mierzyłeś?

- Koszulę?

- Nie. Gorączkę.

- Musi być biała - oświadczył Maciej. - Znaczący, mam na myśli koszulę. Twoją.

- A musi być moja? - spytał Piotr opanowanym głosem, na co Maciek nie odpowiedział, lecz podszedł do wiszącego na ścianie lusterka i zagapił się w nie głupawo, popadając przy tym w stan dziwnego odrętwienia. Na twarzy miał uśmiech tak nieinteligentny, że starszy brat aż się przeląkł.

- Maciuś, co tobie?

Maciek się ocknął, odwrócił i wlepił w twarz braterską szczęśliwe i nic nie widzące spojrzenie.

- Nic... - powiedział ciepło. - Tylko... tak dobrze jest żyć.

- To ma związek z moją koszulą?

- Bezpośredni. Bezpośredni, Piotrusiu - rzekł Maciek pokornie - i krawatem twoim, wełnianym w szkocką kratkę.

- Tak sobie myślę - mruknął Piotr z chaszczy swej brody. - Tak sobie myślę, że wpływ garderoby na światopogląd... i to mojej garderoby na twój światopogląd...

- Ty sobie nie kpij! - przerwał mu Maciek. - Gdybyś wiedział - tu utknął, bojąc się widocznie powiedzieć zbyt wiele.

Piotr odczekał grzecznie kilka chwil, nie doczekał się, więc pochylił znów głowę nad swym zeszytem. Napisał kilka zdań i znów go coś tknęło. Podniósł głowę. Maciek wciąż stał przed lustrem, głąskał się po policzku i układał usta w słodki dziobek. Brat aż stęknął z przerażenia. Maciek podskoczył.

- Ee... co to ja chciałem powiedzieć - zaczął pan Piotr niepewnym głosem. - Jak tam się czuje nasza Kreska?

- Kto?... - spytał Maciek rozkojarzonym tonem i starszy brat zrozumiał wszystko. Zrobiło mu się przykro. Lubił Kreskę - jak każdy niemal, kto się z nią zetknął. Wyczuwał w niej prawość i siłę ducha. Uważał też, że Kreska jest uroczą dziewczyną i że kiedyś będzie uroczą i wspaniałą kobietą - i miał nadzieję, że ten baran Maciej prędzej czy później zauważy, jaki to skarb ma w zasięgu spojrzenia - i że poszerzy znajomość z Kreską o coś jeszcze poza matematyką. Niestety, najwyraźniej nie można już było na to liczyć. Piotr nie musiał nawet pytać o Kreskę. Ślepy by pojął, że to nie o nią tu chodzi. Dla tej mądrej i wartościowej dziewczyny Maciek z pewnością nie zgłupiałby w ten akurat żaloszny sposób.

Wrócił do pisania. Ale rychło stracił zainteresowanie dla swej pracy i rzucił pióro, by spytać młodszego brata:

- A krawat musi być koniecznie w szkocką kratkę?

- O, tak - koniecznie! - rzekł radośnie Maciek, wyrwany z zadumy. - Do tego biała koszula i marynarka tweedowa. Matylda powiedziała, że... - tu urwał i zalał się krwawym rumieńcem.

Pan Piotr pomyślał z niechętnym zdziwieniem, że być może jest - o czym sam nie wiedział - specjalistą od podchwytliwych pytań. Drugi to już raz w dniu dzisiejszym dowiadywał się niechcący czegoś, co jego rozmówca zamierzał starannie ukryć.

- No, co powiedziała Matylda? - spytał mrocznie.

- Nie, nic... nic.

- Wygadałeś już tyle, że teraz możesz doprawdy zaspokoić ciekawość - mruknął Piotr. - A więc?

- No, niech będzie - Maciek nie dał się długo prosić. - Powiedziała, że mam anglosaską czaszkę.

Brat osłupiał.

- Co masz anglosaskie? - spytał nie wierząc własnym uszom.

- No, czaszkę! - wykrzyknął Maciek takim tonem, jakby tłumaczył idiotcie. - I że powinienem się ubierać w stylu brytyjskim.

- Brytyjskim - powtórzył Piotr bez wyrazu. Cisnęły mu się na usta różne jadowite uwagi, lecz powstrzymał się przed wypowiedzeniem choćby jednej. Pojął, że prze-

żywają moment, od którego wszystko, być może, zależy. Na takim rozdrożu nie wolno popełnić błędu mogłoby się bowiem zdarzyć, że rozstaliby się nieodwołalnie.

- Matylda ma zapewne wiele dobrego smaku? - spytał, sterylizując swój głos z najdrobniejszych nawet nutek sarkazmu. Maciek rozjaśnił się jak kineskop.

- O! Gdybyś wiedział!

- Rany boskie - rzekł Piotr. - Aż tak!... - poczuł, że nie przetrwa tych chwil próby bez co najmniej pół litra mocnej, gorącej, aromatycznej herbaty. - Braciszku - powiedział tkliwie. - Cieszy mnie bardzo, że poznałeś tak niezwykłą osobę - odchrząknął z niesmakiem. - Jednakże - ciągnął - wołałbym, żebyś nie starał się przeobrazić w Brytyjczyka. Czaszka rzecz nieważna. Jak wiadomo, wszystko i tak zależy od zawartości... - urwał, bo dostrzegł, że Maciek nie słucha. - Uważam - rzekł bezradnie - że w tym, co nosisz, prezentujesz się wcale nieźle...

- Piotruś, pozwól jednak, że zaufam Matyldzie - powiedział Maciek pobłaźliwie. Piotr westchnął.

- Zaufaj więc - westchnął znowu na myśl o Kresce. Zawsze odnosił wrażenie, że Kreska - kiedy sądzi, że nikt tego nie widzi - patrzy na Maćka z najczystsza czułością. I że jej częste odwiedziny wynikają bardziej z pobudek uczuciowych niż z głodu wiedzy matematycznej. Biedna Kreska. - Postaw dużo wody na herbatę, dobrze? - poprosił.

- Już lecę - rzekł Maciek nieprzytomnie. - Słuchaj, to co będzie z tą koszulą? I z krawatem?

- Bierz - poddał się pan Piotr.

- Dziękuję, stary - rzekł Maciej z wdzięcznością. - Bo wiesz wychodzę.

- Wiem. Wiem... Maciek!

- Co?

- Uważaj na siebie!

- Co? O, rany, no. Piotrek!...

- O jedno cię proszę - zaczął Piotr Ogorzałka, lecz ujrawszy a twarzy brata oznaki zniecierpliwienia, zakończył niezręcznie: - postaw herbatę. Dobrze?

Rondo Kopernika to węzłowy punkt Poznania, położony na skrzyżowaniu Armii Czerwonej z Roosevelta, w sąsiedztwie hotelu Merkury i mostu Dworcowego, z

perspektywą na stare budynki Uniwersytetu, a dalej - na Plac Mickiewicza z dwoma pomnikami: wieszca i Poznańskiego Czerwca. Pod Rondem jest przejście podziemne wybudowane w latach siedemdziesiątych naszego stulecia. Marmurowe ściany tej imponującej inwestycji widziały już od tego czasu wiele różnych scen, nawet historycznych. Ale nie widziały jeszcze tak pięknie ubranego Maćka Ogorzałki. Punktualnie o ósmej urodziwy ten dryblas stał wiernie na tle witryny zatłoczonego sklepiku Cepelii, w którym to punkcie Ronda umówił się z Matyldą. Do niedawna abnegat, obecnie arbiter elegancji, rwał oczy wszystkich mijających go pań, panien, dziewcząt, wdów, a nawet staruszek. Lecz, choć obrzucany po tylekroć gorącymi spojrzeniami, ignorował on całkowicie mijające go osoby, wpijając się wzrokiem w perspektywę przejścia podziemnego.

Piętnaście po ósmej doczekał się wreszcie: wykwintna postać Matyldy, nadchodzącej krokiem bynajmniej nie spiesznym, zamajaczyła przy końcu oświetlonego tunelu. Maciek natychmiast poczuł lekką treść, jak przed każdym spotkaniem z Matyldą. Nie wiedział, czy będzie się jej podobał, czy nie. Bo bywało różnie. Raz zyskiwał jej aprobatę, innym zaś razem ostro go ganiła. Na ogół w zależności od tego, jak był ubrany albo jak się zachował. „Podobasz mi się dzisiaj” - mówiła zamszowo, mrużąc przezroczyste oczy, kiedy - na przykład - przestał w ogóle nosić odzież w kolorze granatowym, uznanym przez nią okropnie nietwarzowy i typowo szkolny. „Dziś mi się nie podobasz oj-oj!” - groziła mu paluszkami, kiedy objął ją zbyt śmiało i chciał pocałować. Przypominało to wszystko huśtawkę; Maciek był troszkę zniecierpliwiony tym męczącym uczuciem niepewności. Jak, dotąd, nie udało mu się znaleźć klucza do jej upodobań. Podobał się Matyldzie zazwyczaj wtedy, kiedy robił to tylko, co mu kazała. Ale na to Maciek - młody, romantyczny idealista - jeszcze nie wpadł. Dziś jednak wszystko było dobrze.

- Maciuś! - powiedziała, stając przed nim w podziwie. - Jaki masz świetny skafander!

- Aha, co?! - Maciek był uszczęśliwiony. - Khaki! - i uchylił poły demonstrując od niechcenia następną warstwę Piotrowej garderoby.

Olśniewająca lniana koszula z krawatem w szkocką kratkę i marynarka tweedowa wydarły z ust Matyldy okrzyk zachwyty:

- Ach! Jesteś naprawdę piękny! Piękny!

Maciek usłyszał jakby uderzenie w wielki dzwon i w myślach przydzielił sobie skafander Piotra na zawsze.

Zanim jednakże przeszło mu dudnienie w uszach, Matylda wykonała zaskakujące pół kroku w jego stronę, przymknęła oczy i wysunęła różowe usta. Niewiele myśląc, Maciek objął Matyldę za cienką talię. Ale natychmiast pojął, że to nie o to jej szło, bo nagle otworzyła oczy i rzuciła mu strofujące spojrzenie.

Maćka diabli wzięli, ale dopiero przypadek pozwolił mu wywinąć się z tej kłopotliwej sytuacji; drzwi Cepelii otworzyły się nagle i pierwsza partia ogonkowiczów opuściła zatłoczony sklepik. Oglądając ze szczęściem w oczach swoje trofea: pantofle z burego filcu.

Trzeba było usunąć się z drogi, więc Maciek poddał się chętnie naporowi rozdzielającego ich tłumku i zbliżył się do Matyldy dopiero po chwili, jak gdyby nigdy nic.

- Chodźmy stąd - zaproponował. - Na co masz dziś ochotę?

- Na lody - odrzekła ona. - Chodźmy do Hortexu. Po drodze coś ci opowiem.

Zazwyczaj opowiadała mu szczegółowo, co jej się śniło tej nocy. Albo referowała mu treść filmu czy przedstawienia, które właśnie nadano w telewizji. Opowiadała długo i zawile, zagłębiając się w szczegóły i dygresje, ze szczególnym uwzględnieniem wątków uczuciowych. Prawdę mówiąc, Maciek już odrobinę się znudził śledzeniem tych zawikłanych, a równocześnie dziwnie do siebie wątków i poczynań przenajrozmaitszych bohaterów;

Znudziły mu się sny Matyldy z filmami, aktorzy z aktorkami, a te z kolei - z reżyserami; nauczył się więc automatycznie wyłączać się już po pierwszych zdaniach Matyldy, sygnalizujących powrót w stare koleiny konwersacyjne. Myślał po prostu o swoich sprawach patrząc przy tym na Matyldę, która w dalszym ciągu wypominała południowy owoc, i brak fonii rekompensował sobie wizją. Tak było i dzisiaj. Potakując jej niezmiennie, Maciek oddał się myślom o swoim ostatnim odkryciu, o Lwie Szeście, którego czytał ostatnio bez przerwy, nawet w tramwaju. Uwaga odpłynęła mu daleko - chyba nawet za daleko, bo w pewnej chwili lodowate milczenie Matyldy przywołało go do porządku, każąc przypuszczać, że ona chyba o coś pytała.

- Proszę?! - spytał bezradnie.

- Nie słuchałeś! - ostro stwierdziła Matylda.

No, nie słuchał. Boże, co też ona mówiła? Chyba coś ważnego, sądząc z jej miny.

- Ależ... słuchałem! - wykrzyknął gorąco. - Słuchałem! Tylko... przez chwilę się zamysliłem.

- Ja cię pytam o taką ważną rzecz, a ty myślisz sobie!

- Nie, nie myślałem... raczej, zastanawiałem się, co by tu odpowiedzieć - brnął Maciek.

Matylda aż się zatrzymała. Wyglądało na to, że jeszcze pogorszył sprawę.

- Zastanawiałeś się? - spytała z oburzeniem. - Ja pytam, czy mnie kochasz, a ty się zastanawiasz?

A! To o to chodziło!... Maciek też przystanął.

- No, tak, Matyldo - powiedział. - Nad tym trzeba się zastanowić.

I zastanowił się naprawdę.

- Nie wiem - odpowiedział wreszcie całkiem szczerze. - Nie wiem, czy cię tego... no, wiesz. No.

Nawet nie potrafił wymówić tego wielkiego słowa.

- To słowo - powiedział - bardzo wiele znaczy. Nie chciałbym go nadużywać - spróbował zajrzeć Matyldzie w oczy, ale o się nadała i pokazywała mu teraz tylko swój lewy profil. - Niechciałbym też kłamać - powiedział ostrożnie. - To znaczy nie gniewaj się, ale znamy się tak krótko... że... tego - utknął beznadziejnie.

Chwila nadzwyczaj niezręcznej ciszy.

- No, mniejsza z tym - powiedziała wreszcie Matylda, zwracając się do niego z pobłażliwym uśmiechem, co Maćka kompletnie zdumiało, gdyż nie takiej reakcji się obawiał. - Mówmy o czym innym. Na czym to skończyliśmy poprzednio?

- Nie wiem.

- Że myślałeś.

- A tak.

- A o czym myślałeś?

- Naprawdę... chciałabyś wiedzieć?

- Tak, naprawdę chciałabym wiedzieć, o czym myślisz, kiedy ja do ciebie mówię.

- Pewnie cię to zdziwi. Ja... tego. Ja myślałem o tym, że nasze życie przynajmniej w połowie składa się ze snu.

- Że co? - osłupiała Matylda.

- Ze nasze życie, tu, na Ziemi, Matylde, jest przedłużeniem tego poprzedniego niebytu... z którego jakaś siła nas, Matylde, wyrwała. Żyjemy - chociaż o to nie prosiliśmy. Ale żyjąc, wciąż zanurzamy się w niebyt.

- W co?!...

- W sen, Matylde. Umrzemy - i jeśli rację ma Sokrates, że śmierć jest ostatnim snem... to pogrzążymy się znów w niebycie... Ja jednak przychyliłbym się do zdania Lwa Szestowa, że śmierć, Matylde, to przebudzenie i...

- Przepraszam cię bardzo. Maciusiu, ja uważam, że to, co mówisz, jest bardzo mądre oczywiście, ale nie trzyma się kupy. A w każdym razie na pewno niestosowne jest, że myślisz o spaniu, kiedy ja cię pytam, czy mnie kochasz.

- Ma... tyldo!.- rzekł Maciek wstrząśnięty. Spojrzał na gniewną twarz o jasnych oczach i poziomkowych ustach i zdziwił się nagle. Po raz pierwszy bowiem, odkąd poznał Matyldę, nie odczuwał wobec niej stuprocentowego zachwytu. Przeciwnie, wniknawszy w swe uczucia, bez trudu odnalazł wśród nich nieznaczną irytację.

Zmienił temat i skierował rozmowę na repertuar kinowy. Po Haniach Matylde rozczmuchała się nieco, wkrótce zaś znaleźli się w Hortexie, gdzie usiedli tylko we dwoje przy stoliku czteroosobowym i jedli lody Panama. Ale rozmowa jakoś się nie kleiła. Lody niezbyt im smakowały, co chwila też ktoś podchodził do ich stolika i pytał, czy te dwa miejsca są wolne. Początkowo odpowiadali, że nie - wkrótce jednak pojawili się dwaj bladzi faceci z wielkimi uszami, którzy nie pytając o nic sprawnie zasiedli przy stoliku Maćka i Matyldy i strzelając oczami na wszystkie strony zaczęli raczyć się kawą. To był właściwie koniec rozmowy. Matylde wyjęła lusterko i oglądała sobie rzęsy, Maciek zaś w zadumie patrzył na sale i myślał, że skoro człowiek przesypia prawie jedną trzecią swego życia, to powinien starać się maksymalnie wykorzystać nieliczne godziny, kiedy to nie leży bez świadomości. Jak najwięcej zrobić, jak najwięcej przeczytać, jak najwięcej się nauczyć i jak najwięcej pojąć z tego świata, na którym jest tylko gościem. I jak najwięcej dać temu światu. Czy może dokonać tego wszystkiego, przesiadując w Hortexie z Matyldą? Szkoda tego czasu, szkoda...

Prawdę mówiąc, chciałby już wrócić do domu, do książek. Ale nie wypadało. Więc nadal rozglądał się po sali i w pewnym momencie z radością dostrzegł pod fiku-sem tego samego rozczochranego staruszka z gazetą, który w niedzielę siedział przy stoliku Kreski. Myśl o Kresce była jakaś ożywcza i miła, lecz tylko przez moment. Zamściło ją uczucie niejasnej przykrości. Dlaczego ta stuknięta Kreska wtedy uciekła od stolika? Dlaczego wcale nie przychodzi z matematyką? Ani chybi, obraziła się. O co

znowu? Te baby! Oszaleć można. A on zawsze przypuszczał, że Kreska jest jednak trochę inna.

Na dziś jednak była to już ostatnia jego myśl o Kresce. Dwaj faceci nagle podnieśli się od ich stolika i przesiedli do innego, a Matylda od razu dotknęła ręki Maćka i powiedziała cichym, zamszowym głosem, że Maciek, taki zamyślony, wygląda jak młody Robert Redford i że len krawat podkreśla całą anglosaskość jego twarzy, te mocne linie szczęk, o tu... Uwaga Maćka natychmiast przeniosła się na interesujący temat i na Matyldę oraz na piękną jej dłoń, błędzącą po jego podbródku. Czy powinien tę dłoń pocałować? Zdecydowanie ująwszy nadgarstek Matyldy, Maciek złożył na pachnącej rączce solenny pocałunek. Następnie, odnalazł przychylność w przezroczystrych oczach, pocałował rączkę raz jeszcze, bez żadnych oporów ze strony jej właścicielki. Potem, objęci, wędrowali pustymi ulicami przed siebie. Mimo że siąpił drobny deszczyk, nie wsiedli do tramwaju. Maciek odprowadził Matyldę pod sam dom, przez całą drogę cierpliwie i z uwagą wysłuchując drobiazgowego streszczenia filmu „Poszukiwacze zaginionej arki”.

Umówili się na następny dzień i wracając na Roosevelta Maciek pochłonięty był już jedną tylko myślą: w co by tu jutro się ubrać

Kreska przestudziła mleko, pokrajała chleb w cienkie kromki i otworzyła mały słoiczek miodu. Ustawiła to wszystko na tacy i zniosła dziadkowi do łóżka. Leżał już trzeci dzień - tym razem była to paskudna angina. Dopiero dziś gorączka spadła do trzydziestu siedmiu. Ale niska temperatura rano nic nie znaczy. Trzeba poczekać do popołudnia.

- Jedz, dziadziu - powiedziała, stawiając tacę na stoliku, posmarowała chleb masłem i włożyła łyżkę miodu do mleka. - Ja wiem, że nie masz apetytu, ale trzeba do tego podejść rozumowo, kochany.

- Może i podejść - uśmiechnął się dziadek. Jak miło było znów zobaczyć jego uśmiech! Kreska z radości pojaśniała na twarzy.

- Zdrowiejesz! - powiedziała. - Zaraz, zaczniesz na mnie pokrzykiwać. Dziadziu, a zjadłbyś może jajko? Albo sera?

- Nie. Nie potrafię podejść rozumowo do sera - oświadczył dziadek i poprosił, żeby mu poprawić poduszkę.

Źle spał w nocy. Kaszlał bardzo i miał duszności. Kreska pare razy zrywała się ze strachem, podawała mu gorącą herbatę i leki na sercowe. Teraz, o siódmej rano dziadek był blady i mizerny. Jego jasne oczy jakby jeszcze bardziej zbladły, podcienione szarymi kręgami. Usta miały niepokojąco niebieskie zabarwienie. Ale spojrzenie miał żywe i najważniejsze! - znów się uśmiechał.

- Zdrowiejesz! - powtórzyła Kreska, upewniając raczej samą siebie niż jego. - No, jedz śniadanie, ja cię proszę. Już muszę zbierać się do budy.

- Nie lubisz naszej szkoły? - spytał na to dziadek z niepokojem, więc szybko zaprzeczyła. Lubi, lubi, ależ oczywiście. Poprawiła mu poduszkę, raz jeszcze zachęciła do jedzenia. Potem weszła do kuchni, spakowała torbę i wróciła znów do pokoju, gdzie było cicho, szaro i przytulnie. Na półkach drzemały książki, głośno i dostojnie tykał stary zegar stojący, a wielki piec kaflowy roztaczał fale ciepła. Dziadek miał na nosie okulary, czytał przy jedzeniu i czupryna już mu się zmierzwiła zadzierżyscie, jak zazwyczaj.

Kreska stanęła przy oknie. Jedząc swój chleb z serem i łykając niechętnie barwę, myślała o tym, czy Maciek już się obudził i co teraz robi. Tęskniła za nim okropnie.

Za gęstymi firankami widać było smutny świat, brudne ulice i ciemne niebo, z którego sypał śnieg. W rzednącym mroku poranka Kreska dostrzegła, że i śnieg jest jakiś niewydarzony - drobny i szarawy. A może tylko tak się jej zdawało. Może to był biały. świeży śnieg, taki jak trzeba, tylko że ona do reszty już zgorzkniała i cały świat, poza tym jedynym pokoikiem dziadka, wydawał się mały i brzydki?

- Dziadziu, czy tobie też czasem wszystko się wydaje brudne i brzydkie? - spytała, odwracając się od okna.

Spojrzał na nią znad okularów łagodnymi, jasnymi oczami.

- Tak - odpowiedział. - Ale nie, jednak nie wszystko. Zawsze jednak pozostaje parę spraw wielkich, czystych i pięknych, które nie podlegają żadnym zmianom. Są wieczne.

- Opowiesz mi, jakie to sprawy?

- sama dobrze wiesz, Janeczko - odpowiedział dziadek z czułością.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Muszę już iść - powiedziała Kreska. - Jest wpół do ósmej.

- Tak. idź już. idź. Ubierz się ciepło.

- poradzisz sobie beze mnie?

- przede wszystkim będę spał - oświadczył dziadek. – Będę czytać. Potem wstanę z łóżka i zrobię sobie herbaty. A potem znów pośpię. I Jak się obudzę, to ty już tu będziesz.

- O wpół do drugiej.

- Tak.

- pani Borejkowa zajrzy do ciebie koło południa.

- Janka! Ależ... po co ją trudzisz! - powiedział dziadek z wyrzutem.

- To był jej pomysł, dziadziu. Spotkałyśmy się wczoraj w sklepie, zobaczyła, że nic nie dostałam, i postanowiła nam pomóc. Wykupi dziś po prostu swoje mięso i nasze. To bardzo dobrze. Ja nie mogę opuszczać szkoły, żeby robić zakupy. I tak mam złe stopnie.

- Wiesz, to mnie martwi najbardziej.

- Nie martw się, bo nie jest źle. Po prostu - nie jest dobrze. Ale będzie. Muszę przecież wziąć się w garść.

- Oby jak najprędzej. Idź już, mała. Za dwadzieścia ósma.

Właściwie, najdotkliwszy ze wszystkiego był wstyd. Od wieczoru w Operze Kreska po tylekroć obracała w myślach każdą chwilę z tych niespełna dwóch godzin, że niepostrzeżenie rzeczy zmieniły swe proporcje. Teraz nie myślała już o tym, jak wstrętnie zachował się Maciek, tylko - że się przed nim zdradziła się swoim uczuciem. Analizując wciąż na nowo swoje zachowanie doszła do wniosku, że zdradziła się niewątpliwie w momencie, kiedy stanęła przed nim w tej swojej nieszczęsnej zielonej i żalosalnej kiecce, a Maciek spojrział na nią tak mile. Ponieważ pomyślała wtedy: „Ach, ty kochany, mój, kochany!”, teraz pewna była myśl ta musiała znaleźć jakąś drogę na jej twarz - więcej - wypisała się tam ogromnymi, jaskrawymi literami, które on z pewnością odczytał bez trudu. To właśnie - w świetle późniejszych wypadków - było powodem dręczącego wstydu. Ileż człowiek potrafi sobie wmówić, no zgroza. A to, że Maciek ni miał odwagi zaprosić jej wprost i użył podstępu, mówiąc, iż n., o jeden bilet za dużo; a to, że ten wieczór będzie kamieniem milowym w ich znajomości...

No i był, rzeczywiście. Okazało się bowiem, że od początku chodziło tylko o Matyldę. Ten wstyd po prostu człowieka dławił. Nie umiała sobie z tym dać rady. Myślała o tym jak maniaczka co dzień w drodze do szkoły i z powrotem, w szkole też. oczywiście ponieważ w każdej z tych okoliczności natykała się co chwila na jakieś o nim wspomnienie. Chodziła teraz nawet drogą okrężną, żeby na starej trasie nie spotkać Maćka ani niczego, co go przypomina. W szkole też unikała miejsc, gdzie on mógłby się znaleźć. Wmawiała sobie, że go nie kocha ani odrobiny i chwilami nawet udawało się jej przekonać samą siebie w tej sprawie.

„Za cóż go kochać?” - myślała teraz, wtulając nos w gruby pasiasty szalik beżowo-rudy, wykonany z dziadkowych starych swetrów. - „Za to, że umie matematykę? Hę - hę. Za to, że ma oczy jak kasztany? Hę - hę. Za to, że ma takie miłe policzki i że tak marszczy te czarne brwi, kiedy jest wzruszony? Hę - hę. Też mi powody. To nie są żadne powody. Kiedy się uśmiecha, twarz mu się zmienia. Z oczu robią się dwa aksamitne przecinki. Czy można kochać człowieka za to, że mu się z oczu robią przecinki? No, nie bądź żalosna, dziewczyno. Człowieka kocha się za charakter, za zalety ducha, nieprawdaż, a on co? Egoista. Niedelikatny. Niewrażliwy. I... tego...” - i jakoś nie przychodziło jej do głowy nic więcej w sprawie wad Maćka Ogorzałki. Żeby sobie je wszystkie przypomnieć, postanowiła dokonać w pamięci drobiazgowego przeglądu wszystkich chwil, spędzonych w jego towarzystwie. Nie żeby tam coś, tylko po prostu tak - dla porządku.

Mamrocząc pod nosem, z wzrokiem wbitym w chodnik (śnieg okazał się z bliska taki właśnie, jak przypuszczała - drobny, szary i ohydny). Kreska brnęła przed siebie, wlokąc nogi po gęstym błocie. Właśnie zaczynała dochodzić do wniosku, że Maciek nie ma ani jednej porządnej wady, kiedy zza narożnika wychylił się we własnej osobie przedmiot jej zadumy serce zachowało się jak zwykle. Powodowane zapewne odruchem warunkowym, zatłukło jak szalone, raptem zwolniło a na zakończenie ściśnięło się boleśnie. Kresce odpłynęła cała krew, zabrakło jej tchu. Stała cicho i nieruchomo, z bladej twarzy ciemniały jej oczy jak błyszczące kamyki i białął nosek. Drżące, zaciśnięte ręce chowała w kieszeniach płaszcza a z ramienia obwieszała się jej dywanikowa torba, dygocząc lekko w tym samym rytmie co ramię.

- O, Kreska - zauważył ją Maciek, jakby z lekka ucieszony. - Coś ty taka błada? Co u ciebie? Jak z matką?

Pytał, ale nie miała wrażenia, by oczekiwał odpowiedzi. Tym lepiej, bo i tak nie mogłaby wydobyć z siebie ani słowa. Stała tylko i patrzyła na niego, nic więcej.

- Jak by co, to wpadaj, oczywiście - rzucił takim tonem, jakby myślał o czymś (o kimś, o kimś...) innym. Uśmiechnął się zdawkowo i poszedł w stronę szkoły, zostawiając Kreskę w otchłannej rozterce. Bo przecież obiecała sobie solennie, ba, przysięgła sobie nawet, że już nigdy nie przemówi do Maćka ani słowem. A tu tymczasem wzięła w niej nieprzeparta ochota, żeby pobiec za nim, złapać go za rękę jak gdyby nigdy nic - i powiedzieć mu coś miłego i dobrego.

Bo Maciek schudł. Bo miał podkrążone oczy. Bo wyglądał nie po swojemu i taki był jakiś... zagoniony. Chyba jednak niczego nie odgadł - chyba jednak nic zdradziła się z niczym... wtedy, w operowej szatni. Wszystko wskazywało na to, że mogliby egzystować po staremu - ona przychodziłaby do niego z lekcjami, a on by ją tolerował, dokładnie tak samo jak przedtem. Mogłaby go widywać. Boże drogi, pić u niego herbatę, porozmawiać jak dawniej o tym i owym... Przecież jej by to zupełnie wystarczyło!

„Niewolnica!” - szepnęło coś pogardliwie w głowie Kreski. I na dodatek w tym samym momencie przekorna jej wyobraźnia wyprodukowała czysty, ostry i wyrazisty obraz promiennej Matyldy w szarych jedwabiach i zamszach. I to już właściwie wystarczyło. Ani słowa do Maćka, jeśli masz odrobinę godności, idiotko.

Pewnie, że to nie będzie łatwe. Ale kto ci powiedział, że ma być łatwo? Właśnie że musi być trudno. Tak to jest z godnością. Zawsze jest trudno i zawsze boli. I nie dostaje się za to żadnej nagrody. I tak ma być. A z matematyka, oczywiście, trzeba będzie sobie samej poradzić.

To ostatnie zadanie było jednak prawie niewykonalne. Kresce od początku źle się wiodło w tym liceum, Przyjechała z Wrocławia do jedynej osoby, jaka jej pozostała: do dziadka. A dziadek, niewiele myśląc, zapisał ją po znajomości do tej właśnie szkoły, w której sam uczył tak jeszcze niedawno. Dzisiaj, zdaje się odgadł po raz pierwszy, że Kreska tej jego ukochanej szkoły nie polubiła. Nigdy jej nie polubi.

Budynek liceum był stary - a ona nigdy nie przepadała za tymi ponemieckimi gmachami o grubych murach, tłumiących wszelkie odgłosy i o oknach wysokich, osadzonych tak głęboko, że zawsze sączyło się z nich takie samo światło - dalekie i martwe, niezależnie od pogody. Potężne drzwi, zamykające się z przeciągłym łoskotem, przywodziły Kresce na myśl więzienie i rozstrajały ją do reszty. A w dodatku wszyscy w klasie I b byli przygnębieni, zamknięci w sobie i jak najdalej od radości. Albo może to się tylko Kresce tak zdawało. „Tak widzisz, jaki jesteś” - a ona właśnie była w zupełnie fatalnym nastroju z powodu sprawy rodziców i w ogóle wszystkiego. więc nie w

głowie jej było wesołkowanie, dodawanie otuchy i montowanie koleżeńskich grupek. Miała nadzieję, że z biegiem czasu wszystko się dotrze. Ale nic się nie dotarło. Przeciwnie. Kreska czuła się coraz bardziej obco, a sprawy z wychowawczynią układały się coraz gorzej.

Nazywała się magister Ewa Jedwabińska i była zupełnie bezbarwna. Od razu, na samym początku, powiedziała im wyraźnie, że nie jest zachwycona tym, iż musi uczyć w szkole. Oznajmiła im że miała większe ambicje. Po studiach pedagogicznych zamierzały poświęcić się całkowicie pracy naukowej, ale niestety-niestety - skierowano ją do podstawówki, a teraz właśnie do tego liceum, które (nawiasem mówiąc) sama ukończyła przed laty, a które ostatnio ma największą liczbę nauczycieli. Skierowanie miało charakter obligujący, że nie mogła odmówić. Zachwycona tym nie była. Nie. O tym też powiedziała. Powiadomiła ich też, że robi mimo wszystko doktorat z psychologii i w istocie, cechowała się dużym rozpędem naukowym. Nie pozwolono jej wciąż ich badać i testować - ale rzucało się w oczy, że pozwolono jej na wiele. Badała ich na każdej lekcji wychowawczej. Oczywiście, załatwiała też bieżące sprawy, ale przede wszystkim nigdy nic przepuszczała okazji do psychologicznych eksperymentów.

Tego właśnie ponurego ranka znów przypadła lekcja wychowawcza. Niestety pani Jedwabińska była w nastroju wyraźnie badawczym i wskazywała na to jej pełna determinacji, skupiona mina.

W klasie było duszno i szaro. Kreska, siedząca w ostatnim rzędzie tuż pod ścianą, z westchnieniem rozprostowała się w swym krześle. Uff... godzina nudy. Trzeba będzie dzielnie to znieść. Dokładnie na wprost niej Ewa Jedwabińska rysowała się na tle tablicy elegancką monochromatyczną plamą. Była zawsze nienagannie ubrana, jakby chciała tym ukryć fakt, że jest osobą bez wyrazu. Jak zwykle miała dziś na sobie ulubione beże i brązy - od pantofli poprzez kostium wełniany, skończywszy na sztywno związanym szaliczku, wyzierającym ze sztywnego kołnierzyka bezbłędnie odprasowanej bluzki. Cała ona, ta pani Jedwabińska była taka odprasowana i sztywna. Zdawało się, że porusza się, mówi i oddycha z trudem, skrępowana ciasnym szklanym pudełkiem, które ogranicza każdy jej bardziej swobodny gest. Dystans między nią a resztą świata był wprost nie do przebycia. Brak zaufania do niej - absolutnie nie do przełamania.

Kreska dawno już uznała, że nie znajdzie żadnego sposobu na to, by panią Jedwabińska polubić - i po prostu nie zaprzętała sobie tym głowy. Pani Jedwabińska natomiast nie przepadała za Janiną Krechowicz. Ponieważ uczennica ta od pierwszej

chwili przejawiała zupełnie wyjątkowy luz psychiczny i hardość zarazem. Była przy tym zbyt nieporządna i swobodna, by Ewa Jedwabińska mogła patrzeć na nią ze spokojem. Była ucieleśnieniem tego wszystkiego czego Ewa w głębi duszy nie znosiła. „Żadnej wewnętrznej dyscypliny” - myślała z irytacją nauczycielka, obserwując swobodne zamysłone oczy i rozmarzone uśmiechy, jakie demonstrowała Krechowicz akurat w najtrudniejszych momentach lekcji matematyki. Trudno się dziwić, że nic nie umiała, nieszczęsna. Na dobrą sprawę na leżało jej walić dwóję za dwóją - pani Jedwabińska jednakże nie chciała pozbawiać dziewczyny wszelkich szans; szkoda by było Krechowicz nie była zupełnym beztalenciem i gdyby tylko się przyłożyła do nauki...

Ilekróć Ewa na nią spojrzała, miała ochotę palnąć dziewczynie tak zwane kazanie. Na ogół oczywiście, preferowała inne zgoła nowocześniejsze metody wychowawcze. Kazania to mógł sobie prawić za jej czasów stary polonista Dmuchawiec, były wychowawca Ewy typowy belfer bez pojęcia o psychologii. Ona, Ewa, była pedagogiem ambitnym i pełnym świeżych pomysłów. W tej swojej Ib - wyjątkowo trudnej, tępej i niezintegrowanej klasie - pani Jedwabińska stosowała własnego pomysłu ćwiczenia z autoanalizy. „Dlaczego napisałem źle klasówkę z matematyki - uzasadnić” - brzmiał na przykład temat takiego ćwiczenia i pani Jedwabińskiej nie zrażały początkowe niepowodzenia w postaci idiotycznych odpowiedzi: „Bo nic nie umiałem”. Z ufnością ciągnęła swą pracę dalej, rozszerzając badania z trudności w nauce na sferę zachowania i kultury osobistej. „W czasie przerwy pchnąłem koleżankę na gablotkę z gazetką. Zanalizuję motywy mego postępowania” - brzmiał temat ćwiczenia z autoanalizy, zadanego ostatnio uczniowi Lelujce. Niestety, klasa Ib nadal nie dorastała do stawianych jej wymagań. DALEKO POSUNIĘTY INFANTYLIZM - notowała pani Jedwabińska w swym zeszytiku, zapisując też z niechęcią bliską zgrozy odpowiedź (jakże charakterystyczną!) ucznia Lelujki na powyższy temat: „Nic nie mam do gablotki, a już zwłaszcza do gazetki. Ale czemu ta Baśka tak kuprem rzuca?” Pamiętała do dziś ten ryk śmiechu jaki wywołała w klasie, odczytując odpowiedź Lelujki. Pamiętała też swoje uczucie bezradnego zdumienia, bliskie szoku: spodziewała się po klasie całkowicie różnej reakcji - oburzenia potępienia lub choćby zdystansowania się od Lelujki - a tu coś takiego! Nie mogła pojąć, jaki popełniła błąd. Z pewną zazdrością myślała o profesorze Dmuchawcu. Nie lubiła go, będąc uczennicą, przed kilku zaledwie laty - ale jako nauczycielka przyznać musiała że jednak miał parę cennych umiejętności. Jego porozumienie było zupełne - nawet kiedy się z nim nie zgadzali, kiedy się wyklócali. Na lek-

cyjach wychowawczych ogłaszał różne ankiety - a jednak miał znakomite efekty. Być może ze tematy tych ankiet dotyczyły zawsze spraw bardzo uczniom bliskich.

Z myślą o tym postanowiła rozszerzyć zakres swych badań i nieco je ocieplić. Na przykład, wprowadzając temat rodzinny. Dzisiaj właśnie, w drugiej części lekcji wychowawczej, rozdała uczniom specjalne karty testowe, na których pracownicy wystukała temat - i zanim jeszcze skończyła to rozdawanie, już z niepokojem ujrzała uniesioną nad ławkami rękę.

- Słucham cię - powiedziała do ucznia Lelujki.

- Chciałem się zapytać, co to znowuż jest?! - wykrzyknął z trwogą uczeń Lelujka, wznosząc olbrzymią łapę z druczkiem.

- To jest karta testowa - wyjaśniła Ewa swoim spokojnym głodem, starając się nie okazać Lelujce, jak bardzo go nie cierpi. - Temat testu brzmi: „Co wiem o moich rodzicach”.

- O kurcze - powiedział uczeń Lelujka, opadając bezwładnie na krzesło. - No cholery można dostać - wymamrotał już pod nosem, lecz pani Jedwabińska usłyszała.

- Coś ty powiedział?!

Okropny Lelujka wstał, oglądając się błazeńsko na wszystkie strony.

- Mam powtórzyć?

- A... nie. Nie musisz - sucho odparła Ewa. - Tylko, proszę, uzasadnij mi swoje niezadowolenie.

- Owładnęły mną emocje negatywne, co robić - rzekł uczeń Lelujka i z rzucającą się w oczy przyjemnością zarejestrował śmieszki przelatujące po klasie. Był wielki jak niedźwiedź. Miał mutację, krościastą twarz z grubym nosem i małymi oczami oraz ślady zarostu na górnej wardze. Pani Jedwabińska z właściwym sobie opanowaniem nie okazała wstrętu.

- Czy mam rozumieć, że nie zamierzasz poddać się testowi?

- Ehe. O, właśnie - odparł bezwstydnie Lelujka. - Nie zamierzam, jeśli można.

- Można... w zasadzie - pani Jedwabińska odkaslnęła - Rzecz oczywista, nie jest to zadanie obowiązkowe jak żadne z naszych zajęć. Jest to rodzaj testu, który, spodziewam się pozwoli mi poznać was bliżej. Stosunek do rodziców jest niezwykle ważnym elementem struktury psychicznej człowieka - poprawiła szaliczek. - Byłoby mi bardzo miło, gdybyście wszyscy wzięli udział w tej naszej - hm - psychozabawie.

Cisza. Długotrwała, pełna podejrzliwości cisza. Jak on to robił, ten stary Dmuchawiec? Nie oczekiwała, rzecz jasna, szalonego entuzjazmu (dzisiejsza młodzież jest przeciwna wszelkiemu wysiłkowi umysłowemu, oto smutna prawda) - ale przynajmniej trochę aprobaty mogliby z siebie wykrzesać. A tu nic. Spojrzenia spode łba i ogólna niechęć.

A tam, pod ścianą, Janina Krechowicz demonstruje swą kolejną lekceważącą pozę. Wyciągnięta w krzesło jak w leżaku, cała rozluźniona, tylko oczy ma czujne; wodzą za Ewą jak dwa obiektywy, ukryte pod półprzymkniętymi powiekami. Ewa odpowiedziała ostrym spojrzeniem - a wtedy ta bezczelna dziewczucha ziewnęła dyskretnie i oparła głowę na rękę, jakby się szykowała do drzemki.

- Krechowicz! - rzuciła Ewa. Głos jej zgrzytnął. - Opanuj się i nie usypiaj jeszcze przez chwilę. Będiesz przecież pisała test.

- Nie - odpowiedziała na to Krechowicz, momentalnie otwierając oczy. Następnie wstała i wyjaśniła, że tak jak Lelujka prosi o zwolnienie jej z pisania testu.

- Tak jak Lelujka obawiasz się źle wypaść? - pozwoliła sobie nauczycielka na małą uszczypliwość.

- Możliwe - przyznała cicho uczennica. - Ja zawsze mam fatalne wyniki w tych testach, kiedy muszę tak z wywalonym językiem...

- Proszę?!...

- ...wykazywać swoją inteligencję. To jest upokarzające.

- Co jest upokarzające?! Uzasadnij swoje stanowisko!

- O, nie wiem, czy potrafię... wyjaśnić to pani... - powiedziała mętnie Krechowicz i uśmiechnęła się jakoś przepraszająco. Była blada i osowiała, jakby chora - a jednak wciąż w niej się wyczuwało tę irytującą hardość. - Nie będę tego pisać. I już.

- No dobrze! - Ewa stwierdziła z zaskoczeniem, że nie panuje nad głosem: był ostry i zgrzytliwy, jak nigdy - Proszę o dokładne zanalizowanie twojej niechęci do testów.

Chwila ciszy dzwoniącej w uszach. Uczeń Lelujka z półotwartymi ustami gapiąc się na stojącą koleżankę, nikogo więcej Ewa nie dostrzegła, bo po prostu nie mogła odwrócić oczu od swej krnąbrnej uczennicy.

- Dobrze, powiem - wyrzekła wreszcie Janina Krechowicz, - Ten cały test przypomina mi raczej dom wariatów.

Coś jakby stłumione, zbiorowe westchnienie ulgi przeleciało po klasie. Lelujka opadł na krzesło i rozwalił się na nim z promiennym uśmiechem na przyszczatej twarzy.

- O kurcze - powiedział szeptem. - Ale jej przywaliła!

Ten szept był doskonale słyszalny i podziałał jak ostatnia iskra przepalająca lont.

- Głupia gęś! - eksplodowała pani Jedwabińska, tracąc ostatecznie panowanie nad sobą i nie poznając już własnego głosu. - Pożałujesz!!!... Jak śmiesz!... Wyjdź z klasy!... Albo nie - ja wyjdę! - wśród tych urywanych zdań nagle dostrzegła współczującą wzrok Krechowicz i nie mogąc go znieść, pełna przerażenia wobec swych, tak nieoczekiwanie ujawnionych, emocji, porwała się i wybiegła z sali, pozostawiając uczniów i uczennice w stanie bliskim wstrząsu.

- O kurcze - odezwał się po chwili napiętej ciszy Lelujka. - Kreska, coś ci powiem, dziewczyno. Będziemy mieli kłopoty.

Około południa profesor Dmuchawiec poczuł się lepiej. Poczuł się na tyle dobrze, że wstał. Umył się ogolił, ubrał powoli i starannie, zaścielił powierzchownie swój tapczan i zaciągając po drodze krawat, poszedł postawić wodę na herbatę.

Duża, kwadratowa kuchnia z podłogą ze skrzypiących desek, nieczynnym już wielkim piecem węglowym o żeliwnej płycie i błyszczących mosiężnych okuciach, przedzielona była na pół starym dębowym kredensem. Od jego rogu do ściany przewieszono fantazyjną zasłonkę i kanapka. Kiedy dziadek przypominał, że na kanapce tej sypiała córka, a Janki matka, smarkuła uparła się, że wobec tego ona też i rzeczywiście, nie do wiary, ale spała wytrwale na tych sterczących przez obicie sprężynach. Twierdziła, że kanapka pachnie jeszcze mamą - i profesor widział raz czy dwa, jak wnuczka kryje twarz w pluszowym wezgłowie i leży tak sobie dłuższy czas, nic nie widząc.

Odsunął zasłonkę i wszedł za kredens. Popatrzał przez chwilę na ślubną fotografię, wiszącą na wprost: rodzice Janki. Spojrzał im w oczy ze smutkiem i troską. Westchnął. Potem usiadł na starci kanapce i rozejrzał się po tym ciasnym zakątku.

Nad biurkiem jeszcze jedno zdjęcie, tym razem matki. Janka nigdy nie mówiła, że tęskni za rodzicami - ale on i tak wiedział. Była imponująco dzielna i opanowana, szczerze ją podziwiał. Dopiero od niedawna zaczęła zdradzać niepokojące oznaki de-

presji. Ale nadal nie mówiła o swoich sprawach, mimo że pytał. Uparte, twarde stworzenie. Bardzo ją kochał.

Oparł dłonie o kolana, wstał powoli i poszedł przez całą kuchnię do okna, wychodzącego na ulicę Roosevelta. Przez zamglone szyby widać było moką jezdnię, dachy lśniące od deszczu i brudne zielone tramwaje, pełzające z piskiem przez Most Teatralny. Po obcym, nieprzyjaznym niebie przeleciały z hałasem dwa wojskowe helikoptery. Przykry, szary dzień. Wilgotny ziąb o zapachu mokrego wapna przenikał przez szpary w starej ramie, chociaż Janka tak starannie opatrzyła ją przed zimą. Profesor zadrżał i szczelnie zasunął białą firankę.

Postawił na gazie imbryk i podniósł serwetkę, okrywającą talerz. Spod czerwonego płótna uśmiechnęło się do niego okrągłe ciasto: lukrowana szarlotka, na której Janka wymalowała czekoladą oczy nos i szeroko roześmiane usta. Upiekła to wczoraj wieczorem, według przepisu pani Borejkowej, żeby w domu ładnie pachniało i żeby dziadek zgłodniał. A on nic, stary niewdzięcznik. Nie zjadł ani kawałeczka.

Zjadł za to teraz, starając się przy krajaniu nie uszkodzić części twarzy. Jeszcze szarlotki i poszedł z tym wszystkim do pokoju na swój ulubiony fotel. Wysiedziany, zapadający się i przytulny, fotel pokryty był tym pluszem, co kanapka. Lecz w przeciwieństwie do niej stał w tym miejscu już od dwudziestu z górą lat: tuż obok biblioteczki, blisko, tak żeby można było bez trudu sięgnąć do adapteru lub wyjąć książkę z półki. Blisko też miał swoje miejsce czarny stolik o okrągłym blacie i szklanej pod nim szafeczce. Ta szafka dawała się świetnie do przechowywania najróżniejszych pamiątek, albumów, fotografii, listów od dawnych i nowych uczniów, starych wypracowań i pozółkłych zeszytów, kartek, drobiazgów miłych i zabawnych, zaszuszonych kwiatów i laurek.

Profesor wybrał płytę z koncertem fortepianowym Mozarta, uruchomił adapter i zagłębił się w kojącą przepaść fotela. Mimo woli, kierowany starym odruchem, wyciągnął rękę ku szklanej szafce - i zaraz się cofnął. Kiedy jeszcze pracował, lubił przeglądać swoje pamiątki. Ale odkąd uczyć już nie mógł, powracanie do tych zaszuszonych resztek minionego życia stało się nie do zniesienia smutne. Podobnie jak odwiedziny byłych uczniów i uczennic. Albo ich rodziców. Zaraz tu przyjdzie matka Gabrysi Borejko. Również i przed tą wizytą profesor odczuwał niechęć i obawę. Gabrysia już nie studiuje, całe życie się jej połamało, pogmatwało... co o nim, wychowawcy, może myśleć jej matka? Ale przecież nie potrafiłby wychowywać tych dzieci inaczej. Nie chciałby. Zamyślił się. Może to nie były niechęć i obawa. Może to był po prostu żal. Nikt nie

lubi aż tak żałować ludzi. Na dłuższą metę nie można tego znieść. Może dlatego nie chciał ich wszystkich widywać.

Muzyka - czysta, łagodna i radosna - wypełniała cały pokój Jak drżące światło. Za oknem wiał wiatr i zrobiło się jeszcze bardziej szaro, lodowaty deszcz pukał w szyby, jak czyjeś drobne, zziębnięte Paluszki. Profesor zadrżał i sięgnął po gruby pled.

Pomyślał nagle, że poniósł klęskę. Pomyślał też, że przydział dni z wolna mu się kończy i że niedługo trzeba będzie odejść w nieznane zaświaty, niosąc ze sobą zapewne świadomość, że niczego już się nie zdąży zmienić. Potem przestał myśleć o czymkolwiek, tylko słuchał, jak deszczu i solo fortepianowe wtapiają się powoli w śliczne takty orkiestry.

Sam nie wiedział, kiedy zasnął. Obudził się z uczuciem, że ktoś mu się przygląda. Otworzył oczy - i z lekkim wstrząsem ujrzał przed sobą nieruchomo stojącą postać, dziecko o czarnych oczach i czarnych włosach. Wpatrywało się w niego spojrzeniem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. W mieszkaniu panowała martwa cisza Pokój tonął w niesamowitym ołowianym świetle, które zacierało wszystkie kontury i pogłębiało cienie. Deszcz płynął bezdźwięcznie po szybach, całymi warkoczami.

Nie całkiem jeszcze obudzony, profesor poczuł lęk. Przez kilka idiotycznych sekund poważnie brał pod uwagę możliwość, że umarł we śnie i że niepostrzeżenie przedostał się na drugą stronę Lety, a dziecko wpatrujące się w niego tak nieruchomo należy już do świata zjaw i cieni. Wyglądało dziwnie bezpłciowo; lecz zdecydował się uznać, że jest to dziewczynka. Kiedy zauważyła, że się obudził, jej twarz ożyła, zmieniła wyraz, a szerokie usta uchyliły się powoli, jak wargi Pytii. Profesor poczuł, że zamiera mu serce.

- A dziadek Kopiec Ariety się ślini - usłyszał ochrypły głosik i oniemiał. Nie mógłby sprecyzować, co mianowicie spodziewał się usłyszeć, z pewnością jednak słowa wypowiedziane przez dziecko nie potwierdzały jego początkowej koncepcji. Nie znajdował się w krainie cieni, lecz w PRL. Żył, siedział w swoim fotelu, noga mu zdrętwiała, a kiedy się uszczypnął, czuł w ręce-ból - tylko skąd, na litość Boską, wzięło się tutaj to dziecko?!

Przez krótką chwilę nie mógł wydobyć głosu, wreszcie poprawił się w fotelu, odetchnął i porywczo zadał pierwsze pytanie, jaki® mu przyszło do głowy: -

- Kto to jest Ariela?!

W ciszy usłyszał nagle, jak dziecko drapie się po pośladku, w pomarańczowe rajstopy.

- To taka dziewczynka z podwórza, co ma zajęczą wargę

Otrzymał jakże wyczerpującą odpowiedź na swe pytanie.

- Ja tego nie widziałam, tylko Ariela mi opowiadała. Ohydnie się ślini

- pewnie przez tę wargę. - Profesor trzeźwiał powoli.

- Co?... Nie. Nie Arieta. Tylko dziadek się ślini. Ten jej dziadek - przychylnie i cierpliwie wyjaśniała dziewczynka. - On też jest stary, rozumiesz?

Profesorowi przyszło do głowy, że pewna poufna pobłażliwość, z jaką dziewczynka odnosi się do niego, spowodowana jest widocznie jej przekonaniem, iż tak właśnie należy traktować zdziecinniałych staruszków (jak dziadka Kopiec Ariety, na przykład). Zaczął się obawiać, czy nie zaszło coś, co ją do podobnego przekonania upoważniło.

- Czy ja... - zaczął nieśmiało. - Czy ja... też chrapię? - nie miał jednak odwagi zahaczyć o tę drugą, drażliwszą kwestię. Ale życzliwe dziecko uspokoiło go natychmiast.

- Skąd. I nie ślinisz się wcale. Specjalnie patrzałam ci w usta. Ładnie sobie spałeś. Muzyka grała, ale przestała, dlaczego ty nastawiasz muzykę, kiedy śpisz?

Profesor zdał sobie sprawę, że nie nadaży za procesem myślowym tego młodego mózgu. Zwłaszcza że młody mózg błyskawicznie zmienił temat.

- Znasz pana Piotrusia? - padło szybkie pytanie. - Ten to jest dopiero dziwny. Wycina z korka inne korki, ale mniejsze, i trzyma je w wędce. Ale zupełnie to robi z proszku, a nie z ryby! Cha, cha, cha! Co masz na obiad?

Zaskoczony profesor chrząknął.

- Ja... hm... nie wiem. A co czy to już pora obiadowa? Która godzina?

- Ja się nie znam jeszcze na zegarku - oświadczyła dziewczynka. - Ale chyba już jest ta pora obiadowa, bo mi się chce jeść obiad. U ciebie.

- Aha, a czekaj, skąd ty się tu wzięłaś? - profesor usiłował łysieć logicznie. - Może jesteś jakąś kuzynka Borejków?

Pokręciła głową.

- Skąd. Ja jestem Genowefa Rornbke. Ta pani wpuściła i zobaczyła, że ty śpisz. Trochę na ciebie popatrzała i mówi czekaj tu, bo strasznie leje. A sama skoczyła jeszcze po... - dziewczynka urwała, zatkała rękami usta i zrobiła okrągłe oczy.- o mało się nie wygadałam, że skoczyła po kwiaty!!!

Profesor parsknął śmiechem, a Genowefa Rombke patrzyła na niego przez chwilę, nie rozumiejąc, o co idzie - wreszcie zarechotała także, dla towarzystwa. I tak wspólnie się śmiejąc a następnie - wspólnie kaszłąc, nie usłyszeli nawet, jak w drzwiach zazgrzytał klucz. Dopiero kiedy na progu stanęła wysoka postać w żółtej żeglarskiej pelerynie, profesor spojrzął - i przestał się śmiać. Osobą w pelerynie bowiem nie była wcale pani Borejkowa. W progu stała Gabrysia - rumiana, roześmiana, ociekająca wodą - i trzymała w prawej ręce, jak raketę tenisową, mokry, długi bukiet czerwonych róż.

- Bałem się, że kiedyś tu przyjdiesz, Gabrysiu - wyznał profesor w jakiś czas potem, kiedy róże zostały już wręczone, wołowina z kością wyładowana z siatki, a kartki na mięso zwrócone właścicielowi.

- Bał się pan profesor, że przyjdę blada, żałosna i pełna pretensji? - spytała jego była uczennica tak celnie, jakby umiała czytać w myślach.

Przyznał, że istotnie, coś w tym rodzaju... Gabriela się roześmiała.

- Heę, nigdy taka nie bywam - oświadczyła. - Może mi pan wierzyć, jestem naprawdę szczęśliwym człowiekiem.

Powiedziała to mimochodem, jakby nigdy nic i pewnie wcale nie wiedziała, jak wielkiego ujmuje mu ciężaru. Stała przy czarnym stoliku jak żywy argument na poparcie własnych słów – roześmiana, tryskająca radością życia, krzepka i zamaszysta - i energicznie upychała czerwone róże w za małym wazonie z mlecznego szkła. W kuchni szumiał czajnik, za oknem padał deszcz, a z pobliza dochodził rytmiczny chrzęst i mlaskanie - to mała Genowefa Rombke obzerała się podanymi jej cukierkami.

- Jakim cudem? - spytał profesor. - Jakim cudem umiesz czuć się szczęśliwa? Po tym wszystkim, po tej klęsce.

- Nie wiem o żadnej klęsce - oświadczyła Gabrysia, przerywając na chwilę tłamszenie róż i spoglądając na profesora ze rywała - Niczego w tym rodzaju nie przyjąłem do wiadomości. Ja tylko zapłaciłam swój rachunek za doświadczenie - nabyłam. Już je mam. Jestem mądrzejsza. I silniejsza. Pan nas uczył, że życie bez cierpienia jest jak Jedzenie bez soli

- Tak, to prawda, ale...

- Żeby pan wiedział, jak mi teraz to życie smakuje! Wszystko jeszcze przede mną. To aż zapiera dech, wie pan! I mam taką wspaniałą, taką cudowną córeczkę - ach, gdyby pan ją widział! - i już ja coś zrobię, wszystko zrobię, żeby jej świat był lepszy niż ten nasz!

- Ostrzegam cię - rzekł Dmuchawiec. - To będzie kosztować,

Gabrysia zrezygnowała z zapewnienia ostatniej róży dostępu do wody. Otworzyła po prostu szklaną szafkę pod blatem stolika i wrzuciła tam różę.

- A niech kosztuje - powiedziała. - Niech kosztuje, co mi tam. Musi kosztować. To, co dają za darmo, na ogół nic nie jest warte. Panie profesorze kochany, niech pan się już o nas nie martwi! Wszystko z nami jest tak, jak być powinno.

- O tak - z goryczą rzekł Dmuchawiec. - Jak być powinno. Wychowałem dobrych parę klas entuzjastów pozbawionych elementarnego realizmu.

Gabrysia spojrzała bystro.

- To jest ich tylko kilka klas? - spytała gniewnie. - Czy pan przypadkiem nie jest zarozumiały? Panu się wydaje, że tylko spod pańskiej ręki wychodzą entuzjaści? No, to w takim razie skąd się tyle nabrało w każdym innym mieście? I w każdej innej szkole?

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Coś panu powiem - wojowniczo kontynuowała Gabrysia. - Tylko niech się pan nie obraża. Ja myślę - wie pan? - że ma pan zbyt mało roboty. A od tego zawsze przychodzi człowiekowi do głowy różne egocentryczne myśli.

Profesor się zaśmiał.

- Ujęłaś to z dużą szczerością - powiedział. I zaśmiał się znowu, miło mu było, że Gabrysia troszczy się o niego do tego stopnia, że aż prawi mu impertynencje. Było mu lekko na sercu i po raz pierwszy od dawna - wesoło.

- Zaraz napijemy się herbaty - powiedział. "

- Oj, nie! - zerwała się Gabriela, spojrzawszy na zegarek - Nie było mnie w domu pół dnia, ja naprawdę muszę już lecieć! Trzeba dać Pyzuni obiad!

Dmuchawiec się zmartwił.

- Szkoda. Kto to widział wpadać na tak krótko?

- Ha! Miałam prawo przypuszczać, że pan mnie w ogóle wyrzuci po dwóch minutach.

- Obiecaj, że przyjdiesz niedługo. Z Pyzunią. Szkoda, że dzisiaj nie chcesz herbaty. Janka upiekła taką pyszną szarlotkę...

W tym momencie rozległ się nagły rumor. Genowefa Rombke skoczyła na równe nogi, strącając pudełko z cukierkami i przewracając krzesło. Nie rozumiejąc nic zgoła z całej dotychczasowej rozmowy, teraz uchwyciła się tego jedyne słowa, budzącego w niej jakże czułe asocjacje.

- Jaka Janka? Jaka Janka? - wrzasnęła przeraźliwie. - Jaka Janka? - podbiegła aż pod sam fotel i z napięciem wpatrując się w twarz profesora, ścisnęła go za kolano. - Jaka Janka, pytam - czy Kreska?

- Geniusiu, nie szalej - ze śmiechem upomniała ją Gabrysia. - No, Kreska, Kreska właśnie, nasza Kreska jest wnuczką pana profesora.

- I tu mieszka? I tu mieszka? - powtarzała Genowefa, jakby nie wierząc własnemu szczęściu. Gdy uzyskała odpowiedź twierdzącą, aż znieruchomiała z wrażenia i z nowym szacunkiem obejrzała pokój profesora. - Kiedy przyjdzie Kreska? - chciała wiedzieć następnie. - Ja na nią zaczekam. Ja z nią zjem obiad, dobrze? - jej czarne oczy błagalnie wpatrywały się w twarze dorosłych.

Gabrysia uśmiechnęła się znowu, trochę tym razem niepewnie.

- Hej, Genowefo - powiedziała. - Nie zapominaj, że jesteś zaproszona na obiad do nas. A poza tym... pan profesor jest chory. Wpadniemy tu jeszcze kiedyś, obiecuję ci to.

Genowefa westchnęła.

- Sama wpadnę - powiedziała i od tych słów nabrała otuchy. - Tak, ja tu wpadnę - obiecała profesorowi. - Powiedz Kresce, przyjdę na pewno. Zobacysz, jak się ucieszy.

Po pierwszej deszcz przestał padać i niebo odrobinę przetało. Całe szczęście, bo Kreska od tej szarości zasypiała na siedząco. Ostatnia lekcja skończyła się nieco wcześniej i teraz cała Ib tkwiła osowiale przed wrotami szatni, czekając na ich klasę. Kreska przysiadła na parapecie okna, głowę oparła o ścianę i przymknęła oczy. Natychmiast potem poczuła, że ktoś ciężko usiadł obok niej. Podniosła powieki. Lelujka.

Siedział na parapecie, bimbał nogami i jadł bułkę ze malcem, rozsiewając wokół woń smażonej cebulki. Zauważył, że Kreska patrzy na niego i mrugnął porozumiewawczo.

- Cały czas myślę o tej zimnej cholercie - oświadczył, smacznie pomlaskując. - Już ona coś nam wystruga, spokojna głowa.

- E tam - mruknęła Kreska sennie.

- Dla ciebie „e tam”, ale ja miałem na okres obniżone sprawowanie.

- Ja też.

- Ale ja bardziej. Prawdę mówiąc, niżej obniżyć już się nie da - rzekł Lelujka z pewnym zadowoleniem i wydał z siebie charakterystyczny rechot.

- Ty, Lelujka...

- Jacek.

- Jacek. Dlaczego nie chciałeś pisać testu?

- Miałem te same powody, co ty - odrzekł Lelujka po chwili i Kreska aż się zdziwiła słysząc, jak poważnym mówi on tonem. Zdziwiła się też, gdy spojrzała mu w twarz, bo zobaczyła zupełnie odmienionego Lelujkę: myślącego i sympatycznego, z bystrymi oczami, w których latały drwiące błyski. - A kiedy mówię: te same powody, to mam na myśli nie tylko te, o których mówiłaś na lekcji.

- Tak? - spytała czujnie Kreska. - A jakie jeszcze?

- Te, o których nie mówiłaś, a ja o nich wiem. Rodzice.

- Ach, tak - szepnęła Kreska. Senność i apatia opuściły ją w mgnieniu oka. Nagle uśmiechnęła się do Lelujki i szybko podała mu rękę. uścisnęła jej dłoń równie szybko i mocno, z całą powagą. Potem już nic więcej nie mówili, bo dzwonek obwieszczający koniec lekcji przeszył powietrze jak świder elektryczny. Zresztą, wcale nie musieli dużo gadać. Wszystko nagle stało się jasne, nawet kiedy po wyjściu z szatni znaleźli się na ulicy, szli sobie krok za krokiem po mokrym chodniku, od czasu do czasu bąkając parę słów. A jednak było im lżej na sercach. Może dlatego że chmury się przetały i promienne niebo o niezwykle cieplej barwie ukazywało się to tu, to ówdzie między szybko sunącym kłębam szarości. A może dlatego, że nareszcie nie czuli się tak pojedynczo i samotnie - już było ich dwoje i bez słów wiedzieli co myślą na różne tematy.

Wstąpili do sklepu spożywczego, odstali swoje i kupili po bochenku chleba i po kostce masła kartkowego. Potem szli jeszcze razem aż do rogu Roosevelta - krępy, niedźwiedziowaty Lelujka w spłowiałej kurtce i czapce przypominającej pończochę i

pełna wdzięku Kreska o oczach lśniących w różowej twarzy cała w powiewających na wietrze połach, szalach i pomponach.

Na rogu Roosevelta i Dąbrowskiego, koło sklepu, w którym kiedyś sprzedawano obuwie, Lelujka i Kreska mocno uściśniły sobie ręce na pożegnanie i powiedzieli „do jutra”. Potem jeszcze chwilę postali, ponieważ nasunął im się temat, gdzie kto mieszka, i trzeba było o tym trochę pogadać. Okazało się, że Lelujka jest mieszkańcem nowego osiedla przy ulicy Norwida, wobec czego Kreska spytała, czy Jacek zna spośród sąsiadów ludzi o nazwisku Bombkę względnie Pompkę, ale Lelujce nic to nie powiedziało, nic zupełnie. Nie znał nikogo takiego. Zresztą, powiedział, mieszka na Norwida od niedawna.

Przeszli kawałek w dół Roosevelta, bo było to obojgu po drodze. Przed bramą Kreski przystanęli, znów sobie powiedzieli „do jutra”, co zabrzmiało naprawdę miło a oznaczało, że jutro spotkają się w tej ponurej budzie i będzie lepiej niż dziś i niż wczoraj, bo nie będą już sobie tacy obcy jak dotąd i że może jest to początek tajnej przyjaźni i że skoro tak, to wszystko inne może jakoś też się poukłada i poprawi.

I byłoby nadal bardzo miło, gdyby Kreska nie ujrzała czegoś, co natychmiast zmieniło jej nastrój: Maciek Ogorzałka wypadł ze swojej bramy, biła od niego luna elegancji, szczęścia, urody i innych takich rzeczy, niewidzące oczy miał wbite w horyzont, a w dłoniach piastował bukiet, owinięty w celofan.

„Matylda dostanie dziś frezje” - pomyślała Kreska. Maciek śmignął mimo niej jak świetlisty meteor, wchłaniając w przelo nowo nabytą energię. Odprowadziła go ukradkowo spojrzeniem. Tulejka przechwycił je, obejrzał się na pędzącego Maćka, domyślił się od razu wszystkiego i współczująco cmoknął.

- To ja już pójdę, cześć. Kreska, do jutra.

- Mów mi Janka - odrzekła ona. - Do jutra.

<udało zbudować kawałeczek dobrego świata pół metra sześciennego, tyle co odległość między nimi.

- no jutra, mała - powiedział Lelujka i odszedł.

Pół godziny przedtem profesor Dmuchał usłyszał dzwonek u drzwi.

- Otwarte! - krzyknął. - Wejź! - przypuszczał, że wróciła Gabrysia albo że Genowefa Rombke postanowiła zaczekać na Kreskę w jej własnym mieszkaniu. Musiał

się jednak mylić, bo osoba za drzwiami nie zareagowała na okrzyk i zadzwoniła raz jeszcze.

„Pewnie ktoś obcy” - pomyślał Dmuchawiec z pewnym niepokojem. Odłożył nóż i wstał z kuchennego stołka, przerywając obieranie selera. Począł powoli przez pokój i przez parę metrów długiego korytarza. Dotarł do drzwi wejściowych, otworzył je, krzywiąc się ze zniecierpliwieniem. Na progu stała jakaś była uczennica.

W pierwszej chwili pewien był tego, bo jej twarz wydała mu się znajoma. Zaraz jednak potem zwątpił, widząc jej zaskoczenie. Była tak zdumiona jego widokiem, jakby spodziewała się ujrzeć kogoś zupełnie innego. Była wręcz wstrząśnięta. Przez dłuższą chwilę nie odzywała się, co profesora wprowadziło w prawdziwą irytację, on bowiem też nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Dzień dobry, panie profesorze - przemówiła wreszcie młoda kobieta i Dmuchawiec odetchnął. A więc uczennica jednak. No. Ma się tę pamięć wzrokową. Tylko jak - u licha - nazywała się ta dziewczyna? Nie pamiętał.

Ta szczupła, niewyraźna twarz o starannym makijażu i rozbieżnych oczach z niczym mu się nie kojarzyła. Postanowił jednak nie robić dziewczynie przykrości tym, iż nie poznał jej. Uśmiechnął się do niej zachęcająco i powiedział

- Aaa, dzień dobry, witam cię, moje dziecko! Proszę

Z ociąganiem przekroczyła próg i poszła za nim tym długim korytarzem. Obejrząwszy się, profesor złowił jej spojrzenie ni to ironii i obawy. Powiedział szybko, sam dziwnie speszony:

- A przed chwilą była u mnie Gabrysia Borejko z jakimś śmiesznym brzdącem. Pamiętasz Gabrysię?

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie młoda kobieta, Weszli do pokoju. Profesor przysunął gościowi krzesło z poręczami, sam zapadł w fotel i obserwował, jak ona siada: z wahaniem obejrząwszy się dwukrotnie na siedzenie wyściełanego krzesła, jakby się brzydziła nawet go dotknąć. Usiadła jednak, a potem, najwyraźniej mimo woli. otrzepała ręce.

Profesor już zaczynał się wstydzić, że tak u niego brudno, kiedy zobaczył, jak młoda kobieta potarła palce jednej ręki o drugą. I w tym momencie przypomniał ją sobie. Widział u niej ten gest przez całe cztery lata, za każdym razem, kiedy wstawała do odpowiedzi i dotykała pulpitu albo kiedy odkładała kredę. Pamiętał. Była wciele-

niem ambicji i pedanterii. Miała zawsze same piątki, u niego też, chociaż stawiał jej te oceny bez przekonania. Zawsze też czuł, że ona go nie lubi.

- Ewa Marcinkowska! - odgadł, celując w nią palcem. Zauważył, że jednak się ucieszyła.

- Poznał mnie pan profesor - powiedziała sztywno. - Tyle lat. Hm. Teraz nazywam się Jedwabińska.

- A! Jedwabińska. No, a gdzież twoje warkocze? Z

- Obcięłam je. Dawno. Nie wypada... w pracy.

- A co robisz? Gdzie pracujesz? No, jakże ci się życie ułożyło? Kim jesteś? - dopytywał się profesor z ciekawością.

- Można powiedzieć, że poszłam w pana ślady - powiedziała nie bez satysfakcji. Dmuchał bez słowa uniósł brwi.

- Jestem pedagogiem - wyjaśniła. - Od września uczę w naszym dawnym liceum. A jednocześnie piszę doktorat z psychologii

Popatrzyła na niego tak, jakby się spodziewała, że go to zaboli. Ona go chyba naprawdę nie znosiła. Nigdy dotąd go nie odwiedzała. Nigdy jej tu nie było, ani n'1 próbach sekcji teatralnej, ani na wieczorach dyskusyjnych, ani nawet na zwykłym podwieczorku.

- Bardzo się cieszę - powiedział. - Pięknie. A jak życie rodzinne?

Poderwała głowę i spojrzała na niego gniewnie.

- W porządku, oczywiście - powiedziała z urazą.- Idealnie.

- Masz dzieci?

- Jedno. Aurelię - odpowiedziała i potarła palce.

- Aha - rzekł profesor. - Aurelia. Jak się zdrabnia to imię?

Ewa spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Wcale się nie zdrabnia.

- To pewnie ją nazywałeś Pyzą albo Ciapusiem?

- Proszę?! Nie skąd.

- To... zaraz... to jak się do niej zwracasz?

- No po prostu: Aurelio - odpowiedziała Ewa z wyraźną irytacją, jakby profesor wkraczał na zakazany teren. Więc zmienił temat.

- Co cię do mnie sprowadza? - zapytał i spróbował uśmiechnąć się do niej, ale uśmiech odbił się od jej twarzy jak piłka od gładkiej ściany i nic nie wyszło z próby nawiązania kontaktu. - Jesteś jakby moją następczynią w tym liceum - powiedział. - Czy przysłaś po radę? Masz może jakieś kłopoty? Chętnie ci pomogę.

Co to się stało nagle z jej twarzą! Przeleciał przez nią nagły, krótki grymas, jakby w gładkiej ścianie utworzyła się głęboka rysa i znikła zaraz. Ewa Jedwabińska wstała.

- Wpadłam... tak sobie - oświadczyła nienaturalnie spokojnym głosem. - W szkole, w szkole praca układa mi się świetnie. Wszystko jest w idealnym porządku. Wszystko - podkreśliła z naciskiem.

Potem dodała, że musi już iść, bo ma jeszcze kilka spraw do załatwienia. Wyjęła z torebki skórzany notes, zajrzała tam, coś sprawdziła z ważną miną, skinęła głową i skierowała się ku wyjściu. Dmuchawiec odprowadził ją do drzwi i tym razem zapalił światło w korytarzu, żeby mogła ubrać się przed lustrem. Podał jej płaszcz z wieszaka i odwróciwszy się ku niej, znieruchomiał na chwilę. Ewa Marcinkowska, obecnie Jedwabińska, wpatrywała się z osłupieniem w wiszący na wieszaku szalik. Było to jedno z tych wątpliwych dzieł sztuki, które Janka z takim upodobaniem ściboli na drutach, posiłkując się włóczką wyprutą ze wszystkich możliwych starych swetrów, jakie udało się jej odnaleźć w domu dziadka i na strychu. Szalik był niesłychanie długi, pasiasty i poskręcany w supły. Ale nie był aż tak dziwny, jak by to sugerowała mina Ewy Jedwabińskiej.

- Co to jest? - wyrwało się jej pytanie.

- To jest szalik Janki, mojej wnuczki - odrzekł zdumiony Dmuchawiec i jeszcze bardziej się zdumiał, słysząc jej słowa:

- A więc jednak! A więc jednak!

Niemal wyrwała mu z rąk swój płaszcz i już jej nie było.

- Cześć, dziadziu - Janka wpadła do pokoju, rzucając torbę z książkami na fotel, a czapkę, szal i rękawiczki rozsiewając po drodze w najdziwniejszych miejscach.

- Bałaganisz - zwrócił jej uwagę Dmuchawiec.

- To co, najpierw nabałaganie, a potem posprzątam.

- Albo nie.

- Albo nie. Coś pachnie bardzo miłutko. Była pani Borejtkowa?

- Była Gabrysia.

Kreska aż uniosła głowę.

- O! I co?

- I ugotowała rosół - rzekł dziadek. - To znaczy, postawiła na gazie garnek z mięsem i wodą. Włoszczyznę sam dodałem.

- A widzisz!

- Widzę! - dziadek potargał Kreskę za ucho. - To znaczy, niepotrzebnie stronie od byłych uczniów. To chciałaś powiedzieć?

- Dokładnie.

Przeszli do kuchni, gdzie wołowina z kością bulgotała na małym ogniu, rozprzestrzeniając kłęby pachnącej pary.

- Oberwała się dziś chmura z uczennicami - rzekł dziadek, zaglądając pod pokrywkę, podczas gdy Kreska myła ręce, nakrywała do stołu i przysuwała krzeselka.

- Tak? - spytała. - Kto jeszcze był?

- Ewa Jedwabińska - odparł dziadek i Kreska aż usiadła z wrażenia.

- Zaraz, jak to, to ona też jest twoją uczennicą?

- Była - uściślił dziadek.

- To to wiem. Jest twoją byłą uczennicą i moją obecną wychowawczynią

Dziadek, przestając nalewać rosół do filiżanek.

- Zaskoczyłaś mnie - powiedział. - Nie miałem... hm, pojęcia, ona uczy ciebie.

- Przecież ci mówiłam na początku roku.

- Nie skojarzyłem nazwiska. Ona wtedy nazywała się Marcinkowska.

- No. tak.

- Czy zdarzyło się w szkole coś przykrego? Teraz rozumiem. Ona przyszła w twojej sprawie, tak?

Kreska uniosła wysoko brwi i kiwnęła głową, wzdychając.

- Czy wiedziała, że jesteś moją wnuczką?

- Tak jak prosileś, nikomu nie mówiłam.

- Ach, jej - mruknął dziadek i odsunął filiżankę. - Proszę cię, opowiedz mi, co się dzisiaj wydarzyło.

I Kreska opowiedziała. Od początku. Rosół parował i stygł, pokrywając się coraz liczniejszymi oczkami, a ona opowiadała o Ewie Jedwabińskiej, nie szczędząc ni słów, ni oskarżeń. Opowiadała o wszystkim od początku, i o dzisiejszej lekcji, o swojej odmowie i o reakcji Ewy. Mówiąc tak i mówiąc, czuła ulgę i satysfakcję, wylewała z siebie niechęć do Ewy Jedwabińskiej, która to niechęć obejmowała i szkołę, a podczas gdy dawała upust tym nagromadzonym uczuciom - sama czuła się coraz lepsza i coraz mądrzejsza. Skończyła i spojrzała na dziadka, oczekując jego aprobaty.

Ale się nie doczekała. Siedział milcząc, a na twarzy miał wyraz troski.

- To mi się nie podoba - rzekł wreszcie.

- No właśnie - zgodziła się Kreska.

- Nie podoba mi się to co powiedziałaś - sprecyzował dziadek. - Nie podoba mi się też, jak to powiedziałaś. Nie obserwowałem dotąd u ciebie zacierzenia i jadowitej antypatii wobec kogokolwiek. Dlaczego widzę to teraz?

Kreska, zaskoczona, patrzyła na niego z półotwartymi ustami.

- Dziadziu - wykrztusiła wreszcie. - Czy ty jesteś po stronie tej zimnej zmi?

Zastanowił się.

- Jestem po stronie prawdy obiektywnej - rzekł. - Jedwabińska nie jest zimną zmią. Jest natomiast człowiekiem nieszczęśliwym. '

- Dziadku, jesteś chyba zbyt sentymentalny.

- Wnuczko, chyba nie jesteś dostatecznie sentymentalna

- Ona jest niedobra.

- Może. Ale nie sądzę. Nie wybrała wam chyba takiego jak tematu ankiety z jakąś ukrytą złą wolą. Myślę, że ona chce dobrze i że wszystko się jej nie udaje. Nigdy nie wiedziałem, dlaczego. Patrzyłem na nią kiedy była w twoim wieku, i patrzyłem dziś. Zawsze mi było żal Ewy. Dziś też.

Chwila ciszy.

Janka siedziała bez ruchu, założywszy ręce. Milczała i postukiwała obcasem drewniaka w drewnianą podłogę. Dziadek patrzył na nią i czekał. Zastanawiał się, dlaczego pojawiła się zmarszczka między jej brwiami i jakież to myśli przepływają teraz za tym wysokim, gładkim czołem. Chyba zgadywał, jakie.

- Wiesz co? - powiedziała, podnosząc na niego oczy. - Przywykłam do myśli, że masz zawsze rację. Postanowiłam uwierzyć ci i w tym wypadku. Będę się starała ją polubić. A przynajmniej zrozumieć. Już teraz rozumiem ciut więcej. Wydaje mi się, że ona jest w jakiejś niewoli.

- To może być dobry trop - rzekł dziadek. Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Czy masz ochotę na zimny rosół?

- Niespecjalnie - zaśmiała się Kreska.

- To podgrzej go. Słuchaj, mała...

- Tak?

- Do ludzi trzeba wyciągać rękę. Trzeba. Możemy się nie doczekać odzewu. Ale jeśli nie wyciągniemy ręki to odzewu nie doczekamy się z całą pewnością.

- Ty wiesz? To jest chyba bardzo trafne spostrzeżenie.

- Chyba tak. Jak większość moich spostrzeżeń - przyznał dziadek skromnie i mrugnął do Kreski. - Podgrzej wreszcie ten rosół, ho zaraz zemdlejesz z głodu. A podgrzewając, opowiedz mi wszystko o istocie pod nazwą Genowefa Rombke. Była tu dzisiaj około godziny i obiecała, że na pewno wróci.

- Co?! - powiedziała Kreska, łapiąc się za głowę.

- No nic!

Piotr miał wrócić dopiero późnym wieczorem i Maciek uznał, że właśnie ta okoliczność, którą zwykło się nazywać sprzyjającą. Od dawna już Matylda przejawiała chęć ujrzenia jego domu – kilka razy zapraszała się do Maćka i za każdym razem zmuszony był delikatnie ją od tego pomysłu odwodzić. Jakiś instynkt ostrzegł go bowiem, że Piotr i Matylda niekoniecznie muszą znaleźć płaszczyznę porozumienia. Jak się tak głębiej zastanowił, to pewien był nawet, że Piotr znajdzie sposób, by wyrazić Matyldzie swą dezaprobatę, ona zaś może Piotra nie polubić.

Toteż kolejny wyjazd starszego brata uznał Maciek za wyraźną zachętę ze strony losu i zaprosił Matyldę - ot tak od niechcienia w środku randki - do siebie na her-

batkę. Tak właśnie to ujął, kiedy szli sobie wietrzną ulicą Dąbrowskiego, a ona użalała się, że wiatr przewiewa jej kożuszek, że deszcz kropi i że marzną jej nogi. Zaproponował:

- To chodźmy do mnie na herbatkę - i udało mu się to powiedzieć tak niedbale i mimochodem, że Matylda musiała to uznać za pomysł improwizowany. Tak też się stało - miała nadzieję, że nie dopatrzyła się za tą propozycją ani jego romantycznych nadziei, ani pozostającego z nimi w ścisłym związku długotrwałego sprzątanego, mycia szyb, podłóg, szorowania wanny kilkoma rodzajami proszków, wymiatania kurzu spod kredensu i nawet skraplania wnętrza lodówki płynem odwanającym. Wydawało się więc, że nawet jej ukochane frezje, które porozmieszczał tu i ówdzie w musztardówkach i kieliszkach od wina wyglądać będą na tym tle w sposób naturalny.

- Chodźmy - ucieszyła się Matylda i ująwszy Maćka pod ramię, przytuliła się do jego boku. - Taka ciekawa jestem, jak mieszkasz.

- O... jak mieszkam? O, tego. nie spodziewaj się żadnych cudów. Mieszkam raczej skromnie - zastrzegł się pospiesznie Maciek. - Zwykle mieszkanko, tyle że podobno ma atmosferę.

- Atmosfera jest bardzo ważna - powiedziała Matylda z przekonaniem. - Jak się w to wpakuje trochę grosza, to każde mieszkanie staje się przyjemne, no nie?

Maciek przytaknął, ale bez przekonania.

Weszli w ulicę Roosevelta i niemal natychmiast natknęli się na kreskę, brnącą z uporem pod wiatr. Dwa końce szala furkotały za jej plecami, nos miała czerwony i policzki rumiane. Spojrzała na nich oczami zmrużonymi w szparki.

- Cześć, Kreska! - zawołał Maciek, ale ona nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko uprzejmie i minąwszy ich, skręciła.

Przytuleni, poszli szybko w dół Roosevelta, podczas gdy deszcz z nasilającym się uporem zaciął z ukosa. Matylda wtulała się w Maćka coraz ciaśniej i bez ustanku mówiła na tematy lokalów kraszając swą wypowiedź maksymami w rodzaju „mieszkanie świadczy o człowieku”, a podczas gdy ona wygłaszała te popularne zdanie, Maćka z wolna ogarniał niepokój. Padające bowiem z jej ust słowa (kafelki, fliski, boazeria...) pozwalały mu przypuszczać, że być może gusta Matyldy dość daleko odbiegają od jego możliwości - z treścią myślał także, że pod określeniem „atmosfera” Matylda rozumie chyba coś innego niż on. I tak dalej... Im bliżej byli domu tym większe się stawało Maćka pomieszczenie. Kiedy zaś znaleźli się przed jego bramą, pożałował zaproszenia i

gotów był natychmiast wymyślić jakiś pretekst, by odwołać herbatkę - ale nie wypadło. Deszcz lał jak z sikawki, Matylda kierowała się zdecydowanie ku wejściu i w istniejących warunkach nie miał ani możliwości, ani czasu na zmianę decyzji. Mógł tylko nieuchronnie dążyć ku temu, co los mu zgotować zamierzał.

Weszli. I zaraz pech dał znać o sobie, bo natknęli się na wyczekującego w bramie Sławka Lewandowskiego. Oparty o skrzynki listowe palił on papierosa i wpatrywał się w drzwi Borejków.

- Cześć - powiedział na widok Maćka, po czym zlustrował Matyldę od stóp do głów i widać mu się nie spodobała, bo zrobił śmieszny minę i uniósł oczy do góry. Akurat wtedy Matylda się odwróciła i ujrzała tę kretyńską pantomimę. Chyba jej to troszkę zwarzyło humor. Kiedy zaś Maciek delikatnie zawrócił ją z drogi ku głównym schodom i skierował w stronę wejścia do sutereny - Matylda okazała niemiłe zdumienie. Im dłużej potem szli wąskim, ponurawym korytarzykiem, tym bardziej rzedła jej mina. Kiedy zaś stremowany Maciek otworzył własnym kluczem odrapane (teraz dopiero to zauważył) drzwi mieszkania, kiedy zapalił światło w przedpokoju i tym samym objawił jej oczom przetarty chodnik na starej podłodze oraz - w dalszej perspektywie - rupieciarnię, jaką zdał mu się nagle pokój... o, wtedy mina Matyldy była już całkiem rzadka.

- Och - powiedziała tylko. - Och... och.

Różne bywają przyczyny, dla których człowiekowi spadną wreszcie klapki z oczu, wskutek czego pojmuje on w nagłym błysku olśnienia dotąd pojąć nie był w stanie. Bezpośrednią przyczyną związanego z tym olśnienia było w przypadku Macieja nabrzmiałe treścią „och” Matyldy. Straciwszy w jednej chwili o złudzenia, Maciej Ogorzałka pojął, że on i Matylda żyją po przeciwległych stronach bezdennej przepaści.

Szerokość owej przepaści była tak dotkliwa, dojmująca i dopiekająca do żywego, że sprowokowała Maćka do natychmiastowego działania. Nie czekając na pozwolenie, nie pytając o zdanie - i w najmniejszym stopniu nie przejmując się czekającymi go ewentualnymi wyrzutami - Maciej Ogorzałka porwał Matyldę w objęcia, ścisnął ile sił i energicznie pocałował prosto w jej kułacy dziobek. Włożył w ten pocałunek mnóstwo zapалу i desperacji. Jednakże z jej strony żadne romantyczne ożywienie nie nastąpiło. Początkowo zaskoczona, Matylda zaakceptowała jedynie sytuację, dokonując nagłego a wdzięcznego przegięcia w tył i przysłaniając powiekami oczy do połowy gałek, tak jak to się robi w każdym niemal filmie. Pozwoliła przy tym Maćkowi kontynu-

ować jego zapalczywe pocałunki, od czasu do czasu anemicznie oddając któryś z nich, przez cały czas zaś obserwując go uważnie spod rzęs.

Mijały sekundy i zapal Maćka Ogorzałki wyraźnie słabł. Trzymał oto w ramionach tę niezwykłą dziewczynę - lecz ku własnemu zaskoczeniu nie odczuwał niczego niezwykłego. Złapał się nawet na błyskawicznej refleksji, że Matylda ma wyjątkowo głupią minę i że jej zachowanie jest wyraźnie sztuczne, jakby zważała tylko na to, jak się prezentuje w tej czulej okazji. Miał również przykre, lecz nasilające się wrażenie, że całuje własną ciotkę Leokadię Ogorzałkową z Pobiedzisk; chorowita ta osoba o silnych skłonnościach histerycznych też tak nadstawiała do pocałunków swą zimną twarz. przymykając przy tym męczeńsko oczy i pachnąc Waleriana.

Matylda pachniała, co prawda, frezjami, lecz skojarzenie z ciotką Leokadią ostatecznie zmroziło mu krew. Zdecydowanie odsunął dziewczynę na długość ramienia i uśmiechając się zdawkowo w odpowiedzi na jej spojrzenie oświadczył, że czas na herbatkę.

- Na co? - zawiodła się Matylda. - O, niekoniecznie... Pocałuj mnie, Maćku - zażądała kapryśnie, przymykając znów oczy.

- Nie bądź głupi! - rozległ się nagle głos huczny jak wystrzał z garłacza, a donośny jak trąba.

Maciek omal nie podskoczył z przerażenia, w każdym razie podskoczyła Matylda. Oboje skierowali paniczny wzrok w kat skąd dobiegł ów głos stentorowy - i ujrzeli oczywiście w szparze niedomkniętych drzwiach wejściowych rozkoszną Genowefę, wspartą o futrynę, zachowującą pełny luz i silnie usmarkaną.

- Ale śmiesznie wyglądacie - stwierdziła z satysfakcją trując na blade i stężałe z przestachu ich twarze. - Oj, nie m oj, umrę ze śmiechu.

- O, cholera! - wrzasnął raptem Maciek, odpychając Matyldę na bok i ruszając z zaciśniętymi pięściami w stronę straszego dziecka. - O, cholera jasna psiakrew! To ona! To znowu ona!!

- Tak, to ja - nie ulękła się go Genowefa Bombkę vel Trombke. - Ale co wy tu robicie, he?

Maciek i Matylda milczeli, nie wiedząc zapewne, jak by tu sprecyzować cel i przebieg wizyty.

- Dlaczego właściwie tu jesteście, jak pana Piotrusia nie ma? - pytała dalej Genowefa tonem dobrotliwym na pozór, lecz w istocie pełnym różnorodnych a niewy-

słowionych podejrzeń. - Czy pan Piotruś dał ci ten klucz, czy sam go ukradłeś? - z tym jakże bezpośrednim pytaniem zwróciła się do Macieja, który, odkąd wszedł w progi domu, nie miał jeszcze czasu, by pozbyć się klucza Yeti, kurczowo zaciskanego w prawicy.

Maciej Ogorzałka sam właściwie nie wiedział, czemu wrzasnął. Ale wrzasnął.

- To moje mieszkanie! - wrzasnął. - To mój brat! - wrzasnął. - To mój klucz!

- A wcale że nie - przygwoździła go (Genowefa. - Pan Piotruś tu mieszka! Pan Piotruś mój! Sam mi mówił, że jest kawalerem, a kawaler nie może mieć brata!

- Może!!! - wrzasnął Maciej Ogorzałka.

- Nie może - uparła się Genowefa, wysuwając brodę. - Bo żeby mieć dziecko, trzeba mieć żonę. Maciek aż się jąkał ze zdenerwowania.

- Nie-nie-nie trzeba! To jest-ja nie jestem dzie-dzieckiem! Ja tu mieszkam!!! - wrzasnął.

- A wcale że nie! - przyłapała go triumfalnie Genowefa. - Jakbyś tu mieszkał, tobyś normalnie wszedł do mieszkania. A ty stoisz w skafandrze w korytarzu z Matyldą i boisz się wejść. A widzisz. He-he-he... Idźcie sobie to nie wasz dom.

- Co to znaczy?! - krzyknęła dość przeraźliwie.

- Nie krzycz! - krzyknął Maciek. - Ja naprawdę tu mieszkam!

. Jesteś pewien? - spytała ironicznie Matylda.

Maciek spojrzał na nią z niechęcią.

- Tak! - wrzasnął.

Wmieszała się Genowefa.

- Ja wam mówię, lepiej idźcie do domu - poradziła im życzliwie - Wróci pan Piotruś i jeszcze milicję wezwie albo to drugie - kaszłała soczyście.

- No proszę - wzburzyła się Matylda. - Ja stąd idę, z pewnością, już w tej chwili. Swoją drogą, ciekawa rzecz, Maćku. Gdzie się nie ruszysz, wszędzie leżą za tobą jakieś brudne bachory. Do widzenia. Nie mam już ochoty na herbatkę! - to rzekłszy, zawinęła poły kożuszka i rzuciwszy dumnie złotą głową, opuściła mieszkanie Ogorzałków.

Trzasnęły drzwi i zapadła straszna cisza. Rozwścieczony Maciek zastanawiał się, czy wziąć teraz za kark Genowefę Bombkę i jak kota wyrzucić za drzwi, czy też

przycisnąć ją wreszcie - korzystając z faktu, że ma ją pod ręką - i dowiedzieć się, za co smarkata tak go prześladowuje.

Póki co wszakże musiał wysłuchać pięknej kaskady jej kontrapunktowego kaszlu. Kiedy skończyła się krztusić i rzezić, zdjęła swój kożuszek i zipiąc ciężko, wręczyła Maciejowi. Ten machinalnie powiesił go na haczyku, co Genowefa przyjęła z uznaniem.

- No dobrze, rozbierz się też - zezwoliła łaskawie. - Będę robić zupę ziemniaczaną „Florida”, możesz mi pomagać. Nawet dobrze, że ukra... że pożyczyłeś ten klucz. Przynajmniej sobie weszłam. Trzy razy tu dziś dzwoniłam, a pana Piotrusia nie ma i nie ma.

Przeszła swobodnie do kuchni, wykrzykując w stronę Maćka, że doskonale pamięta, gdzie pan Piotruś trzyma swoje zupki. Włazła na stół, zapaliła światło, po czym bez wahania otworzyła szufladę kredensu.

- Tu są. O, a tu spławiki. Pan Piotruś je wycina z korka i przytwierdza do ryby, żeby ją złowić. Zapal gaz, dobra? Bo ja się boję.

Chodziła się po kuchni, nucąc z zadowoleniem. Maciek zupełnie nie umiał rozmawiać z dziećmi, a do tego Genowefa była zgoła egzemplarzem tego gatunku ludzkiego. Prawdę powiedziawszy peszyła go trochę. Usiadł, choć początkowo zamierzał stać, milczał, choć początkowo chciał krzyczeć

- Te, mała - rzekł po pewnym czasie, bo coś mu się przypomniało. - Dlaczego tam, w korytarzu, powiedziałaś: - Nie bądź głupi”?

- Żebyś nie był - wyjaśniła mu zatrzymując się w pół ruchu i wlepiając w niego okrągłe oczęta. - Musiałeś ją całować! Jejuu A ona jest taka drewniana!

Maciek zachnął się, otworzył usta, chciał protestować - ale nic wiadomo czemu milczał. Genowefa cmoknęła, pokręciła głową i powróciła do przerwanej czynności (mieszanie zupy w proszku z niewielką ilością zimnej wody), a on siedział na kuchennym stołku oparty plecami o olejno malowaną ścianę, i myślał. Zastanawiał się czy przed półgodziną uwierzyłby, że będzie całować Matyldę. I że zaraz potem pozwoli bez żalu, by odeszła. I że zupełnie nie będzie miał ochoty jej odprowadzić.

- Aurelia też musi - przemówiła nagle Genowefa, impetycznie mieszając w garnuszku.

- Hę? - ocknął się Maciej. - Jaka znów Aurelia?

- Jedwabińska.

- Co musi? - skrzywił się Maciek ze zniecierpliwieniem.

- Całować. Mama jej każe: pocałuj mnie! - zupełnie jak ta Matylda tobie kazała.

- Matylda nic mi nie kazała! - uniósł się Maciek strasznym gniewem.

Dziewczynka spojrzała na niego płochliwie, z ukosa, i dezaprobująco zakręciła łyżką w garnuszku.

- Hi, sama słyszałam - wymamrotała niby to do siebie.

- Figę tam słyszałaś! Figę rozumiesz! Sam ją całowałem! Sam-Sam tego chciałem!

- Taaa? - zdumiała się Genowefa, nieruchomiejąc. - A dlaczego?

Maciek też zamarł i spojrzał na nią z zastanowieniem.

- Cholera, no - mruknął. Wstał, zajrzał do kredensu, wyjął chleb i nóż. Jakoś nagle do niego dotarło, że jest nieludzko głodny-

Genowefa obserwowała go z politowaniem. Chciał ją zignorować, Maciek wraził w usta pół kromki chleba i otworzył lodówkę. Tu na górnej półce ujrzał wyschniętą, zbrązowiałą i nieapetyczną cytrynę. Na ten widok zalała go nagła krew.

- Co się gapisz?! - wyładował się na Bogu ducha winnej Genowefie, przełknął chleb i oczy wyszły mu na wierzch. Rzucił nóż i huknął: - Skąd ci przyszło do głowy, że Matylda mnie wodzi za nos?!

Wystraszona Genowefa, która jako żywo nie imputowała mu ni-go podobnego, milczała z otwartymi ustami, gapiąc się na Maćka. W jej nosie lśniły dwie świece, a w oczach - zdumienie.

- Zapamiętaj sobie - rzekł srogo on, wygrażając jej palcem - Macieja Ogorzałki nikt nie będzie wodził za nos. Jasne? Matylda też - tu urwał, doznał kolejnego olśnienia i dorzucił: - Chociaż ma na to bardzo wielką ochotę.

Pani Jedwabińskiej nie było dziś w szkole. Na zastępstwo przyszedł młody i wesoły praktykant - student matematyki. Miał węża jak elektryk i bujną czuprynę, a do tego ładne szare oczy. Wszystkie dziewczyny z Ib gapiły się na niego pozorując zainteresowanie nauką, lecz on przez bitą godzinę opowiadał kawały o aktualnym wydzwieku. Co do matematyki, nie napomykał o niej przesadnej uwagi.

Zadał tylko do domu parę potężnych ćwiczeń i uspokoiwszy w ten sposób sumienie, dołożył jeszcze kawał o ślepym i kulawym. O pani Jedwabińskiej powiedział też niewiele: ma dziś zajęcia w Zakładzie Psychologii.

Kreska spodziewała się, że będą z Lelujką wzywani do dyrekcji, oś ich w każdym razie czeka niemiłego - a tu nic, cisza. I w dodatku pani Jedwabińska w Zakładzie Psychologii. „Oby więcej tych zajęć” - pomyślała. Już dawno nie czuła się tak beztroško wspaniale na lekcji matematyki. Zresztą, cała klasa, zdawało się, odczuwała to samo: wszyscy byli dzisiaj wyjątkowo weseli i odprężeni roześmiane grupki wychodzące po lekcjach na korytarz nie rozproszyły się, jak to dotychczas bywało, po całym pięttrze. Przeciwnie, wszyscy ciągle stali razem, pod drzwiami klasy, pokrzykiwali, przegadywali jeden drugiego i prześcigali się w mnożeniu dowcipów. Kreska, która wyszła razem z Lelujką prawie na ostatku, spojrzała na niego porozumiewawczo.

- Popatrz, co za fajna klasa - powiedziała.

Lelujką uniósł jedną grubą brew i uśmiechnął się zgorzkniałe.

- Tacy fajni bylibyśmy, gdyby nie ona. Gdyby nie Ewcia Sopol - rzekł ze smakiem i sam się zachwyił dowcipem: - Ty, ale trafiłem z przewiskiem! No, powiedz, czy nie świetne?

Kreska najpierw parsknęła śmiechem, potem spowaźniała, bo coś się jej przypomniało. Jeżeli obiecała dziadkowi, że będzie się starała zrozumieć wychowawczynię, to należałoby właściwie zacząć już, od zaraz. Zgodnie z tym powiedziała:

- Czy nie moglibyśmy być tacy właśnie... fajni, że tak powiem... no, mimo niej? Tak - sami z siebie. Słuchaj, Lelujką...

- Jacek.

- Jacek. Przecież to chyba od nas samych zależy, nie od niej.

- Nie zgodzę się z tobą - rzekł Lelujką, drapiąc się w głowę, a następnie wyjmując z kieszeni spodni nieduże ciepławe jabłko i dzieląc je na pół. - Masz, zjedz. Robaczywe, ale dobre. Bez nawozów sztucznych. Z naszej działki.

- E - hm, dziękuję. Rozumiesz, Jacek, ja chcę powiedzieć, że może zbyt często lubimy wszystko zwać na jakąś, no, siłę wyższą, ona nam uniemożliwia to czy owo... podczas gdy wiele rzeczy, JUŻ na pewno to, jacy jesteśmy, zależy głównie od nas samych.

- Absolutnie się z tobą nie zgadzam w tym przypadku – rzekł Lelujka chrupiąc jabłko jak koń. - Mniam, mniam! Pojedz ci, że pyszne. Kokska.

- E... em, tak, już, oczywiście, już jem. Dlaczego się nie zgadzasz?

- Od Ewci Sopol, uważam, zależy rzecz bardzo atmosfera w klasie - powiedział Lelujka i wypluł pestkę. Kreska kiwnęła głową i z uporem ciągnęła swoje:

- Dobra, dobra, ale taka atmosfera jak dziś nie jest czymś normalnym w szkole. Facet przyszedł, opowiedział parę kawałom Nie pytał, tylko nam się podlizywał. Zresztą, może sam się dobrze się bawił. Co za sztuka zrobić taką atmosferę. Niczego nas nie uczył niczego od nas nie wymagał, toteż wszyscy się naraz zrobili sympatyczni i odprężeni.

- Kreska. Po pierwsze, czemu nie jesz mojego jabłka. Po drugie, wszyscy nie dlatego się porobili sympatyczni, że mogli sobie dziś popróżnować, tylko dlatego, że coś odtajało. Bo od Ewci Sopol to aż mrozem dmucha. O kurcze. Ja jej nie cierpię. Ma dusze policjantki.

- Ufff. Nie jest łatwo jej bronić.

- No, powiedz mi, że nie mam racji! - wzburzył się Lelujka.

- Mniam, mniam - odparła Kreska. - Bardzo smaczne jabłuszko.

Po szkole znowu wracali razem. Wicher hulał po pustym placu przed hotelem „Merkury”, marszcząc kałuże w drobną łuseczkę o kolorze grafitu. Zziębnięty Lelujka dobył tym razem jabłko z kieszeni skafandra i uszczęśliwił Kreskę następną połówką.

- O kurcze, to jest bez robala! - ucieszył się szczerze po dokonaniu wstępnych oględzin. Chuchnął na jabłko i przetaił je rękawem. - Masz. Janka. Jedz. Jedz. Błado wyglądasz, na pewno brak ci żelaza. A w jabłkach żelaza jest jak naplute.

Kreska z wysiłkiem przełknęła ślinę i przyjęła podwiedły owoc Lelujka patrzył czujnie, czy zje - więc ugryzła.

- Pyszne - wyrzekła zdławionym głosem, żując powoli.

- Widzisz! - ucieszył się serdecznie Lelujka. - Nic się martw będę ci te jabłka co dzień przynosić. My ich mamy całą skrzynkę

- doprawdy? - przełękła się Kreska.

- Tak - przerwał jej z królewskim gestem szczodropliwości. - Jedz na zdrowie. Już ja dopilnuję, żebyś co dzień zjadła jedno. Zaraz dostaniesz rumieńców.

- Nie trzeba - spróbowała raz jeszcze.

- Żaden kłopot. Słowo - kategorycznie uciął Lelujka. - Mam je z działki. Bo my mamy działkę, wiesz? Sam zasiałem jabłonie mieszanką naturalną. Od razu lepiej owocują.

Kreska żuła z przygnębieniem.

- To ojciec posadził te jabłonie - powiedział Lelujka i spoważniał. Westchnął, zatrzymał się, po czym troskliwym gestem owinął szyję Kreski końcem fruującego szala.

Nim zdążyła zareagować, już zareagował kto inny.

- No, no, co ja widzę - odezwał się za nimi głos z lekka żartobliwy i Kreska struchlała, rozpoznając po głębokich uderzeniach własnego serca, że to się odezwał Maciek Ogorzałka.

W istocie, był to on. Odziany w przykusy skafander koloru granatowego, z czerwonymi rękami, czerwonym nosem i takimiż uszami wystającymi spod sypkiej czupryny o barwie pszenicy, stał za plecami Kreski i czekał, aż tramwaj numer siedem przetoczy się z piskiem po zakręcie jezdni.

Ani Kreska, ani Lelujka nie odpowiedzieli, każde ze swoich powodów. Maciek też przez chwilę nic nie mówił, a potem z nagłym ożywieniem rzekł:

- Hm, Kreska, co z tą twoją matką?

Kreska w milczeniu wzruszyła ramionami.

- Prosiłem, żebyś przyszła, to pomogę - z wyrzutem powiedział Maciek. - Wpadnij choćby dziś, będę w domu od obiadu.

Kreska milczała.

- Wpadniesz? - spytał szybko Maciek i zerknął na Lelujkę. - No, dobra. To ja lecę. Hm. Kreska, na przykład o piątej, co?

Nie czekając odpowiedzi, wdarł się na jezdnię między żuka a syrenkę i przedostał się na róg Dąbrowskiego. Jeszcze przez chwilę widać było w szarym powietrzu jego złocistą czuprynę, powiewającą a wietrze. Potem wtopił się Maciek w szary tłum, drobiący ku przystankowi dziewiątki. I znikł w perspektywie ulicy Roosevelta.

Lelujka milczał dyskretnie. Milczała i Kreska, stojąc wciąż w tym samym miejscu i czując, jak zimny wiatr przenika ją na wylot czuła też, że gdzieś koło serca pulsuje w niej jakby ciepłe światło. Tak czasem w atramentowej czerni nocy błyska na torach daleko gnał i on jeden przypomina, że nie zawsze przecież będzie pusto; być może już wkrótce przeleci wspaniały wielki ekspres do którego będzie można wskoczyć, pojechać daleko i zmienić i swoje życie.

- Pójdiesz? - spytał sztywno Lelujka, patrząc w ziemie - Bo jakby nie to ja też bym ci mógł pomóc w matmie. Nie jestem taki znowu kiepski, jak myśli Ewcia Sopel.

Spojrzał pytająco na Kreskę, lecz ona milczała, pogrążona we własnych myślach. Lelujce zrobiło się jakoś smutno. Klepnął Kreskę po ramieniu powiedział „cześć” - i odszedł, nie doczekawszy się od niej nawet spojrzenia.

Tymczasem pani Jedwabińska właśnie dochodziła do drzwi jego domu. Zajęcia w Zakładzie Psychologii udało się jej przełożyć i wolne popołudnie postanowiła przeznaczyć na rozmowę z rodzicami Lelujki. Było już po trzeciej, kiedy zrobiła zakupy i zajrzawszy do notesu, sprawdziła raz jeszcze adres Lelujki: mieszkał w sąsiednim bloku, na jej osiedlu. Dziwne, że go dotychczas tam nie spotkała.

Nie chciało się jej wstępować do domu, zwłaszcza że po drodze spotkała panią Lisiecką, opiekunkę Aurelii. Dowiedziała się, że jej dziecko nie zjadło obiadu tłumacząc się brakiem apetytu i pobiegło ze skakanką na placyk zabaw. Ewa powierzyła torbę z zakupami pani Lisieckiej, umówiła się, że wpadnie do niej potem - i weszła do bloku Lelujki.

Wjechała windą na dziesiąte piętro, przystanęła pod oknem i zajrzała do lusterka, starannie poprawiając fryzurę i makijaż, rozpięła płaszcz, ułożyła równo rogi apaszki, raz jeszcze sprawdziła w lusterku, jak wygląda - i poczuła, że ma właściwie ochotę wracać do domu. Czuła, że rozmowa z rodzicami Lelujki będzie niewypałem. Czuła, że wszystko to udać się nie może. I wołałaby doprawdy oszczędzić sobie zderwienia.

Gdyby winda była wolna, pewnie by Ewa uciekła. Ale jak na zawołanie właśnie zjechała w dół, a druga była w drodze na górę. Jakieś drzwi w długim korytarzu otwarły się z trzaskiem, brudas z workiem wytoczył się w kierunku zsypu. Ewa pomyślała że to może być ojciec Lelujki i zrobiło się jej mdło; ale się opanowała, poszła w głąb korytarza i odszukała mieszkanie 108. Z ulgą stwierdziła, że to jednak nie pan

Lelujka czeka koło zsypu, drzwi mieszkania 108 były bowiem zamknięte, w przeciwnieństwie do mieszkania 105, z którego ciemnej głębi waliła won nie do opisania. Pani Lelujkowa otworzyła drzwi i też me wyglądała na żonę alkoholika. Była czyściutką, skromną, niczym się nie wyróżniającą kobieta o spracowanych rękach i nieśmiałym uśmiechu. Na wieść o tym, że Ewa jest wychowawczynią Jacka, pani Lelujkowa przejawiała pewien niepokój. Ale umiarkowany.

- Proszę, proszę wejść - zaprosiła Ewę do skromnego, nudnego pokoju z taną meblościanką i zasłonką z drukowanego lnu. Spiesznie i wstydliwie uprzątnęła z niego fotela jakieś zabawki czy klocki. - Pani usiądzie, kochana, bardzo proszę.

Ewa zdjęła płaszcz, który pani Lelujkowa skwapliwie powiesiła w ściennej szafie w przedpokoju. Usiadły obie. Pani Lelujkowa, zaplatając nerwowo zgrubiałe palce, zapytała, czy Jacuś może coś zmalował.

- Zależy, co pani przez to rozumie - odrzekła sztywno Ewa. - Ale nie ukrywam, że przyszłam tu, no... na skargę. Leluj... to jest, Jacek jest bardzo niesubordynowany. Przypuszczam, że popełniacie państwo jakiś podstawowy błąd wychowawczy - oświadczyła i rozsiadła się nieco wygodniej (fotel był twardy i bolały ją plecy) kontynuując; - Wiem, że macie państwo jeszcze kilkoro dzieci...

- Jeszcze troje - wtrąciła pani Lelujkowa, obracając w palcach róg płóciennego fartucha.

- Być może więc zawinił brak czasu... bo wina za jego zachowane leży, wydaje mi się, po państwa stronie. Być może ma za mało dyscypliny...

- O, nie - żywo zaprzeczyła pani Lelujkowa. - Dyscypliną to dostawał dość często, aż mi go było żal. Mąż mu dawał lanie za każdą dwójkę... Ale teraz uczy się lepiej, prawda?

- W zasadzie tak. Hm. A więc kary cielesne... Może więc presja była zbyt silna - myślała głośno pani Jedwabińska. - Zasadniczym moim zarzutem jest to że Jacek błaznuje na lekcjach, odmawia wykonywania moich poleceń, ośmiesza mnie przed klasą - a zdenerwowała się, wyszczególniając te przewiny Lelujki, bo zdała sobie sprawę, że jej zarzuty są trochę żałosne. - Jest zbuntowany, tak, zbun-to-wa-ny, i przez cały czas zastanawiam się kto to sprawił. Przecież nie ja - bo gdyby wina leżała po mojej stronie, zbuntowałyby się cała klasa, prawda? A tymczasem mam tylko dwoje takich buntowników: Jacka i tę jego Janinę.

- On ma dziewczynę? - ucieszyła się i stropiła jednocześnie pani Lelujkowa. - Nic nie wiedziałam. Muszę mu powiedzieć, żeby ją do nas zaprosił...

- Nie w tym rzecz - przerwała jej Ewa Jedwabińska. - Chce państwa przestrzec, że stosujecie niewłaściwe metody wychowawcze Bunt i ucieczka są zawsze rezultatami wzmożonej presji. Nie można narzucać dziecku niczego siłą, przez przymus. Bo choćby pani robiła to dla dobra dziecka - takie łamanie osobowości, taka przemoc musi wywołać bunt i odrzucenie posłuszeństwa. Może przeczytam pani zdanie Immanuela Kanta z „Uzasadnienia metafizyki moralności” - Ewa sięgnęła po swój piękny notes i odczytała swym starannym głosem wypisaną uprzednio myśl: - „Postępuj zawsze tak, byś człowieczeństwa tak w twej osobie, jako też w osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy jako środka”. Pani rozumie? - spytała, widząc lekkie oszołomienie na twarzy swej rozmówczynie.

Pani Lelujkowa namyślała się dłuższą chwilę.

- To chyba znaczy, że najważniejszy jest człowiek, tak? - odgadła wreszcie nieśmiało.

- Tak jest, no, mniej więcej tak - zgodziła się pobłaźliwie Ewa. - Człowiek nigdy nie powinien być traktowany instrumentalnie. W wychowaniu także. Dziecko ma też godność, proszę pani, i to trzeba umieć uszanować, tak jak jego swoisty charakter, upodobania i osobliwości.

- Ksiądz proboszcz mówi to samo - zgodziła się pani Lelujkowa. - A ja też tak uważam, pani profesor. Jacka wychowuję, jak umiem, ale godności mu nie poniewieram, co to, to nie.

- A jak z autorytetem? Ma pani u niego autorytet?

- Proszę?... Nawet nie wiem. Ja jestem niewykształcona, pani profesor, ja umiem tylko kochać te moje dzieci i kocham je szczerze, a jakby trzeba było, to ja za nie życie oddam.

Ewa zaśmiała się lekko.

- No, nikt tego od pani nie wymaga. Wyróżnia dwie postawy: „mieć autorytet” i być autorytetem”. Pani rozumie tę różnicę, prawda?

- Nie za bardzo.

- A więc człowiek, proszę pani, który jest autorytetem, jest nim sposób naturalny i wcale nie musi starać się o to. Każdy go szanuje.

- To całkiem jak profesor Dmuchawiec - ucieszyła się pani Lelujkowa. Ewa zeszywniała.

- Pani zna profesora Dmuchawca?

- Pewnie, najstarsza córka robiła u niego maturę trzy lata temu. Złoty człowiek, naprawdę. Ile on nam pomógł!... Tak, jego to naprawdę wszyscy szanują, chociaż on się wcale nie wysiła...

Ewa z trzaskiem zamknęła swój notes.

- Jest taki prosty i zwyczajny - rozczulała się nadal Lelujkowa. - Chociaż taki uczony.

Ewa wstała. Była niejasno poirytowana.

- Pójdę już - oznajmiła, chowając notes i przechodząc do przedpokoju.

Pani Lelujkowa pospieszyła za nią.

- Pani profesor, niech się pani nie gniewa na Jacusia. To jest naprawdę dobre dziecko. Ja z nim porozmawiam i on się na pewno poprawi!

„Ach, te matki - pomyślała z lekkim zniecierpliwieniem Ewa Jedwabińska. - Zaślepię zupełnie, zakochane w tych swoich synalkach. Z tą już nic nie da się uzgodnić. Jacek jest dobre dziecko. Założyła już, że to ja się mylę w ocenie”.

- Do widzenia pani - powiedziała sucho, naciągając rękawiczki.

- Do widzenia! - zawołała za nią Lelujkowa, wychylając się Jeszcze na korytarz.

- Ja bardzo przepraszam za Jacka, ja mu powiem...

Oczywiście, gadanie dla pozorów. Nic mu nie powie. Ewa pomykała, że w gruncie rzeczy nie omyliło jej przecucie. Rozmowa z Lejkową zakończyła się jej, Ewy, porażką. Trzeba było po prostu tu nie chodzić.

Było około piętnastej, kiedy Genowefa znalazła się pod drzwiami Lewandowskich. Zamierzała pierwotnie udać się do kochanej Kreski ale nie zastawszy nikogo w domu, odeszła spod jej drzwi z postanowieniem, że wróci tu po obiedzie u Borejków. Jednak i tam nie było nikogo, za drzwiami zatknięta była jakaś karteczka i zasmucona Genowefa skierowała się do suterenu.

W całym korytarzyku pachniało rosołem, a tuż przed drzwiami Lewandowskich dołączył się do tego zapachu aromat kapusty i naleśników. Wszystkie te smakowite

wonie stanowiły dla Genowefy konkretną jedność, oznaczającą, że dom ten żyje i czeka. Zadzwoiła radośnie ze dwadzieścia razy, łomocząc w drzwi jednocześnie czubkiem buta i pięścią.

- Cześć i czołem! - zawrzęsnęła szczęśliwym głosem, widząc w progu pana Lewandowskiego. - Przyszłam znowu!!!

Pan Lewandowski wyglądał, jakby nie podzielał jej radości. Spojrzał na nią stropiony, wreszcie w jego wzroku pojawił się błysk rozpoznania, ale nawet i wówczas minę miał jakąś nietęgą.

- Cześć, Geniusia - powiedział wreszcie i uśmiechnął się pod wąsem. - No, chodź, dziecko, chodź.

Pomógł jej zdjąć kożuszek i zaprowadził do kuchni, gdzie jadano w dni powszednie. Pani Marta, opięta fartuchem w kwiatki, stała przy kuchence i mieszała w kapuście. Sławek siedział na taborecie przy nakrytym ceratą stole i naprawiał żelazko. Ci dwoje też byli dziwnie bez humoru, co Genowefa wyczuła od razu. Posadzono ją, owszem, przy stole, ale jakoś nikt się nie cieszył z jej obecności. Prawdę mówiąc, Genowefa odnosiła wrażenie, że jej niemal nie dostrzegają.

- Co słyhać? - spytała pana Franciszka, ten jednak nie odpowiedział. Spojrzał za to z troską na Sławka i - jakby kończąc zdanie - rzekł do niego: - A ja ci mówiłem, uważaj.

- Co by to pomogło, tatuś - odparł Sławek nie podnosząc ciemnej głowy znad żelazka. Postukał metalowym narzędziem, pokręcił jakąś śrubkę i założył uchwyt.

- A co się stało? A co się stało? - Genowefa uczestniczyła w życiu rodziny.

Przez chwilę nikt jej nie odpowiadał, wreszcie pani Marta odwróciła się ciężko od pieca.

- Nic, nic - powiedziała. - Ty i tak tego nie zrozumiesz, Geniu. Sławek ma kłopoty. No, chodźcie jeść.

Wszyscy spochmurnieli i wzdychając raz po raz zasiedli wokół stołu

- A jakie Sławek ma kłopoty?- chciała Siedzieć Genowefa.

- W pracy, dziecko, w pracy. Ty i tak tego nie zrozumiesz - opowiedziano jej.

Na rozstawionych talerzach czekał już makaron domowy, posypany siekaną pietruszką. Teraz pani Lewandowska podeszła z garnkiem i chochlą.

- Znów rosół.

- No, co ja poradzę, Sławuś, znów była tylko wołowina z kością - usprawiedliwiała się pani Marta. - Smażyłam te naleśniki, to już nie miałam czasu wymyślać zupy.

- Rosół mu się nie podoba - burknął pan Franciszek. - Głodu, głodu wam potrzeba!

Zaczęli jeść. Z początku nikt nie mówił, nawet Genowefa (bo rosół fantastycznie jej smakował po dzisiejszym wietrznym spacerze), ale zaraz odezwał się pan Franciszek;

- Ty jednak, Sławek, rozejrzyj się za jakąś robotą. Na wszelki wypadek. Może idź do Ogorzałki, popytaj. On robi u przywaciarza.

- Pan Piotruś? - Genowefa przestała chlipać rosół. - Co robi pan Piotruś u przywaciarza?

Nikt jej nie odpowiedział, bo mówili o czym innym.

- Już wiem - odpowiedziała sama sobie. - Spławiki.

Kiedy zaś rodzina Lewandowskich umilkła na chwilę, Genowefa pospieszyła z informacją:

- Pan Piotruś ożeni się z Gabrysią. Czy ja też dostanę naleśnika?

Tym razem jej uwaga nie przeszła bez echa. Pani Marta spojrzała na dziewczynkę z bardzo kobiecym ożywieniem i spytała:

- Co ty powiesz? Piotr z Gabrysią?

- Ona jest bardzo miła, ta Gabrysią - rozgadała się Genowefa, rada, że wszyscy jej słuchają. - Bardzo. Ta Ida to nie jest taka miła, a Ida, to jest ta pani Ida, z którą pan Sławek w bramie...

- E!!! - krzyknął Sławek, czerwieniąc się gwałtownie.

- Co? Czy ja coś powiedziałam? - zdziwiła się Genowefa. - Jak nie chcesz, to ja nie wygadam. Ja tylko mówię, że byłoby fajnie, jakby pan Piotruś się ożenił z Gabrysią. Ja bardzo lubię śluby jest dużo tortów. I wszyscy tak się cieszą. Czy ja też dostanę naleśnika?

- A pewnie, pewnie - zakrzętała się pani Marta. - masz talerz, tu widelec, o, i jedz, dziecko.

- Dziękuję. A znowuż Sławek musi ożenić się z Ida – ciągnęła swe wywody Genowefa.

Jakaś dziwna cisza zapanowała nagle przy stole.

- Te, mała... - zaczął Sławek groźnie, umilkł, jakby nie wiedział, co rzec, i tak ostro spojrział na dziewczynkę, że aż zamilkła z przestachu. Ale tylko na moment

- Co ja powiedziałam? - spytała zaraz głosem żalonym - No, co ja powiedziałam złego? Przecież sam tej Idzie mówiłeś że ją kochasz. To musi być ślub. Tatuś mi to powiedział, naprawdę

- Tatuś? Tatuś? Co tu ma do rzeczy twój tatuś? - wściekł się Sławek.

- Ja go pytałam.

- O co?!

- Czy on mamusię kochał, jak się żenili. Bo oni teraz tak się kłóca... i kłóca... i on powie... dział... - umilkła, patrząc bezradnie, jak na twarzy pana Franciszka pojawia się coraz silniejsze wzburzenie.

- Sławek! - przemówił pan Franciszek głosem surowym i odłożył widelec. - Co jest, naprawdę chcesz to głupstwo strzelić?

- Franuś, uspokój się! - szybko powiedziała pani Marta, popatrując to na męża, to na syna. Ale jej apel, jak to zawsze bywa z podobnymi apelami w podobnych sytuacjach, nie tylko nic nie pomógł, lecz przeciwnie, pogorszył sprawę. Pan Franciszek teraz dopiero zdenerwował się naprawdę, twarz mu poczerwieniała, brwi zjechały się nad nosem.

Huknął dłonią w stół i oświadczył:

- Będę mówił, co uważam! Sławek, masz mi odpowiedzieć! Co za historia z tym ślubem? Prawda to czy nie?

Cisza była teraz taka, że Genowefa usłyszała, jak brzęczy lodówka.

- Prawda! - wybuchnął nagle Sławek. - A co ojciec myśli. A czemu bym nie miał się ożenić?

- Bo nie masz mieszkania - rzekł ponuro pan Lewandowski. - Bo nie masz pieniędzy. Bo zaraz stracisz pracę. A jeszcze dlatego że nie wiem komu by się chciało zakładać teraz rodzinę.

- A tyś się żenił w lepszych czasach? - zapytał Sławek ze wzburzeniem

- A jeszcze ta Ida... - zaczął ojciec i urwał.

- Co Ida - krzyknął Sławek ostrzegawczo.

- Ida studiuje. Medycynę - gniewnie uzupełnił pan Lewandowski - Skończy studia, będzie lekarzem. A ty kim będziesz? Tramwajarzem będziesz, o ile cię nie wyrzucą z WPK.

- A kto to ojcu powiedział?! - krzyknął Sławek zrywając się miejsca. - A ja się na politechnikę zapiszę! Już dawno postanowiłem!

- Widziałem ja takie studenckie małżeństwa!

- Co tam ojciec widział!...

- Sławuś! - krzyknęła żałośnie pani Lewandowska.

- No, przepraszam, mamusia, ale czemu ojciec... No, dobra, przepraszam ojca - ustąpił Sławek. - Ale zdania nie zmienię. Żeby ojciec wiedział, że ja się jej oświadczę!

Porwał się z miejsca, złapał kurtkę z przedpokoju i wypadł z mieszkania, trzaskając drzwiami.

- Czy on naprawdę się oświadczy? - zwróciła się do pani Marty podekscytowana Genowefa. Pani Lewandowska spojrzała na nią bez entuzjazmu.

- Wiesz ty co, moje dziecko - powiedziała z westchnieniem. - Zjedz do końca naleśnika i idź do domu. Po coś ty tu dzisiaj przychodziła, mój Boże. Tylko zgryzota przez ciebie. Idź już do domu, dosyć narozrabiałaś.

Maciek Ogorzałka właśnie wchodził do bramy, kiedy natknął się na wychodzącą Genowefę. Jak zwykle na jej widok omal nie uskoczył w bok, ale opanował się nie bez trudu. Okropne dziecko było dziwnie ponure i przygnębione. Garbiło się wciskając ręce w kieszenie kożuska, i co dwie sekundy żałośnie a bulgotliwie pociągało nosem.

- Cześć i czołem - przywitało go głosem zgaszonym.

- Cześć - burknął Maciek. - Co, byłaś u nas?

- U państwa Lewandowskich - odrzekła Genowefa. - Kazali mi iść, bo tylko zgryzota przeze mnie. Ja nie chciałam narozrabiać

- He-he - powiedział Maciek. - Taaa... ty nigdy nie chcesz

- Nigdy - przyświadczyła żarliwie. Podniosła czarne pełne łez i powiedziała z bólem: - Wypędzili mnie. Wcale mnie nie kochają.

„Trudno cię kochać” - pomyślał Maciek trzeźwo, ale zachował tę myśl dla siebie. Niespodziewanie zrobiło mu się okropnie żal małego szkaradzieństwa. Uczucie to stało się tak silne, że mu po prostu zaparło dech. Nic nie mówiąc, stał przez chwilę bez ruchu i patrzył na żalną małą postać, na usmarkany brzydki pyszczek i na chude nogi, tkwiące w zestawionych czubkami obszernych botkach.

- Co też ty opowiadasz - rzekł wreszcie miękko. - Kto by ciebie nie lubił.

Genowefa aż wpiła się w niego oczami rozjarzonymi nadzieją.

- A ty mnie lubisz? - spytała z trwogą.

- Jeszcze jak! - odparł Maciek. - Nikt na świecie nie robi takiej pysznej kartoflanki, jak ty, Genowefo. Masz złote rączki. Jesteś prawdziwą czarodziejką. Chodźmy. Ugotujesz obiad dla mnie i dla Piotra.

- Dobra!!! - zawrzęsła uszczęśliwiona dziewczynka i już mieli wejść do bramy (Genowefa bowiem od razu złapała Maćka za rękę i usilnie go w tę stronę ciągnęła), kiedy tuż obok nich zawyła przeraźliwie syrena. Spod sąsiedniego domu ruszyła karetka reanimacyjna i na pełnym gazie przeleciała w kierunku skrzyżowania. Wiedziony zrozumiętym odruchem Maciek przystanął i popatrzał, kogo z sąsiadów to nieszczęście spotkało - ale niczego nie rozeznał. Kiedy wreszcie zwrócił wzrok na Genowefę, ujrzał, że dziewczynka wpatruje się rozszerzonymi oczami w pana z teczką, który kroczył chodnikiem w dół Roosevelta. Nie minęła i sekunda, jak Genowefa czmychnęła do bramy - zaraz też pan z teczką minął Macieja dostojnym kaczym krokiem i podążył dalej. Maciek zastanowił się, co też w tym człowieku tak przestraszyło Genowefę - był to bowiem zupełnie nijaki osobnik około czterdziestki, postury krępej, nieduży, pękaty, w kapeluszu i kożuchu. Tysiące takich mijają się co dzień na ulicach i w instytucjach PRL.

Spojrząwszy raz jeszcze w dół ulicy, Maciek wszedł do bramy i ujrzał w jej wnętrzu Genowefę.

- Poszedł? - spytała ledwie dysząc z emocji.

- Poszedł - odparł Maciek. - Ty, a kto to był właściwie?

- Mój tatuś - szepnęła Genowefa.

Maciek milczał przez chwilę, patrząc na nią z uwagą. Zastanawiał się, czy zadać jej pytanie, które zawisło mu na ustach, czy też nie lepiej zmienić temat. Wybrał to drugie rozwiązanie.

- Chodźmy - rzekł, biorąc ją za rękę. - Jestem straszliwie głodny. Musimy ugotować mnóstwo zupy ziemniaczanej „Florida”.

Poszli zgodnie do domu i Maciek do końca nie odważył się zadać pytania, dlaczego Genowefa boi się własnego ojca tak bardzo, że kryje się przed nim po bramach.

Ogryzała żarliwie paznokcie albo postukiwała czubkiem buta w nogę stołową. Albo też wskazującym palcem muskała górną wargę- najpierw powoli, a potem coraz uporczywiej.

Przyglądał się jej spod oka, przygotowując drugie danie z klusek mrożonych; chociaż siedziała beczynn timer przy kuchennym stole, w gruncie rzeczy znajdowała się w ustawicznym ruchu. Ani chwili nie usiadła spokojnie.

- Zupa była pyszności - powiedział Maciek specjalnie głośno, na co Genowefa drgnęła, wyrwana z zamyślenia, i obdarzyła go roztargnionym półuśmiechem.

- Gdzie jest pan Piotruś? - spytała.

- Powinien już tu być - Maciej wrzucił mrożone pyzy do wrzątku. - I co, czy już uwierzyłaś, że tu mieszkam?

- No - odpowiedziała lakonicznie.

- I że pan Piotruś to mój brat?

-No.

- A czemu jesteś taka smutna, hę?

- Ja? - spojrzała na niego z roztargnieniem. - E, nie. - Westchnęła. - Chyba muszę wracać do domu. Ale mi się nie chce.

- Dlaczego? - spytał Maciek, soląc pyzy. Spojrzał na nią znów. Gryzła paznokcie. Duże łzy, płynące szybciotko po czerwonych policzkach spadały na stol.

- Zostań tu sobie, jak długo zechcesz.

- E, chyba nie mogę już późno, co? - odpowiedziała z wahaniem.

- Wpół do piątej - odrzekł Maciej, zerknąwszy na budzik „Cholerny pan Bombkę - pomyślał. - Dałbym ja mu za to co robią z dzieciakiem”. - Poważnie mówię - rzekł, podchodząc stołu. - Możesz tu pobyć do wieczora. Zaraz zjemy pyzy, a potem przyjdzie Kreska.

Zdziwił się, że ostatnia z wiadomości tak zelektryzowała małą Genowefę.

- Kreska!?! - krzyknęła, zrywając się na równe nogi. - przyjdzie! Tutaj!!! -

Zdumiony Maciek przerwał rozkładanie sztućców i płaskich talerzy i spytał, czemu tak się, u licha, Genowefa cieszy.

- Bo ja Kreskę kocham - odpowiedziała rzewnie Genowefa i spojrzała słodkimi oczami. - A ona kocha mnie.

Nie doczekała się jednak Kreski. Minęła godzina piąta, minęła szósta. Piotr przyszedł z pracy i zjadł (chwaląc złote ręczki kucharki) dwa talerze zupy ziemniaczanej „Florida”, Maciek zmył naczynia i zabrał się do lekcji - a Kreska nie przychodziła. Genowefa czekała najpierw spokojnie i wiernie, później coraz bardziej nerwowo, wreszcie posmutniała, zmierzchła i oświadczyła, że musi iść do domu. Ubrała się po cichu, trzasnęła drzwiami - i już jej nie było.

Maciek, zagłębiając się w swoim podręczniku historii, ledwie to zauważył. Kiedy następnym razem podniósł wzrok znad fizyki, było wpół do ósmej. Piotr tkwił za swoim biurkiem i pisał coś w zeszycie. Za oknem było ciemno, padał rzadki deszcz.

„A więc Kreska nie przyszła - pomyślał Maciek. - Szkoda”.

Wrócił do fizyki, ale nauka mu nie szła. Trawił go jakiś niejasny niepokój. Wstał, przeszedł się od okna do ściany, polazł do przedpokoju, uchylił drzwi wejściowych, wyjrzał, posłuchał, zamknął je, wrócił do pokoju, przeszedł się nerwowo parę razy - i nagle dotarło do niego, że zachowuje się jak Genowefa.

„No, co mi tam, głupstwa jakieś” - zirytował się sam na siebie,

Usiadł przy stole, wbił wzrok w zadrukowaną stronicę, spróbował poczytać, ale spojrzenie jakby odwróciło mu się do wnętrza bo patrząc na litery - widział tylko Kreskę. Wreszcie wstał zza stołu, zawołał: „Piotrek, zaraz wracam!”, złapał z granatowy skafander i wyskoczył z domu.

Przebiegł w deszczu krótki odcinek między dwiema kamienicami. Staął, spojrział w górę. W oknie od ulicy paliło się słabe światło. Kreska jest w domu, po prostu

nie chciała przyjść” - pomyślał, wzruszył ramionami i zawrócił na pięcie. Zatrzymał się po przejściu pięciu kroków. Ale dlaczego nie chciała?” - zadał sobie pytanie. Prawdę mówiąc, wcale nie obiecywała, że przyjdzie. Jak się tak głębiej zastanowił, przyznać musiał, że ostatnio w ogóle nie mówiła zbyt wiele. Właściwie, nie odezwała się do niego ani słowem od... od kiedy? Ależ tak. Od wieczoru w Operze.

„Co za głupia historia - pomyślał z zakłopotaniem. - Rzeczywiście, musiała się mocno obrazić”. Co ją, u licha, dotknęło tak mocno?

Deszcz padał coraz obficie, ale Maciek tego nie zauważył. Zakapturzony w swoim skafandrze, stał patrząc na oświetlone okno Kreski i intensywnie myślał. Przebiegł pamięcią cały wieczór w Operze, chwila po chwili, szczególnie po szczególnie. Przypomniał sobie Kreskę w zielonej sukience i przypomniał sobie pytające spojrzenie jej zielonych oczu. Przypomniał sobie wejście Matyldy i scenę w bufecie operowym. I tak sobie to wszystko rozpatrując, doszedł do wniosku, że już wie! „Kreska jest zazdrosna!... - pomyślał i uśmiechnął się zrozumiale, kątem ust. - Oczywiście, do licha! No, jest zazdrosna!” Tak, to to. Ślepy był, że na to wcześniej nie wpadł. Znow się uśmiechnął i bez zastanowienia wkroczył do bramy domu, przed którym stał tak już długo.

Na czwartym piętrze było ciemno i Maciek, po omacku klepiąc ścianę, odnalazł wreszcie przycisk i zapalił słabe światło. Bywał tu nie raz, zanim jeszcze Kreska przybyła do Poznania; profesor Dmuchawiec zapraszał często całą klasę Maćka albo tylko tych uczniów, a najczęściej było tak, że kto chciał – wpadł po prostu do niego, nie zapowiedziany. Drzwi tego mieszkania nie zamykano od wewnątrz. Jeżeli ktoś był w domu, wystarczyło nacisnąć klamkę, żeby wejść, były zawsze otwarte. Profesor twierdził, że nie ma zdrowia na to, by chodzić tym długim korytarzem po pięćdziesiąt razy dziennie tylko w tym celu żeby otwierać drzwi na kolejne dzwonki

Maciek uchwycił gładką mosiężną klamkę, popchnął drzwi skrzypnęły zawiasy - wszedł. Korytarz był mroczny jak przejście podziemne. Tylko u jego końca przez otwarte drzwi pokoju światło wylewało się pomarańczową kałużą na podłogę z desek. Słysząc też było muzykę - cichą i miłą - ale poza tym nic, ani ruchu, ani głosu, ani dźwięku.

Zastukał w futrynę drzwi, wiodących do pokoju. Nic. Pchnął lekko ich uchylone skrzydło - zajrzał ostrożnie, wciąż się obawiając, że profesorowi przeszkodzi - ale w pokoju nie było nikogo. Na niskim czarnym stoliku, na wprost wejścia, paliła się staroświecka lampa z papierowym abażurem. Czerwone róże, wtłoczone bezładnie w wazon, stały obok gubiąc płatki. Równy krąg światła padał na nieporządnie zasłany tap-

czan. Spod czerwonej narzuty wystawał gładki trójkąt bieli, skupiający w sobie światło lampy: róg poduszki obleczonej w płótno.

Muzyka (chyba Mozart) dobiegała z adapteru stojącego pośród książek na półce. Ta część pokoju tonęła w ciepłym półmroku - widać było tylko miarowe migotanie czarnego krążka i był to właściwie jedyny ruch w tym pokoju, jeśli nie liczyć tego delikatnego opadania różanych płatków. Coś było nie w porządku. Maciek poczuł się nieswojo, pomyślał, że chyba sobie pójdzie czy co - i w tym momencie usłyszał, jak ktoś w sąsiednim pomieszczeniu rozgłośnie wydmuchał nos.

Aha!... Zajrzał przez otwarte drzwi. Zobaczył Kreskę siedzącą w swoim kącie, na starej kanapie. Lampa kreślarska na biurku opuszczona była nisko nad białym prostokątem zeszytu - ale i tak widać było wyraźnie, że Kreska płacze. Mała, skurczona w smutny kłębek, siedziała po turecku na kanapce, głowę opierając na rękach, a ręce - na kolanach.

Maciek przez chwilę nie wiedział, co robić - aż tu poprzez Kreskowe pochlipywanie dotarło do niego jakieś „mamusiu”, czy też Maciusiu”, wymamrotane żalosnym, biednym głosikiem, więc nie „wtrzymał wszedł i zapytał:

- Co się stało?

Jak ona wrzasnęła!!!

- Aaa-aaa! - Nigdy w życiu nie przypuszczał, że to nieduże dziewczątko może tak ryknąć. Aż struchlał. Aż go w żołądku zakuło. No, naprawdę, zerwała się na równe nogi, spojrzała na niego i wrzasnęła tak okropnie. Potem on stał i ona też stała, zaciskając pięści. Patrzyła na niego oczami jak dwa, psiakrew, lasery. - Jak śmiesz!!! - krzyknęła, trzęsąc się jak listek.- Czego tu włazisz, bałwanie!!! No, nie.

Nie, doprawdy. Nie takiego powitania się spodziewał. Przez chwilę stał nieruchomo, rozważając doznaną obrazę. Wreszcie rzekł z godnością:

- Coś podobnego. Drzwi były otwarte, jak zwykle. Więc wszedłem. Ale już sobie idę. Przepraszam najmocniej.

Zawrócił na pięcie ze spokojem prawdziwego dżentelmena i wyszedł. Był już przy wyjściu z pokoju, kiedy go dogoniła.

- Maciek! - powiedziała tuż za jego plecami.

Zatrzymał się i godnie zwrócił ku niej.

- Słucham - rzekł, patrząc w ziemię.

Stała na podłodze bez butów. Na nogach miała ciepłe, brązowe pończochy, bardzo pocerowane. Jedna z nich była przetarta i przez okrągłą dziurę wyłaził różowy palec. Widok ten sprawił, że Maciek uśmiechnął się w duchu i podniósł na Kreskę oczy. Ależ była zabezpieczona. Okropność.

- Przepraszam - za idiotę - powiedziała cicho

- To nie był idiota, tylko bałwan - sprostował Maciek z urazą.

- Doprawdy!... - krzyknęła cicho Kreska i nagle zaczęła się śmiać. - To za bałwana - yk! - też przepraszam... - dodała głodni urywanym.

Umilkli oboje, nie wiedząc, co będzie z nimi dalej. Śliczna muzyka z adapteru wypełniła tę chwilę niezręcznej ciszy jak kojący balsam. Słysząc było również, jak Kreskę męczy czkawka. Maciek zerknął na nią i prychnął ze śmiechem.

- Tak, zabawne - przyznała. - Tak się ciebie - yk! - złąka że dostałam czkawki... śmieszne.

Ale się nie śmiała. Patrzała na Maćka zapuchniętymi oczami znów lśniły od łez.

- Kreska, co się stało, no? - spytał on. - Czemu becysz?

- Ja wcale - y k! - nie becę - zaparła się absurdalnie, a słoi, miała jak kisiel. - Tylko - yk! - dziadka zabrało pogotowie Erka. Ja się boję, że on umrze, Maciek - yk! - że on umrze...

- Zaraz, ja widziałem tę erkę - rzekł Maciek zupełnie bez sensu. - Patrz, i się nie domyśliłem. Profesor! O, cholera. - Przejęty wsadził ręce w kieszenie skafandra i mocno zacisnął pięści. - On miał zawsze kłopoty z sercem, raz nawet na lekcji... Co to było teraz Kreska? Znów zawał?

- Nie wiem, nic nie wiem - Kreska na to. - Chciałam jechać, ale powiedzieli, że zawiadomią. I czekam tu cały czas i nic! Tyle czasu i nic! Co to znaczy, Maciek, czy to znaczy, że on - że on już... - tu Kreska nagle schowała twarz w dłoniach i Maciek zobaczył tylko, jak zadygotały te jej ramionka. Jak u wróbla czy coś.

- Boże drogi... Kreska - rzekł karcąco i już był przy niej, obejmując niezgrabnie trzęsące się drobne łopatki. Przez sweter czuł na piersi ciepło i mokre chlupanie. - Słuchaj, nie płacz, no - powiedział surowo, sam bliski płaczu. - On nie może umrzeć, więc nie umrze, jasne? - Kreska, wciąż lejąc łzy w jego sweter, wymamrotała coś bezradnego, więc zakołysał ją w ramionach i autorytatywnie orzekł: - Nie nie! Nic, nic! Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! - Przytulił szlochającą Kreskę mocniej, jakby chciał ją

osłonić przed wszystkim, co się kłębiło za murami tego starego domu - przed całą niedolą świata, przed wszystkimi jego strachami i rozpaczą. Nagły lęk, że profesor umrze jednak teraz i zostawi Kreskę na tym świecie zupełnie samą, bez rodziców i domu - ten strach wstrząsnął Maćkiem po prostu. Przycisnął ją z całych sił, jakoś mu się w głowie zakręciło i szybko dodał: - Co by się nie stało, ja ci pomogę... kochanie. - Tu Kreska raptownie poderwała głowę, ukazując zabeczaną twarz i Maciek od razu - chyba odruchowo - cmoknął ją prosto w mokre oko.

Zachowała się oczywiście jak wariatka. Jakby ją uszczypnął albo ukłął szpilką. Odskoczyła w tył na metr, jednym susem.

- O nie - powiedziała głosem nagle równym i bez śladu czkawki - Nie masz prawa. Nigdy więcej tego nie rób. Nie lubię resztek.

Smętnie jakby mu wypaliła w twarz z króciicy. Maciek na moment przymknął oczy, ogłuszony tym okropnym, brutalnym ostatnim zdaniem. Powinien właściwie czuć się obrażony, powinien właściwie zdrowo jej przyłać czy coś, powinien ją znienawidzić - ale nic podobnego. Stał przygarbiony naprzeciwko małej, wyprostowanej postaci, patrzył na zapłakaną twarz o obrzmiałych ustach i czuł, jak go zalewa, tkliwość - cały ocean czułości.

- Dobranoc - powiedział. - Gdybyś coś... gdyby jakaś wiadomość... to wiesz, gdzie mieszkamy. - Uśmiechnął się do niej (nie było odpowiedzi...) i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Deszcz padał i padał. Sześćioletnia Aurelia Jedwabińska przemierzyła wylany betonem plac pośrodku osiedla i podeszła do swego bloku. Przystanęła przed wejściem, uniosła głowę i spojrzała na ogromny, ponury fronton wieżowca. Na trzecim piętrze, w oknach jej mieszkania, było ciemno. Natomiast u pani Lisieckiej, na parterze, paliło się światło.

Deszcz był zimny. Dziewczynka czuła, jak krople przesiąkają przez jej wełniany berecik. Na całym wielkim placu było pusto, kałuże lśniły jak arkusze metalu w świetle wielkich jarzeniowych lamp, samochody kuliły się na parkingu, a silny wiatr uderzał z łoskotem o bryły wielkich bloków. Było coraz zimniej. Dziewczynka westchnęła, zakasłała, przestąpiła parę razy z nogi na nogę, wreszcie jednak zadrżała z zimna i weszła do bramy.

Długim wąskim korytarzem, którego oba boki poprzerywane były szarymi prostokątami brzydkich drzwi, dotarła do mieszkania Pani Lisieckiej. Tu zawahała się znowu. Cofnęła palec z dzwonka, oparła się plecami o ścianę i poczęła w nią rytmicznie uderzać obcasem. Potem przykucnęła na wycieracze, opierając się plecami o futrynę, i zaczęła nerwowo ogryzać paznokcie.

Minęło z dziesięć minut. Czas włókł się niemiłosiernie. Zza drzwi dobiegało dudnienie telewizora. To był dziennik. Aurelia poznała głos spikera. Gadał cukrowym głosem i gadał. Potem była muzyka - wojskowy marsz - potem znów odezwał się spiker.

Aurelia słuchała jednym uchem tych swojskich odgłosów wieczornych i nudziła się. Po pewnym czasie ścierpła jej noga wstała, westchnęła znów i zadzwoniła wreszcie do drzwi – krotko słabo i anemicznie, jakby jej wcale nie zależało na tym, by ktoś usłyszał.

Utleniona kobieta w szlafroku otworzyła po dłuższej chwili i obrzuciła dziewczynkę obojętnym spojrzeniem.

- A to ty - powiedziała gdzieś w bok. Była chuda, usta miała wąskie i przykre, a oczy jak kura. - Chodź, kolacja czeka. Tatuś pytał o ciebie, poszedł na zebranie. Gdzie byłaś tak długo?

Ociągając się i wlokąc dłoń po ścianie, Aurelia weszła do przedpokoju wyklejonego wzorzystą tapetą.

- Oglądałam telewizję w świetlicy - powiedziała gładko.

- Aha. A Jarka i Marka widziałaś? - spytała pani Lisiecka, prowadząc ją za ramię do pokoju.

- Gdzieś tam... byli... chyba - bąknęła dziewczynka, wykręcając się spod uścisku chudej ręki.

- Nogi wytarłaś? - spostrzegła się pani Lisiecka i sprawdziła stan jej bucików. - Zdejmij buty, bo lakier powalasz. Włóż swoje kapcie.

Przy połyskliwym stole, ustawionym pośrodku błyszczącego, lakierowanego parkietu, na tle sutych firan i tapet w bogate arabeski, zalana jaskrawym światłem bijącym z wieloramiennego, kryształowego żyrandola, Aurelia miała spożyć kolację. Talerz już czekał, lśniąc w blasku kilku żarówek - była na nim polędwica i szynka w plasterkach, pokrajany żółty ser, rzodkiewki i ogórek, wszystko trochę już wyschnięte, bo Aurelii zbyt długo nie było.

Pani Lisiecka przyniosła jeszcze szklanek kakao, chleb, masło i dżem.

- Jedz - powiedziała z niechęcią.

Aurelia nie jadła. Pani Lisiecka spojrzała na nią, jakby chciała ją uderzyć.

- Jedz, mówię ci. Obiadu nie zjadłaś, to chociaż zjedz kolację. Wciąż nic nie jesz. Mamusia się zmartwi. No, co ja powiem mamusi, gdy po ciebie przyjdzie. Że znów nie jadłaś. Mamusia stoi po połudwie, pieniążki wydaje. A ty nie jesz. Jedz.

Aurelia nie patrząc na nią, z oczami wbitymi w stół, wzięła w usta kęs szynki. Chwilę pożuła, następnie żuć przestała i siedziała tępo patrząc w kolorowy ekran telewizora. Po ekranie biegali ludzie z karabinami i strzelali do innych ludzi z karabinami. Przejechały czołgi, zabrzmiała radosna muzyka marszowa a spiker powiedział coś dziarskim głosem. Aurelia czuła, że boli ją brzuch.

- Czemu nie jesz? Jedz- nakazała pani Lisiecka głosem suchym jak drewniana listwa. Dziewczynka spróbowała przełknąć pogryzioną wędlinę, ale nie mogła. Schowała ją więc między dziąsła a policzek i wetknęła sobie w usta następny kawałek. Tego również nie była w stanie przełknąć. U pani Lisieckiej wszystko było suche jak drewno i równie niesmaczne. Nigdy nie mogła tu nic jeść. Może przez ten zapach lakieru do podłóg. Posiedziała chwilę z wypchaną buzią, wreszcie wypluła szynkę w garść. Poczekała, aż pani Lisiecka znów się odwróci - i szybko schowała różową packę do kieszeni.

Okolo dziewiętej wieczorem zgasło światło. Maciek nie odrobił jeszcze lekcji, bo zamiast patrzeć w książkę, gapił się w czarne okno i myślał nie wiadomo o czym. Piotr miał także sporo do napisania w swym zeszycie. Obaj zdenerwowali się równocześnie, kiedy to przekłete światło mrugnęło i zgasło.

- Psiakrew, znów to samo! - burknął Piotr w ciemnościach i po omacku zaczął przewracać w szufladzie, szukając zapalek.

- Myślisz, że to u nas? - spytał Maciek. Wstał zza biurka i z wyciągniętymi rękami poszedł prosto przed siebie, do przedpokoju.

Spotkali się pod licznikiem elektrycznym. Piotr zdjął z niego ogarek świecy, leżący tam zawsze na wypadek kolejnej awarii. Zagrzechotał zapalkami; nikłe, chwiejne światełko zachybotowało w mroku.

- U nas w porządku - mruknął, wkręcając bezpiecznik na miejsce. - Awaria jest na zewnątrz. Pewnie znów pół kamienicy się dogrzewa piecykami elektrycznymi.

Poszli sprawdzić szafkę w bramie. Nie trzeba było nawet zwracać się w tej sprawie do dozorca, ten bowiem otrzymał mieszkanie na Osiedlu Kraju Rad i objawiał się na Roosevelta raz na trzy tygodnie, a już na pewno przed Gwiazdką i Wielkanocą. Kłódka szafki zresztą systematycznie urywał jakiś amator bezpieczników. Przez pewien czas udręczeni lokatorzy kamienicy numer pięć zakładali nowe, coraz wymyślniejsze kłódki, ale w końcu, powodowani znużeniem i przekonaniem o beznadziejności przedsięwzięcia, dali sobie z tym spokój. Bezpieczniki nadal kradziono, zastępując je gorszymi, o mniejszym amperażu, a cały dom okresowo pogrążał się w ciemnościach, jeśli tylko lokatorzy przeciężyli sieć.

W bramie już ktoś stał. Uliczna jarzeniówka podświetlała niebieskawym blaskiem wysoką postać w spodniach i swetrze. Klnąc soczyście, postać ta oglądała wewnątrz szafki przy pomocy latarki elektrycznej. Wykręciwszy ze zgrzytem przepalony element, wzięła latarkę w zęby i przy pomocy cienkiego drutu usiłowała dokonać, jakże niewłaściwym z punktu widzenia pożarnictwa sposobem wskrzeszenia bezpiecznika.

Pan Piotr poznał sąsiadkę z parteru i onieśmielony (głównie z powodu swego niedawnego snu o rzucaniu talerzami) chciał się wycofać - ale już nie wypadało. Gabriela usłyszała kroki w bramie i podniosła głowę wraz z latarką. Snop światła przeleciał po ścianie i posadzce z kamiennych płytek, trafiając prosto w domowe kapcie Piotra.

- Dobry wieczór - odezwał się Maciek. Gabriela skierowała światło latarki na twarz Maćka.

- A, to ty - powiedziała przez zęby, lecz życzliwie. - Dobry wieczór. Dobry wieczór i panu.

Piotr Ogorzałka skłonił się w mroku, bąkając słowa powitania.

- Cholera mnie trzęsie - oświadczyła burzliwie Gabriela. - Ja tego skunksa tu kiedyś przydybię, dam słowo. Oskalpuję drania. Co on robi z tymi korkami, zjada je?

Maciek zasugerował, że sprawcą znikania korków może być ktoś z sąsiednich kamienic, na co Gabriela oświadczyła, że na pewno nie, bo tam też ciągle gaśnie. Natomiast pan Ogorzałka nic nie mówił, bo wypowiedź Gabrieli definitywnie zbiła go z

pantałyku. Zawsze go z pantałyku zbijają duże kobiety o zamaszystym sposobie bycia. A Gabriela Borejko była bardzo, ale to bardzo zamaszysta.

- Skąd brać bezpieczniki, psiakrew?! - spytała retorycznie. – Kraść po sąsiednich ulicach? Żeby to chociaż na czarnym rynku można było dostać. Ale nie.

- Kiedyś to były automatyczne - westchnął nostalgicznie Maciek

- Ano były, ile chceć - westchnęła też Gabrysia. Założyła drucik we właściwym miejscu i wkręciła bezpiecznik. Zabłysło światło. Zapaliła się żarówka pod sklepieniem bramy. Pan Ogorzałka stwierdził, że Gabriela jest przystojna, zwłaszcza gdy nie trzyma w ustach latarki. Uśmiech miała ujmujący, pełen uroku.

- Gaba, wiesz już, że Dmucha wiec miał zawał? - wyrwał się Maciek ni stąd, ni zowąd i pan Ogorzałka miał sposobność zobaczyć nagłą przemianę na tej uśmiechniętej zawsze twarzy. Gabriela wyraźnie się przestraszyła, pobladła, ściągnęła brwi.

- Skąd wiesz? Czy to prawda?... Dlaczego? - pytała nieskładnie.

Maciek wyjaśnił, że był u Kreski i się dowiedział, i że potem dzwonił z Piotrem do szpitala na Lutyckiej. Profesor leży na intensywnej terapii. Odwiedzać go nie wolno. Gabrysia zagryzła wargi.

- Biedak - powiedziała nagle miękkiem głosem. Chwilę milczała, opanowała się i dodała: - Byłam u niego niedawno. Bardzo źle wyglądał. I był, wiesz, w złej formie - ogólnie. Wychodząc pomyślałam po raz pierwszy, że... że on kiedyś umrze. I że ten świat wtedy bardzo się zmieni, na niekorzyść. - Pomilczała chwilę. - Dla nas wszystkich - powiedziała. - Dla jego uczniów, on był... Boże, co ja mówię! - on jest. Jest! Jak opoka. Jest stałą wartością pośród wszystkich tych płynnych i zmiennych kryteriów - zamysliła się i dodała: - Jedną z nielicznych stałych wartości.

Podniosła głowę, popatrzała na braci Ogorzałków niewidzącym krokiem i położyła rękę na ciężkiej kłamce drzwi.

- Pójdę tam zaraz - powiedziała. - Dowiem się, co z nim. Ustawię tych konowalów. Niech wiedzą, kogo leczą. Może trzeba załatwić jakieś leki z darów zagranicznych. W ogóle zrobię, co się da. Do widzenia.

Odeszła. Pan Piotr, zamyślony, patrzył za nią jeszcze przez chwilę. Wreszcie spojrzął na Macieja, który zabezpieczał szafkę prowizoryczną pętlą z drutu, i powiedział:

- Chodźmy do domu, stary.

Dwudziesta druga trzydzieści. Deszcz ciągle padał na ciemne miasto i z cichym szmerem spływał po szybach. Gdzieś blisko przeleciał samolot i Aurelia zdziwiła się, jak on po ciemku trafia w cel? Czy musi przedtem palić reflektory?

Ciągle nie mogła zasnąć. Znów się czegoś bała, choć nie umiałaby powiedzieć - czego. Lęk siedział w jej żołądku, wiedziała to. Bolał ją brzuch, jak zawsze kiedy się bała. Było ciemno, przez zasłonkę na oszklonych drzwiach przenikała tylko wąska smużka światła z sąsiedniego pokoju. Słysząc było, jak mamusia przewracała kartki książki i szeleściła papierami.

Tatuś jeszcze nie wrócił z narady. Były same. Szkoda. Tatuś przynajmniej czasem był wesoły. Aurelia chętnie zawołałaby mamusię, żeby się tak nie bać okropnie. Ale mamusia się na nią gniewała i lepiej było nie zaczynać wszystkiego od nowa. Wydało się z tą szynką. Mamusia przyszła do pani Lisieckiej i dowiedziała się, że Aurelia znowu nic nie jadła. Mamusia ma takie wąskie oczy kiedy się gniewa. Nic nie powiedziała, tylko mocno chwyciła córkę za rękę i pociągnęła za sobą. Przez całą drogę i w windzie nic nie mówiła, dopiero kiedy weszły do domu i zapaliły to okropne światło w kuchni. Mamusia spytała surowo, czy naprawdę tak źle jest u pani Lisieckiej. Czy Aurelia naprawdę musi wciąż grymasić i dokuczać wszystkim wokół? Czy nie widzi, jak wszyscy się dla niej poświęcają – tatuś, mamusia, pani Lisiecka? I jak rodzice pracują, żeby Aurelia miała wszystko, wszystko, czego jej trzeba?

- Jesteś złym dzieckiem! - krzyknęła mamusia na zakończenie, bo Aurelia na te wszystkie pytania nie odpowiedziała ani słowem: z przejęcia i strachu zupełnie odebrało jej głos. - Ja w twoim wieku nigdy nawet nie widziałam szynki! Siadaj w tej chwili i jedz - przygotowała jajecznicę i mleko, postawiła to wszystko na stole w kuchni, w rażącym oczy, białym świetle jarzeniówki, była zła. Wróciła za dziesięć minut i trafiła właśnie na moment kiedy ona, dławiąc się z obrzydzenia, wypluwała przezutą jajecznicę w dłoń i chowała do kieszeni. Mamusia strasznie się zdenerwowała. Chwyciła Aurelię za ramię potrząsała jak lalką. Aurelia nigdy nie widziała tak zezłoszczonej mamusi. To było straszne. Mamusia zajrzała do tej kieszeni i znalazła tam wstrętą papkę z szynki, jajecznicy i chleba razowego. Naprawdę, lepiej już by było, żeby mamusia ją zabiła. Ale ona się tylko się denerwowała i człowiek nigdy nie wiedział, kiedy to się skończy. Zdjęła z Aurelii całe to zapackane ubranie i wstawiła ją do wanny. Lała wodę z prysznicą i nie mówiła ani słowa. Zęby miała zaciśnięte tak, że aż na policz-

kach widać było twarde górki. Dała Aurelii pizamkę i zaprowadziła ją, drżącą, do pokoju. Tam zgasła światło i kazała jej kłaść się do łóżka i spać.

Ale ona spać nie mogła. Już tak długo. Mamusia nie pozwalała brać do łóżka Pieska. Piesek to była kudłata żółta zabawka jeszcze z dawnych czasów, kiedy Aurelia była dzieckiem. To wtedy zaczęła ssać kciuk, ssała go zawsze, kiedy tylko dotykała puszystego Pieska. Nie wiedziała, dlaczego to robi. Musiała ssać ten palec. To jej zawsze pomagało na strach.

Mamusia mówiła, że od tego ssania robi się Aurelii krzywy zgryz. Ale dotąd jakoś się nie zrobił. Poza tym Aurelia nawet nie wiedziała, gdzie go ma, tego zgryza, i wszystko jej było jedno, czy będzie to zgryz krzywy, czy prosty. Piesek jej pomagał. I to tylko było ważne. Musiała Pieska ukrywać przed mamusią, a to nie było łatwe. W domu jest pusto i porządnie, mebli mało, a mamusia sprząta odkurzaczem każdy kąt. Ostatnio Aurelia znalazła dobrą kryjówkę dla Pieska: szafa z ubraniami. Na górnej półce, za letnimi sukienkami, których teraz nikt nie ruszał.

Za wcześniej jeszcze było brać Pieska do łóżka. Mamusia pracowała, może zajrzeć do pokoju. Mamusia dużo pracuje. Szkoda. Inne mamusie nie pracują, są grube i wesołe, i mają połamane paznokcie. Na przykład mamusia Kopiec Ariety. U Kopiec Ariety zawsze jest bałagan sufitem. Dzieciaki wrzeszczą, a mamus kapuśniak z kartoflami.

O, już. Światło w pokoju obok zgasło wreszcie, a zapaliło się w łazience. Woda szumiała, bulgotała w rurach, potem drzwi cicho stuknęły i mamusia w pantoflach podeszła do drzwi. Aurelia stłumiła oddech. Słysząc było, jak mamusia westchnęła, trąciła lekko klamkę szła, wróciła i wreszcie otworzyła powoli drzwi.

Dziecko momentalnie zamknęło oczy. Mamusia nie podeszła bliżej. Stała w progu. Po chwili dało się słyszeć ciche szcęknięcie zamka - drzwi się zamknęły. Skrzypi tapczan w sąsiednim pokoju i zaszeleściła kołdra. Zadzwoiła szklanka. Z grzechotem przesywały się tabletki w mamusiniym flakonie

Aurelia cierpliwie czekała. Wreszcie wszystkie odgłosy ucichły. Wstała, ostrożnie stanęła bosymi nogami na dywanie. Podeszła na palcach do szafy i cicho przysunęła krzesło. Wstrzymując oddech, nasłuchując każdego szmeru z sąsiedniego pokoju, wlaźła na wyplatane siedzenie i otworzyła drzwiczki górnego segmentu. Odsunąwszy stos poskładanej odzieży, wyjęła zza niego Pieska.

Ledwie tylko dotknęła kudłatej, miękkiej tkaniny - już poczuła się lepiej. Starannie zamknęła szafę, zeszła, odstawiła krzesło pod ścianę i tuląc Pieska, po cichu wśliznęła się pod koldrę. Schowała go pod prześcieradło, przykryła poduszką i położyła na niej głowę. Potem wsunęła rękę pod pościel i pogłaskała puszysty, miły łeppek z kosmatymi uszami i gładkim, chłodnym noskiem.

- Kochany Piesku - powiedziała bezgłośnie. - To ja.

Kciuk prawej ręki sam powędrował do buzi.

- No, śpimy. Śpimy sobie. Ty i ja. Deszcz pada, słyszysz?

Brzuch już nie bolał. Dziewczynka przymknęła oczy i zapadła w głęboki sen.

Lelujka czekał pod bramą, oblicze miał szeroko uśmiechnięte a nos niebieski z zimna. Tryskające radością życia jego oczy swojskie i przyjazne.

- Cześć, Jacek.

- Cześć, Janeczko.

- Zimno jak lichy, nie?

- Zauważyłem. Śniadanie zjadłaś?

- O, tak - powiedziała Kreska bez przekonania.

- Aha. To masz tu ciepłą drożdżówkę. Właśnie nabyłem. Sam też nic nie zjadłem przed wyjściem.

Kreska spojrzała na niego, zaśmiała się i pokręciła głową, poczym zaczęła jeść drożdżówkę. Lelujka przyjął to dokładnie tak samo jak wierne psisko przyjęłoby klepanie po grzbiecie: spojrzał Kresce w oczy i zaczął się cieszyć. Ruszył przed siebie, ciężko podskakując i pogryzając ciastko, a Kreska, śmiejąc się, poszła jego śladem.

Było jej wesoło, bo dziadek już czuł się lepiej. Poza tym nie bała się dzisiejszej matematyki, gdyż nieoceniony Lelujka zaprosił ją do siebie na całą sobotę i wbił do głowy wszystko, co znajdować się tam powinno. Nauka z Lelujka okazała się procesem dziecinnie prostym i bardzo wydajnym, ponieważ człowiek nie musiał patrzeć na jego rzęsy ani myśleć o jego ustach, ani obawiać się, że uzna on człowieka za idiotkę i tak dalej. U Lelujki było bardzo fajnie, poza tym dwoje małych Lelujcząt roilo się w mieszkaniu M-5, pani Lelujkowa smażyła chruściki. Lelujczęta pożerały je na gorąco i Kreska wyszła z tego miłego domu ogrzana i podniesiona na duchu.

Teraz największym jej problemem było - jak tu się odwdzięczyć poczciwemu Jackowi za tyle życzliwości.

Do szkoły dotarli w pysznych humorach i nawet fakt że matematyka z panią Jedwabińską była na pierwszej akurat lekcji, nie zdołał im tak od razu zwarzyć nastrojów. Pani Jedwabińską, uczesana w gładki i surowy kok, odziana w beżową sukienkę ze sztruksowym kołnierzykiem (z kołnierzyka wysuwała się o ton ciemniejsza apaszka, zawiązana z niezwykłą precyzją), wkroczyła do klasy, mrożąc jasnym spojrzeniem dokładnie wszystko wokół. Na swoim stoliku ułożyła starannie torebkę, dziennik klasowy i teczkę tekturową formatu A-4, po czym stanęła wyprostowana i zaplotła palce obu dłoni. Wyglądała jakoś - definitywnie.

- Dzień dobry - powiedziała chłodno. - Jak wicie, na tej lekcji powinna być matematyka.

Cisza się zrobiła w całej klasie, nawet Lelujka znieruchomiał.

- Jednakże - ciągnęła nauczycielka - po przemyśleniu wydarzenia które miało miejsce na ostatniej lekcji wychowawczej, postanowiłam... - w klasie wisiała nadal pełna napięcia cisza. Słyszał się, jak hałasuje traktor i cienki dziecięcy głos wykrzykuje piosenkę o wronie. Na korytarzu stuknęły jakieś drzwi i ktoś przeszedł szybko i dźwięcznie po kamiennej posadzce.

Pani Jedwabińską nabrała tchu i oznajmiła:

- Wskutek waszego karygodnego zachowania, z którego nie będę na razie wyciągać konsekwencji, nie napisaliście testu na temat „Co wiem o moich rodzicach”. Tłumaczyłam już wam, dlaczego to jest tak ważny dla moich badań test. Stosunek człowieka do własnych rodziców jest niezwykle istotnym czynnikiem budowy jego osobowości. Wszyscy wielcy psychiatrzy i psychologowie wskazują na ścisły związek rozwoju życia emocjonalnego człowieka ze sprawą jego stosunku do rodziców. I vice versa. Powstała nawet koncepcja, przyjmująca istnienie tak zwanych schizofrenogennych rodzin, gdzie uczuciowo zimna, niepewna w swej roli, despotyczna matka...

- I my mamy o tym pisać? - przerwał ktoś z uczniów głosem pełnym zgrozy. Wychowawczyni niecierpliwie klasnęła w rękę.

- Powtarzam, że wasze wypowiedzi mają być dobrowolne i anonimowe. Janina Krechowicz może pisać bez obawy, że popełnia donos. Sprawę jej rodziców znam od dawna. To samo dotyczy Lelujki.

Cisza.

- Ok-urcze - popłynął w tej ciszy szept Jacka.

- Spodziewam się - przemówiła znów wychowawczyni - że zamiast przeprosin, których wcale nie wymagam, Krechowicz i Lelujka wezmą po prostu udział w naszym teście.

Spojrzała wyczekująco, więc Kreska wstała.

- Nie, nie - powiedziała cicho. - Nie wezmę udziału. Zamiast tego bardzo panią profesor przepraszam.

Wszyscy uczniowie wstrzymali w tym momencie oddech. Wszystkie oczy z napięciem patrzyły to na Kreskę, to na nauczycielkę. Ta ostatnia milczała, przygryzając wargę, a splecione palce rąk zacisnęły się tak mocno, że aż zbieleły. Wstał Lelujka.

- Ja też chciałbym panią profesor przeprosić – powiedział - Bardzo się wygłupiłem. Przepraszam raz jeszcze, zamiast pisać testu.

Pani Jedwabińska w dalszym ciągu nie poruszyła się i nic ni wiedziała. Lelujka postać chwilę, nie doczekał się z jej strony żadnej reakcji, podrapał się w podbródek i usiadł.

- Zmusić was nie mogę - odezwała się wreszcie wychowawczyni tonem opanowanym. - Ale traktuję tę odmowę jako niesubordynację.

- A to niesłusznie! -zawołał Lelujka ze swego miejsca.

- Proszę?!

- Przecież sama pani profesor mówiła, że test jest dobrowolny. Więc mamy prawo odmówić.

- O, tak, macie prawo! - wybuchnęła pani Jedwabińska. - Ale już ja wam to popamiętam! Doskonale wiem, że odmawiacie tylko ze złości! Tylko po to, żeby mi dokuczyć!

- Nie - rzekł Lelujka.

- Nie, naprawdę nie - dorzuciła Kreska.

- A więc co? Co jest powodem waszej odmowy?!

Kreska zastanowiła się.

- To chyba ma związek z poczuciem godności - odpowiedziała.

- Poczucie godności! - szyderczo powtórzyła pani Jedwabińska. - Jakoś nie myślisz o niej, kiedy dostajesz dwóje za lenistwo! A w ogóle, za młoda jesteś na to. W szkole nie ma miejsca na roztkliwianie się nad swoją godnością, w szkole musi być porządek i dyscyplina! W szkole wykonuje się polecenia nauczycieli! Proszę w tej chwili wyjść na korytarz, stanąć w kącie i tam sobie porozmyślać o swoim poczuciu godności! No, już!

Kreska natychmiast bez słowa wyszła z klasy. Wstał Lelujka.

- Ja też bym prosił - powiedział swoim dawnym, błazeńskiff tonem.

- O co?!

- Też bym chciał do kąta. Nagle czuję, że mam godność - Lelujka z szerokim uśmiechem i przewrócił oczami.

- O, proszę cię bardzo - powoli i groźnie powiedziała pani Jedwabińska. - Wyjdz. Wyjdz. - I kiedy za Lelujka zamknęły się drzwi potoczyła okropnym spojrzeniem po klasie. Widać doszukała się czegoś niepożądanego w twarzach uczniów, bo nagle spytała zimno: - Czy ktoś jeszcze nie będzie pisać z powodu tak zwanego poczucia godności?

Przez chwilę nikt się nie ruszył. Ale nagle wstał wysoki chłopak w okularach, przewodniczący samorządu.

- Ja - powiedział, uklonił się i wyszedł z klasy.

I zaraz wstało jednocześnie trzech uczniów spod okna. Jeszcze nie zdążyli wyjść z sali, jak podniosły się dwie dziewczyny. A potem zaczęły wstawać jedni po drugich - po kolei i razem, parami pojedynczo - wstawali i bez słowa wychodzili z klasy. Przez otwarte wciąż drzwi widać było, jak się ustawiali na korytarzu, pod ścianą, obok Kreski i Lelujki.

W ciągu paru minut klasa całkowicie opustoszała. Pani Jedwabińska stała przez chwilę bez ruchu, drżąc na całym ciele. Wydawać by się mogło, że zaraz wybuchnie okropnym płaczem albo zrobi coś zupełnie nieodpowiedzialnego. Ale nic takiego się nie stało. Opanowała się wielkim wysiłkiem woli. Wzięła ze stołu torebkę, dziennik i tekturową teczkę. Wyszła na korytarz.

- Proszę wracać do klasy - powiedziała niegłośnie i z naciskiem. - Wygraliście. Testu nie będzie - a ponieważ nikt z uczniów się nie ruszył, dodała jakimś specjalnym tonem: - Wracajcie, no. No już! Zanim was ktoś zobaczy. To ważne.

Szybkim krokiem poszła w stronę gabinetu lekarskiego. Przez chwilę nikt nie mówił. Zapanowało zdumienie. Potem wszyscy naraz zaczęli wracać do klasy.

- A widzisz? - powiedziała Kreska do Lelujki. - Jej głos brzmiał radośnie. - A widzisz? Ona naprawdę nie jest zła!

Matylda zadzwoniła do Maćka w niedzielę wieczorem. Powiedziała, że jest o niego niespokojna. Tak długo się już nie odzywał! Pojedziała, że stęskniła się za nim, a głos jej zawibrował na nutę tak uwodzicielską, że Maciek poddał się na nowo dawnemu oczarowaniu. Umówił się, że wpadnie po nią zaraz po szkole około trzeciej - i że zabierze ją na obiad do baru szybkiej obsługi.

W poniedziałek od rana Maciek był wesół i ożywiony śpiewał sobie w łazience, ubrał się starannie, połknął bułkę z serkiem i wyleciał z domu jak strzała, wprost na zimną poranną ulicę. Przed domem Kreski zwolnił tempo, w nadziei, że ją spotka po drodze i dowie się czegoś o zdrowiu profesora - ale Kreska się nie pojawiła. Widać poszła do szkoły na ósmą. Zresztą i tak wiedział, że profesor czuje się lepiej.

Pogwizdując wesoło. Maciek ruszył dalej, zapominając dokumentnie o Kresce już jakieś trzy metry za jej domem. Nie myślał o niej i w szkole. Nauczyciele ostro pytali i Maciek też odpowiadał - z chemii. Dostał czwórkę, co go w pełni zadowoliło, bo chemii akurat zupełnie się wczoraj nie uczył.

Dopiero wychodząc po lekcjach dostrzegł przy końcu boiska tuż koło bramy, bury płaszcz Kreski i jej rdzawą czapkę. Kreska szła oczywiście z tym niedźwiedziowatym chłopakiem, z tym samym, co jej wczoraj tak wiernie asystował. Znow opychali się jabłkami. Maciek poczuł lekką irytację, ale jednocześnie przyszło mu na myśli, by spojrzeć na zegar, więc spojrzał (była druga dwadzieścia), a kiedy przeniósł znow wzrok na boisko. Kreski już nie było. No, nic.

Postał trochę w zimnym wietrzysku, ruszył na przystanek tramwajowy. Piętnastka podjechała jak na zawołanie, wskoczył na przednią platformę i przez zbity tłum pasażerów przedostał się do kasownika. Było zbyt tłoczno i ciasno, żeby się przemieszczać w kierunku pomostu, więc został na swoim miejscu, popychany i prasowany przez grubo odziane obce ciała.

Tramwaj jęczał i wył na zakrętach, kolebiąc się na oba boki, ludzie pokładali się na sobie, deptali sobie po nogach i ze zmęczeniem znosili kolejne szarpnięcia. Na następnym przystanku dosiadł się tłumek spod kina „Bałtyk”- czyli osoby, którym nie

udało się złapać bezpośredniego połączenia z Głogowskiej. Ponieważ mało kto wysiadł, ciasnota wzrosła w sposób widoczny i odczuwalny. Maciek wisiał zaczepiony jedną ręką o pręt pod sufitem, drugą przyciskał do siebie torbę z książkami. Na prawej nodze stanęła mu jakaś stara dama. Przeprosiła wznosząc w górę spłowiałe oczka, po czym ulokowała drobne nóżki na jego drugiej stopie. Obok Maćka, przyciśnięty plecami do jego ramienia, tęgi facet cuchnący piwem udowodniał coś żonie. Z tyłu chichotały dwie dziewczynki. Tramwaj zarzucił na Rondzie Kopernika, rozległy się pokrzykiwania. Ale rozmów nie przerwano. Facet rugał żonę za rozrzutność, polegającą na nieustannym nabywaniu tłustego sera podczas gdy chudy jest tańszy i też go można jeść. Dwie dziewczyny z tyłu zwierzały sobie sercowe sekrety w sposób dość sekretny drobiazgowo analizując charakter i zachowanie licznego grona chłopaków. Dojeżdżali do przystanku przy Moście Teatralnym kiedy Maćkowi się wydało, że usłyszał swoje nazwisko. W pierwszej chwili myślał, że się pomylił. Tramwaj zapiszczał przeźliwie na zakręcie szyn i mogło się przecież zdarzyć, że człowiek uległ słuchowym omamom. Ale po chwili jedna z dziewczyn wymieniła imię Maciek - i wtedy o pomyłce raczej nie było już mowy, bowiem w dalszym ciągu padły słowa:

- O, z tym to jestem umówiona na dziś. Idziemy na bardzo elegancki obiad do baru szybkiej obsługi.

Maciek zaczerwienił się raptownie, bo oczywiście poznał głos Matyldy, choć poznać go było trudno; głos ten brzmiał zgoła nie zamszowe i wcale nie melodyjnie. Był piskliwy, trochę ordynarny i - co najgorsze - bardzo, ale to bardzo ironiczny. Druga dziewczyna zachichotała, a głos Matyldy obwieścił:

- Na nic innego go nie stać. Biedota! Gdybyś widziała jego mieszkanie. Zupełne dno. Całować się nie umie, cały skompleksiały, ale ja go tylko chwalebę i zaraz mam efekty. Biedaczek je mi z ręki.

Tramwaj właśnie się zatrzymał na przystanku przy Roosevelta. Tęgi facet od twarogu i jego bliska płaczu żona wysiedli, na dobre skłóceni. Wysiadła i stara dama, uwalniając stopę Maćka, wysiadło w ogóle sporo ludzi, dzięki czemu zrobiło się nieco luźniej. Wtedy Maciek po prostu wykonał obrót i stanął twarzą w twarz z Matyldą. Nic nie powiedział. Tylko na nią spojrzał. Zupełnie wstrząsnął nim fakt, że była taka sama jak zawsze. Tyle że bardziej czerwona. Patrzała na Maćka osłupiałym wzrokiem, usta miała otwarte w pół słowa, a buraczkowy rumieniec zalewał ją coraz mocniej i mocniej. Szczerze mówiąc, wyglądała dość głupawo.

Maciek poprawił pasek torby na ramieniu, odwrócił się i wysiadł z tramwaju. Rozległ się ostry dzwonek, tramwaj odjechał zabierając Matyldę. Maćkowi się wydało, że razem z nią odjeżdżają wszystkie jego naiwne złudzenia, wiara w człowieka, ufność i dziecinne zarozumiałstwo - cały kawałek jego życia, zwany potocznie młodością.

Kreska i Lelujka jechali sobie właśnie o tej porze autobusem 7 na ulicę Lutycką. Olbrzymi kompleks szpitalny, położony na dalekich przedmieściach, otoczony był pętlą linii tramwajowych i autobusowych - niestety, nie najlepiej funkcjonujących. Kreska zmarzła na kość czekając na przystanku i Lelujka pożyczył jej swoje rękawiczki, ponieważ - jak twierdził - on sam nigdy, ale to przenigdy nie marznie w ręce. Kreska odchuchała się jakoś dopiero w nagrzanym wnętrzu autobusu. Ściśnięci w tłoku wieźli kompot i jabłka Lelujki. Profesora, co prawda, nadal nie wolno było odwiedzać, ale Kreska weszła w konfidencie z zażywną osobą rezydującą w portierni szpitala - i zaraz to, co w nieprzepisowe dni było niemożliwe dla zwykłych odwiedzających, przestało stanowić jakikolwiek problem dla Kreski. Mogła przyjść w dowolnej porze dowolnego dnia i za każdym razem została wpuszczona.

- Jak ty tego dokonałaś? - zdumiewał się w autobusie Lelujka, kiedy mu to Kreska oznajmiła. - Łapówkę wcisnęłaś czy co?

- Chyba zwariowałeś, przyjacielu - Kreska na to. - Jestem przeciwniczką łapówek. Ta pani zresztą na pewno ich nie bierze.

- Hy-hy - wyrwało się z Lelujki.

- Co za „hy-hy”?

- Ach, nic, nic, ty tego i tak nie zrozumiesz - ciepło powiedział Lelujka i spojrzał na Kreskę z bliska, po czym nagle spuścił oczy. - No więc, powiedz nareszcie, jak pozyskałaś tę damę.

- Normalnie, no - poprosiłam, żeby mnie wpuściła do mojego dziadka. Obiecałam, że będę niewidzialna dla personelu. I wystarczyło.

- No ładnie, i już od pierwszego dnia wlaźłaś na intensywną terapię.

- Tak wyszło jakoś. Stałam przy drzwiach i przez szybę chciałam zajrzeć do środka, aż tu zobaczyła mnie pielęgniarka, dała mi kapcie i kitel. Widziałam dziadka, z daleka co prawda, ale widziałam. Chwała Bogu, że najgorsze minęło. Chyba minęło, Jacek. Chyba tak.

Autobus utknął w korku na Obornickiej i stał tak jakiś czas piejących kłębach spalin. Lelujka westchnął, pomilczał chwilę powiedział wreszcie:

- Janka? Tylko się nie obraż, dobrze? Ja cię o coś spytam, a ty mi opowiedz. Tak szczerze.

- No?

- powiedziałaś dzisiaj, że Ewcia Sopol nie jest zła.

- Bo nie jest - zareagowała żywo Kreska. - Co więcej, ma dużo racji. Jeżeli chcemy, Jacek, żeby nas traktowano jak ludzi z godnością - to miejmy ją, do licha, to zachowujmy się godnie. Z poczuciem godności moje nieuctwo i twoje wygłupy jakoś się nie godzą.

- Tak, Janeczko, zapewne, ale ja nie o tym chcę mówić. Tylko o tym, że zauważyłem, jak często ostatnio mówisz o ludziach, że nie są źli czy coś. Przecież zło istnieje naprawdę. Źli ludzie też. I ty wiesz o tym, bo nie jesteś ślepa. I tego, tak mi przychodzi do głowy, że ty się zgrywasz. Że to taki styl, że ty wszystkim przebaczasz i taka jesteś dobra. Przecież to niemożliwe, żebyś ty ją lubiła, tę Ewcię Sopol. Przecież dokuczają ci tak, że masz nawet prawo do nienawiści.

- Skąd! - ostro zaproponowała Kreska.

- Ale to przecież jest wredny babus i histeryczka.

W poprzek Obornickiej przejechała wreszcie kolumna wozów milicyjnych i wozów pancernych. Korek zaczął się rozładowywać. Autobus wykonał parę szarpnięć, kiwnął się na boki i ruszył.

- Jacek - powiedziała Kreska poważnie. - Nikt nie ma prawa do nienawiści.

Lelujka nabrał powietrza, ale Kreska jeszcze nie skończyła.

- Dziadek mi otworzył oczy - powiedziała, kołysząc się razem z autobusem. - Nikogo nie wolno nienawidzić i nikim nie wolno pogardzać. Dlatego, Jacek, że nienawiść i pogarda są niszczące - niszczą tego człowieka, którym pogardzam, bo nie zostawiają mu szansy na odmianę. I niszczą też mnie - bo skoro jest we mnie miejsce na nienawiść, to znajdzie się miejsce i na zło. Więc ja z tym, rozumiesz, walczę. Jeżeli wyczujesz jakąś sztuczność, to pewnie dlatego, że sama się jeszcze nie do końca przekonałam. Mi bardzo... no, bardzo do tego wybaczenia zmuszać.

- Faktycznie - rzekł Lelujka. - Zauważyłaś, że do niej zmuszać się wcale nie trzeba? To ciekawe, nie? Czy to by zna właściwie że nienawidzić jest łatwiej niż kochać i wybaczać?

- No, jasne. Zło jest łatwiejsze.

- To co z Soplicą? Czy lubisz ją - czy tylko nie chcesz jej nienawidzić?

Kreska westchnęła.

- No, lubić to ją trudno - wyznała. - Ale nienawidzić też nie można. Dziadek powiedział, że ona jest nieszczęśliwym człowiekiem i ja tak zawsze teraz na nią patrzę. A co? Myślisz, że ona nas nienawidzi? Pogardza nami?

Lelujka zastanowił się głęboko.

- Nie - odrzekł uczciwie. - Tego bym nie powiedział. Nie lubi nas, to wszystko.

Kreska postukała palcem w jego skafander.

- Nawet nie to! Ja już odkryłam, co to jest: ona z nami nie może się porozumieć!

- Nasz przystanek - zauważył Lelujka. Wysiedli.

Zimno było bardzo na tej pustej, płaskiej równinie - wiało przy tym trzy razy silniej niż w mieście. Trzeba było iść spory kawałek po zmarzłej grudzie, nim się doszło pod bramę szpitala.

- Może ona nie chce porozumieć się z nami - rzekł Lelujka wracając do poprzedniego tematu.

- Może i nie chce. Może się jej wydaje, że umniejszyłaby swój autorytet. Ale przede wszystkim chyba nie potrafi. Zawsze mi się wydaje, że ona tkwi w pudełku szklanym. Ona nas widzi i my ją widzimy, ale nie rozumiemy się zupełnie i wszelki kontakt jest niemożliwy. No, sam powiedz, czy to nie jest godne współczucia? Ona jest jak w więzieniu.

Lelujka umilkł na dłuższą chwilę i maszerowali tak bez słowa po asfaltowym podejździe przed główną portiernią szpitala. Tu jeszcze nikt nie stawiał przeszkód, można było wejść na teren szpitala: najpierw szło się przez kilkaset metrów młodego parku, złożonego z oszczędnie porozmieszczanych wiotkich sadzonek, podpartych kijkami - wreszcie dochodziło się do rotundy z betonu. Za nią rozpościerało się gmaszysko szpitala miejskiego, a obok lecznica MSW. Oba budynki połączone były wąskim pasażem. W rotundzie owionęło ich gorące powietrze. Za oszkloną ścianką sie-

działa zacna obywatelka o lśniącym obliczu i gładko zaczesanych włosach - posilała się chlebem z pasztetem

- Dzień dobry - powiedziała Kreska, nachylając się do okienka.

- A! Dzień dobry! To ty, dziecko! - ucieszyła się portierka.

- Smacznego! - dodała Kreska. - Czy wpuści mnie pani jeszcze raz?

- A pewnie, pewnie. Idź i pozdrów dziadka! Tylko żeby cię tam nikt nie widział!

- przycisnęła guzik na stole, zaterkotał brzęczyk wielkich szklanych drzwi. Kreska szybko weszła do wnętrza olbrzymiego hallu.

Lelujka został w kącie przy drzwiach wejściowych. Oparł się plecami o ścianę, rozpiął skafander, rozluźnił szalik. Założył ręce na piersi i oddał się rozmyślaniom. Myślał sobie o tym, że przyjaźń jest piękną rzeczą, ale miłość jeszcze piękniejszą i tylko szkoda, że istnieją na świecie tacy ładni, dorodni chłopcy o gładkich buziach i złotych czuprynach, którzy nawet sami nie wiedzą, co odrzucają bezmyślnymi łapami. Westchnienia unosiły pierś Lelujki raz po raz, a twarz przyoblekła się w wyraz smętnego rozmarzenia, po których to objawach ślepy by poznał, co Lelujkę gryzie. Portierka spoglądała na niego z rosnącym zainteresowaniem, wreszcie przywołała go do okienka.

- A kawaler też z rodziny? - spytała przychylnie.

Lelujka spojrział na nią wilkiem.

- Nie... yh... tego - wystękał. - Ja tylko... tak sobie. Żeby nie była sama.

Portierka spojrzała na niego z całkowitym zrozumieniem.

- To jest dobre dziecko.

- Tak - zgodził się Lelujka z przekonaniem.

- Ja to się znam na ludziach - oświadczyła. Łyknęła herbaty, rozsiadła się wygodniej i rozwinęła następną paczkę kanapek z pasztetówką. - Patrząc i widząc: jak kto starych traktuje, taki jest dla innych. Na tamtą twoją dziewczuszkę spojrzałam i od razu wiedziałam: czyste złoto.

- Tak jest - przytwierdził gorąco Lelujka. Portierka spojrzała na niego z uznaniem.

- A jak. Ona ma oczy uczciwe. Niech kawaler słucha, po oczach to ja wszystko poznam. Inny przyjdzie i tak kręci tymi gałami, tak smyrga, tyle naopowiada, a ja

swoje wiem. Takiego za nic nie wpuszczę. A niech no kawaler patrzy, gdzie teraz znalazł dziewczynę, co by się tak o starego dziadka martwiła. Teraz co innego dziewczuchom w głowie. Tak że od razu poznałam, że dziewczyna jest szczerą złotą. Ale nie ma się co cieszyć. Takim zawsze żyć trudniej.

Spojrzała na niego surowo.

- Tylko jej nie ukrzywdź - przykazała. - I nie obraż. Bo Pan Bóg skarże.

Zbulwersowany jej podejrzeniami Lelujka oświadczył ostro że nie ma takich zamiarów.

- A jakie? - chciała wiedzieć nieproszona opiekunka Kreski i wychyliła się z okienka do połowy.

Lelujka się wściekł, fuknął, odskoczył w swój kąt i zrobił minę oznaczającą, że nie zamierza wywalać wnętrza duszy przed byle uprzejmością. Jakie ma zamiary wobec Kreski, to była już tylko jego sprawa.

„Takie mam zamiary, że nigdy jej nie opuszczę - pomyślał. - Takie mam zamiary, że zawsze będę przy niej, a jak mnie odpędzi - to będę w okolicy, w zasięgu głosu, żeby zawsze mogła zawołać mnie na pomoc”.

Mimowolny i rozrzewniony uśmiech wypłynął na jego krościatą twarz i portierka, która popatrywała na niego przez szybkę, odsunęła znów ramę okienka i zawołała go:

- Kawaler! Niech no kawaler tu przyjdzie!

Kiedy po kwadransie pojawiła się uśmiechnięta Kreska, Lelujka w najlepsze siedział za szybą, gawędził sobie poufale z rozpromienioną portierką i jadł chleb z pasztetówką, zapijając go herbatą ze słoiczka.

Kreska wróciła do domu dopiero przed piątą. Dość długo jechali z tej nieszczęsnej Lutyckiej, potem Lelujka zaciągnął ją na obiad do baru mlecznego, potem jeszcze utknęli na dłużej w antykwariacie, gdzie na zasadzie dziwnego sprzężenia z inflacją pojawiły się nagle znakomite książki, niestety po dużych cenach - no i tak to zeszło. Szarawo już było, kiedy pożegnała Lelujkę pod bramą swego domu.

- Jeszcze jabłuszko - przypomniał sobie Lelujka, wracając w pół drogi, Kreska wyciągnęła rękę, ale jabłuszka już nie uchwyciła. Mała postać wypadła z bramy jak

pocisk i bez słowa, w zajadłym uchwycie przylgnęła do kolan Kreski, Małe łapki z całej siły objęły w pasie, a buzia wcisnęła się mocno w okolice żołądka Kreski.

- Genowefa - powiedziała dziewczyna z zaskoczeniem. Cisza. Tylko uścisk drobnych rączek stał się mocniejszy. - Co ty tu robisz? Co się stało? - schyliła się Kreska, usiłując ujrzeć dziecku w twarz. Ani słowa odpowiedzi.

- Kto to jest? - spytał zdumiony Lelujka. - Janka, co się dzieje?

Kreska spojrzała na niego wymownie i położyła palec na ustach. Sytuacja przeciągała się nieco i zaczynała być niezręczna. Kreska odczepiła wreszcie zimne ręce Genowefy od swej talii, przykucnęła przed nią i zajrzała w oczy. Boże, co za smutek w tej buzi.

- No, co, mała? - pogłaskała dziewczynkę po lodowatym policzku i poprawiła jej berecik. - Ależ zmarzłaś. Powiedz no słóweczko. Masz kłopoty?

- Nie - przemówiła Genowefa ochryple i z trudem. - Ja chcę do ciebie. Do twojego domu. Na obiad.

Kreska popatrzała na nią przez chwilę, nic nie mówiąc. Potem szybko przytuliła małą i wstała.

- Dobra, chodźmy - powiedziała. - Cześć, Jacek. Do jutra.

Idąc z Genowefą po stromych schodach na czwarte piętro, Kreska zdała sobie sprawę, że sytuacja dojrzała do pytań. Chyba pani Borejkowa miała rację - z tym dzieckiem stanowczo coś jest nie w porządku.

Jakie puste było mieszkanie bez dziadka! Za każdym razem, kiedy Kreska teraz wracała do domu, coś ją ścisnęło za gardło od tej Pustki. Pachniało tu nawet smutkiem - choć może sprawiały to zwiędłe róże albo kurz.

Kreska zaraz energicznie wzięła się do dzieła, otworzyła okno, zapaliła wszystkie lampy, nastawiła płytę „Najsławniejsze walce” i wyrzuciła zwiędły bukiet do kubła na śmieci. Ścieranie kurzy zostawiła sobie na później.

W kuchni usadziła Genowefę przy stole, dała jej jedno jabłko Lelujki, obrane i podzielone na części, i oświadczyła, że obiad biorą się natychmiast - ona i Genowefa - do smażenia smacznych i delikatnych racuszków.

Smutna i apatyczna Genowefa nie przejawiała zapału wobec propozycji; siedziała przy stole sztywno, jak mała drewniana kukielka, i osowiale ogryzała paznokcie. Ale Kreska szybko sobie z nią poradziła: zawiązała dziewczynce swój fartuch, wyjęła z lo-

dówki twarożek i jajka i poleciła te produkty ucierać w misce z margaryną, a to dlatego, że z własnego doświadczenia wiedziała że chwile chandry mijają najszybciej, kiedy się wykona jakąś pożyteczną pracę.

Jakoż Genowefa Bombkę rozchmurzyła się niebawem. Z chwili na chwilę stała się weselsza i bardziej rumiana, kiedy tak mieszała w tej misce, dosypywała to mąki, to cukru, próbowała bez końca paluchem, czy dość słodkie, i wreszcie - całkiem sama smażyła racuszki na patelni z oliwą.

Udały się popisowo - były chrupiące i złote, miejscami tylko zwęglone. Kreska posypała je cukrem i zaczęły jeść - obie zarumienione od gorąca, pobielone mąką i zadowolone z siebie. Kreska zjadła dwa małdrzyki. Genowefa pochłonęła ich dziesięć i pół. Potem napiły się herbaty, umyły naczynia i Genowefa podjadła mimochodem z talerza jeszcze trzy placki, co upewniło Kreskę ostatecznie, że dziewczynka jest chyba systematycznie głodzona. To było jedyne racjonalne wytłumaczenie tych jej ciągłych wizyt w obcych domach i upodobania do posiłków.

Toteż, kiedy zasiadły sobie na pluszowej kanapce, w kąciku za czerwoną zasłoną. Kreska spytała dziewczynkę wprost:

- Bardzo byłaś głodna?

Genowefa (samo szczęście rumiane i uśmiechnięte, rozwalone bez troski na zielonym pluszu) przeciągnęła się rozkosznie i odparła, że nie.

- A obiad jakiś jadłaś dzisiaj? - pytała dalej Kreska, pełna niesmaku z powodu swoich metod śledczych.

- Jadłam, ale niedobry. Pani Kura mi dała - odpowiedziała dziewczynka, wlepiając oczy w fotografię na ścianie.

- Kto to jest pani Kura?

Genowefa zerwała się i stanęła na kanapce.

- Kto to jest ta pani? - odpowiedziała pytaniem na pytanie, wskazując zdjęcie.

- Moja mama - odpowiedziała Kreska.

Genowefa w skupieniu wpatrywała się w fotografię.

- Nie mieszkasz z mamą?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo... - zaczęła Kreska, westchnęła, popatrzała na małą. - Ech, mała, mała. Co ty wiesz. Bo nie mogę.

- Dlaczego nie możesz?

- Geniusiu, nieładnie tyle pytać.

- Ty mnie pytałaś - poważnie odpowiedziała Genowefa i Kreska się zachłysnęła, nie wiedząc, jak rozumieć te słowa. Czy Genowefa potrafiłaby dać do zrozumienia w tak określony sposób, że pytania Kreski są jej nie w smak? Czy też raczej pytała o fotografię przypadkowo i przypadkowa była jej konkluzja?

Milczała, przyglądając się dziewczynce. Genowefa usiadła po turecku na kanapie i jakoś nagle zamyśliła się, spoważniała. Cała buzia jakoś jej zmierzchła, a oczy, iskrzące się aż do tej pory humorem, teraz się zamgliły. Kresce zrobiło się nieswojo.

- Co ci jest? - spytała.

- Booli mnie brzuch... - odpowiedziała dziewczynka przeciągle, jak przez sen. Kreska uśmiechnęła się z ulgą. A więc to była przyczyna!...

- Nic dziwnego, że cię boli - zauważyła. - Pożarłaś straszne ilości placków.

- Co? - spytała Genowefa ciągle tym samym rozkojarzonym tonem. - Muszę iść do domu. Ale jeszcze mi się nie chce. Jeszcze tu pobędę.

- Hm - powiedziała Kreska, ukradkiem zerknęła na zegarek zaczęła się zastanawiać, jak by tu się uwolnić od towarzystwa nienasyconej Genowefy.

Była godzina siódma i z wolna sprawa lekcji (zwłaszcza tych ćwiczeń z matmy) stawała się paląca.

- Czy w domu nie martwią się o ciebie? - spytała dyplomatycznie.

- Nie.

- Muszę jeszcze odrobić lekcje.

- Odrób - zgodziła się łaskawie Genowefa. - Ja oglądam książki.

- A co planujemy na potem? - spytała Kreska.

- Potem może pójdę. Bo będzie już późno, nie?

- Na pewno. Na pewno będzie bardzo późno, bo ja mam do zrobienia dużo trudnych lekcji. Może ja cię odprowadzę do domu już teraz?

- Odprowadzisz mnie?! - ucieszyła się Genowefa.

- Tak jest. Okrężną drogą, żeby było dłużej.

- To idziemy! - poderwała się z entuzjazmem Genowefa i sięgnęła po swoje botki. Potem złapała kożuszek i czapkę i w mgnieniu oka, gotowa do wyjścia, stanęła przy drzwiach.

- Ja bardzo lubię, jak mnie ktoś miły odprowadza - wyznała z głębi serca. - Ostatnio Maciek mnie odprowadził. Zaraz, kiedy to było. Aha, przedwczoraj. Jak musiał całować Matyldę.

Kreska aż podniosła głowę i przerwała zapinanie butów.

- Całował ją i całował - dorzuciła Genowefa z pretensją.

- Cicho! - powiedziała Kreska ostro i gwałtownie, a Genowefa umilkła, przestraszona.

- Co? - spytała żałośnie.

- Nie gadaj tyle - burknęła Kreska ze złością, ale zaraz się zreflektowała, bo Genowefa bardzo silnie zareagowała na jej gniewny ton: zachłysnęła się, przytłumiła oddech, stanęła nieruchomo i wpatrzyła się w Kreskę tępy, zamkniętym, obcym wzrokiem. Wyglądała przez chwilę tak, jakby nie mając gdzie się skryć, schowała się w sobie.

- Hej, co się dzieje? - powiedziała Kreska łagodnie i dotknęła głowy dziecka. - Co masz taką minę?

- Nie gniewaj się - odtajała Genowefa.

- Nie gniewam się. Naprawdę. Przecież nie ma o co.

- To dobrze.

- Idziemy?

- Aha.

Kreska zapięła płaszcz, owinęła szyję szalikiem i pogasiła światła. Otworzyła drzwi wejściowe - i stanęła oko w oko ze zdyszany Mackiem.

- Maciuś! Dzień dobry! Dzień dobry! -pospieszyła Genowefa wylewnym powitaniem. z Maciek, jak zwykle po niespodziewanym ujrzeniu Genowefy, najpierw musiał ochłonąć i przyjść do siebie.

- No tego... to ty, mała - rzekł wreszcie. - Cześć. - Z konsternacją przyjął takt, że Genowefa objęła go ściśle za nogę i nie wypuszczała jej odtąd z objęć ani na moment. -

Cześć, Kreska - rzekł parząc niepewnie. - Przyszedłem zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz.

Kreska powoli pokręciła głową, odwracając wzrok. Nie mogła na niego patrzeć.

- A byłeś w szpitalu? Lepiej już z nim?

Kreska skinęła głową. Maciek chrząknął i ściągnął brwi.

- Wychodzicie?

- Tak! - odpowiedziała Genowefa z zapalem. - Kreska mnie odprowadzi okrężną drogą!

- Może ja bym też się przeszedł? - zastanowił się Maciek.

- Tak! - wybuchnęła entuzjazmem Genowefa. - Tak! Maciuś! Chodź z nami, Maciusiu! To będzie pysznie!

Kreska milczała, lecz Maciek uznał to za dowód przyzwolenia.

- No to już - rzekł dziarsko. - Genowefo, puść moją nogę, a w zamian daj mi dłoń. Te schody są strome jak Matterhorn.

Na ulicy Kreska uporczywie milczała. Natomiast Genowefa gadała za troje. Opowiadała o jakichś koleżankach z podwórza, o Aurelii, o Arieście, potem przerzuciła się na relację o pszczołce Mai, następnie pokrótce streściła, co jada się u państwa Bo-rejków w dni powszednie, a co u państwa Lewandowskich w niedzielę, poinformowała Maćka, że jeśli chodzi o jej tatusia, to jada on obiadki w pracy, bo taki jest zajęty, że go prawie nie ma w domu. Szczęśliwa wylewna i rozgadana, nie zauważała przy tym, że zarówno Maciek, jak Kreska zupełnie jej nie słuchają i nie mówią nic, poza może krótkimi bąknięciami w rodzaju „no, no” lub „uhm”. Każde z nich bowiem zajęte było swoimi myślami.

Kreska postanowiła właśnie powrócić do poprzednich postanowień (które zła-mała, będąc w afekcie, owego piątkowego wieczoru) i nie odzywać się do Maćka, o ile to będzie możliwe. Myślała też, że dobrze, cudownie tak się idzie z Maćkiem ramię w ram jest w tym wspólnym marszu jakaś wspólna radość. Jedyna radość jaką los jej przydzielił. Wszystkie inne radości bowiem na rzecz Matyldy.

Co do Maćka, też było mu bardzo miło iść tak z Kreska w nogę w zwolnionym tempie, w chłodnym, wilgotnym powietrzu. Kiedy zerkał w bok, widział zamyślony, delikatny profil Kreski zupełnie jakoś niepodobnej dzisiaj do dawnego dziarskiego kumpla. Profil Kreski wynurzał się z mroku to oblewany niebieski blaskiem latarni

jarzeniowych, to znów żółtymi światłami samo chodowych reflektorów. Kreska szła z rękami w kieszeniach, patrząc w chodnik, utknąwszy podbródek w gruby węzeł szalika, i Maciek zauważył, że jej długie rzęsy podginają się na końcach jak płatki tych drobnych kwiatków... jakże one się zwały? Wszystko jedno Nagle mu się spodobało to jej ciche zamyślenie i przestał się trapić myślą, że Kreska znów jest o coś obrażona. Mógłby tak dalej iść i iść, ale oto ulica Mickiewicza utknęła w poprzecznej Jeżyckiej i znaleźli się na nowym osiedlu upstrzonym żółtymi albo sinymi okienkami w wysokich dwunastopiętrowych blokach.

Genowefa, nieco bardziej milcząca teraz, doprowadziła ich pod swój wieżowiec na Norwida i stanąwszy przed nim jak wmurowana, zagapiła się w okna.

- Mama już jest - powiedziała niespokojnie. - Wcześniej dziś wróciła.

- No, to bywaj, dobranoc - rzuciła Kreska. - Czy może odprowadzić cię aż do drzwi?

- Nie - powiedziała Genowefa, z chwili na chwilę coraz bardziej nieswoja. Nagle spojrzała dzikim wzrokiem, usta wykrzywiła w podkówkę i dramatycznie przypadła do Kreski, obejmując ją w pasie ramionami. - Kocham cię - powiedziała szybciotko i niewyraźnie, z nosem wciśniętym w płaszcz dziewczyny. Potem odskoczyła i biegiem rzuciła się do swojego bloku. Wpadła w drzwi, mignęła za wielką szybą i znikła.

- Dziwaczny dzieciak - powiedział Maciek.

Kreska, wstrząśnięta, stała bez ruchu i patrzyła ciągle za Genowefą.

- Ja tam chyba pójdę - oświadczyła zapominając, że miała przecież nie odzywać się do Maćka.

- Co? Gdzie?

- Pójdę zaraz do jej domu. Coś tu faktycznie nie Jest w porządku - wbiegła po schodach.

Maciej za nią. Odnalazł ją przed listą lokatorów stała i ze zmarszczonym nosem czytała nazwisko po nazwisku.

- Jak ona się nazywa twoim zdaniem? - spytała, kiedy stanął

- Bombkę - odparł Maciej, poszukawszy przez chwilę w pamięci - Pompkę. Nie, Bombkę, na pewno. Na całej liście nie ma ani Bombków, ani Pompków.

- Ale to przecież nie jest kompletna lista! Patrz, jakie te kartki poobrywane. A zresztą, może to wcale nie jest jej blok. Może się pomyliła?

- Już raz ją odprowadzałam do tego właśnie. Zresztą, patrzyła dziś w swoje okno. Zauważyłaś, w które?

- Nie. Nie zauważyłam.

- No to jej raczej nie znajdziemy.

- Tak.

- To co, wracamy? Odprowadzę cię.

- Tak, muszę wracać. Nie odrobiłam lekcji.

- Kreska, mam świetny pomysł. Pójdę z tobą i pomogę ci w matmie.

- O, nie!!! Nie chcę, żebyś do mnie przychodził.

- Hm, no cóż. Możemy pójść do mnie. Pamiętasz, jak nam się fajnie uczyło przy kuchennym stole?

- Nie.

|- Co „nie”, Kreska?

- Nie pamiętam.

Maciek spojrział na nią ze zdziwieniem. Ale nic nie powiedział. W milczeniu poszli przez osiedle, w milczeniu przebyli skrzyżowanie i ruszyli pod górę ulicą Mickiewicza. Szpital Raszei, pokratkowany żółtymi światłami, przesunął się po lewej jak olbrzymi, ciemny Parostatek. Potem była cicha i mroczna uliczka, którą minęli, by kręcić w równie cichą i mroczną ulicę Krasińskiego. Jej wylot znajdował się dokładnie obok domu Kreski.

- Janka - przemówił nagle Maciek.

Kreska aż przystanęła ze zdziwienia.

- Janka? - powtórzyła pytająco. - Już nie Kreska?

- Tak - przyznał Maciek. - Od piątku już nie jesteś dla dawną Kreską. Ujrzałem cię w zupełnie innym świetle. - głęboki ton w jego głosie sprawił, że Kresce zatrzepotało serce. Ale milczała. Słysząc było tylko odgłos ich kroków na kamiennych płytach. Ciemność wokół była wilgotna i aksamitna, światła lśniły w nich czysto i miękko.

- Chciałbym, żebyś była moją dziewczyną - wypowiedział Maciek w formie luźnej propozycji.

Kreska odzyskała oddech mniej więcej po pięciu sekundach.

- Wydaje mi się, że już masz swoją dziewczynę, Maćku - stwierdziła spokojnie.

- Z Matyldą koniec! - zakrzyknął Maciej. - Okazało się, że jest nikczemna!

Kreska westchnęła.

- I od razu ujrzałeś mnie w innym świetle.

- Janka, ty chyba źle to rozumiesz. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Ma.

- Nie ma!... Zwyczajnie, podobasz mi się. Lubię cię.

Kreska zatrzymała się przed swoją bramą.

- Ja też cię lubię - szepnęła miękko. - I szanuję cię, Maciek. I dlatego postaram się zaraz zapomnieć o twoim nietakcie.

- Nietakcie!... Słuchaj, no co ty... co ty mówisz?! Ja ci przecież tylko proponuję...

- ...Falsyfikat - wpadła mu Kreska w słowo.

- Falsyfikat?! Co-co ty wygadujesz, u diabła! Ty mnie po prostu obrażasz!

- Ty też mnie obraziłeś! - powiedziała Kreska cicho i szybko. Maciek był strasznie rozgoryczony i kipiał ze złości.

- Baby! - wybuchnął. - Okropność! Jedna gorsza od drugiej! Ty masz okropny charakter. Kreska, ty masz okropnie trudny charakter! Idź do klasztoru! Albo czekaj sobie na królewicza z bajki!

- Tak. Poczekał sobie - powiedziała Kreska, z trudem hamując łzy.

- Nazwała mnie falsyfikatem? - unosił się Maciek, trzęsąc ramionami jakby wzywał sprawiedliwości od wymagowanych świadków zajścia.

- Nie ciebie, tylko sytuację.

- Co za różnica?!

- Szkoda, że nie widzisz. Tej różnicy.

- pewnie, że nie widzę! Nic nie widzę! - huknął Maciej, przysuwając twarz do twarzy Kreski i z wściekłością usiłując zajrzeć w oczy, co było niemożliwe z powodu gęstego mroku. Świeciła tylko latarnia uliczna. W kamienicy Kreski, a także w sąsiednie, Maćkowej, znowu wysiadła elektryczność. - Widzę, że mnie nienawidzisz, oto co widzę! Jesteś niedobra jak ten... jak kawał lodu!

Kreska umilkła raptownie i spuściła głowę, a Maciek zipał chwilę w ciemnościach, wysapując złość. Nagle dotarło do niego jakieś urywane westchnienie, jakieś siąknięcie ciche. Przyjrzał się z bliska. Płakała. Chyba po prostu w ogóle nie mógł znieść jej płaczu. Toteż gwałtownie i dla samego siebie niespodziewanie objął biedną bekse ramionami i przytulił policzek do jej czoła.

- Cicho - powiedział burkliwie. - Ciągle tylko becysz i becysz.

Kreska stała bez ruchu i bez słowa - i chyba nawet nie oddychała.

- Histerie jakieś - dodał Maciek głosem nieco łagodniejszym. - Coś ty zupełnie nie masz odporności życiowej.

Żeby ją nieco pokrzepić, pocałował ją w czoło. Potem w policzek. A potem w usta. Były ciepłe, miłe i słone od łez. Serce mu stopniało do reszty.

- No, już nie rycz - powiedział surowo. Kreska ożyła nagle.

- Puść - szepnęła. Wyszwoodziła się z jego objęć i otarła oczy wierzchem dłoni.
- Ma-Maciek... - wytarła i nos. - Ja się już do ciebie więcej nie odezwę. Nie chcę cię znać - powiedziała tragicznym szeptem. - To jest jedyne honorowe wyjście. Koniec z nami Maciek. Nie ma dla nas najmniejszej szansy.

- Ale... Janka! Co ty... przestań się wygłupiać!

- Ja się wcale nie wygłupiam - wyrzekła Kreska cicho i wyrznie. - Ja tylko nie chcę takiego, Maciek, tombaku.

Odwróciła się nagle i wpadła do swojej bramy, jakby ją kto go Ale Maciek ani myślał ją gonić. Stał w miejscu, serce mu biło, a w głowie kołatało się jedno zasadnicze pytanie: co to znowu jest tombak, do cholery?!

- Co to jest tombak, do cholery? - spytał Maciej brata. Piotr Ogorzałka siedział przy biurku i z zapalem gryzmołił w swoim zeszycie.

Światła nadal nie było, więc pisał przy świeczce.

- Hę? - ocknął się podrywając głowę. - Tombak? No - udawane złoto. Imitacja. Nie przeszkadzaj.

- Imitacja! - powtórzył z pasją Maciej i kopnął krzesło.

- Cicho bądź, dobra?

- Wariatka, psiakrew, wariatka! Zawsze czułem, że to wariatka - indyczył się Maciek, chodząc od ściany do ściany. W pokoju było obco, mrok zalegał nisko kąty, jak czarny dym; płomyk świecy chybotął na biurku i w lustrze wiszącym naprzeciwko. Piotr podniósł głowę raz jeszcze - ukazując demonicznie podświetlone oczodoły i dziurki w nosie głębokie jak kratery.

- Kto wariatka? Matylda? - spytał.

- Kreska! - odpalił z wściekłością Maciej.

- Kreska?

- Tak, ona!

- Jakoś dawno - rzekł Piotr - nie słyszałem o Kresce, hm. hm.

Maciek spojrzał na niego morderczym wzrokiem.

- A co słyhać u Matyldy? - zainteresowało Piotra.

- Może byś się przymknął - zaproponował Maciek, łyskając oczami jak Kmicic. - Bo, psiakrew, eksploduję.

- To nie gadaj do mnie. Ja sobie piszę spokojnie, a ty gadasz.

- Do siebie gadam, do siebie!

- Zły objaw.

- W ogóle jest źle - rzucił Maciek, kontynuując spacer po pokoju. Był zgarbiony, ręce wbijał w kieszenie portek i patrzył spode łba. - W ogóle jest źle - przystanął. - A co, jeśli ona naprawdę nie chce mnie znać?

- Kto? Matylda?

- Piotrek!!! Ja ci radzę, skończ z tą Matyldą.

- Ja? Ty byś z nią lepiej skończył.

- Skończyłem - warknął Maciej. - A teraz się odczep, hę?

Piotr odłożył pióro.

- Skończyłeś z Matyldą, a wściekasz się na Kreskę? - spytał z ciekawością, wodząc oczami za młodszym bratem.

- Bo Kreska ze mną skończyła.

- A! - rzekł Piotr.

- Nie chce takiego, powiada, tombaku - pozalił się niespodziewanie Maciek. Piotr skrył uśmiech za dłonią.

- Ma rację, że nie chce tombaku. Ona w ogóle jest mądra dziewczyna. Ty się jej słuchaj. Maciuś.

- Dziewczyny się będę słuchał, też!...

- Czasem można, a wręcz należy - lakonicznie oznajmił Piotr i ponownie wziął się za swoją pisaninę.

Maciek nadal zachowywał się jak lew w klatce. Chodził z kąta w kąt i porykiwał.

- Mądra, mądra! - wykrzyknął impetycznie. - Wcale nie jest mądra! Głupia jest, głupia! I ja jej nie znoszę.

Piotr nawet już nie podniósł głowy; westchnął tylko z rozbawieniem.

- Nie cierpię jej! - wrzasnął Maciek, kopiąc niewinne krzeselko po raz drugi. - Ma okropny charakter!

- Lepszy okropny niż żaden - wyraził się filozoficznie Piotr i przewrócił kartkę zeszytu.

Maciek już go nie słuchał, bo wyraźnie w nim wezbrało. Stał teraz pośrodku pokoju, fukał, prychał, tupał i machał rękami, wykrzykując gorączkowo:

- W życiu! W życiu nie słyszałem od niej dobrego słowa! Za nic człowieka nigdy nie pochwali! Albo ruga jak hydraulik, albo milczy, cholera jasna psiakrew.

- Strzeż się kobiet, które cię chwala - wtrącił Piotr. - Kobiety, Maciuś, myślą, że nie ma na mężczyznę lepszemu sposobu niż pochlebstwa. Co gorsza, wydaje mi się, że mają rację. Dlatego na twoim miejscu ceniłbym sobie słowa zdrowej krytyki, bo te przynajmniej dowodzą szczerości.

- Ależ ja nie szczerości od niej chcę! - wybuchnął Maciek.

- Nie? A czego?

- Czułości - zdecydował się Maciek po krótkim namyśle - Tak. Czułości i romantyzmu.

- Moim zdaniem. Kreska zawsze miała dla ciebie dużo czułości. Widziałem, jak na ciebie patrzy.

- Tak? - ucieszył się Maciek. - Ale teraz to i tak się skończyło. Nie chce mnie znać. Przez tę przekłętą Matyldę!

Mocne walenie w drzwi udaremniło Piotrowi dalsze nauki „sam sobie jesteś winien”. Piotr polecił:

- Otwórz.

- Kto tam? - spytał Maciek u drzwi wejściowych.

- To ja - powiedział wesoły głos. - Gabriela.

Weszła z latarką i kurtką na ramionach, podrzucając na dłoni bezpiecznik.

- Przepraszam, że was straszę pukaniem - powiedziała - ale oczywiście dzwonek nie działa, jak wszystko. Poszłam naprawiać korki i po ciemku zgubiłam resztkę drutu. Macie może drut, chłopaki?

Piotr porwał się zza biurka, po czym usiadł znowu, przypomniawszy sobie, że drut ma w szufladzie.

- Pani pozwoli, ja to zrobię - rzekł szarmancko, odbierając Gabrysi bezpiecznik.
- Wstyd nam, że to pani... tymi rączkami... - spieszył się lekko, spojrzawszy na Gabrysi sine rączki, które były równie mocne, jak jego własne. - To jest... tego... po prostu, pisało mi się tak dobrze, że nie chciałem sobie przerywać, wołałem zapalić świeczkę...

Gabrysia spojrzała na niego żywo.

- A co pan pisze? - spytała, siadając przy biurku naprzeciw Piotra.

- Piotr pisze kronikę.

- Historię - sprostował starszy Ogorzałka. - Zrozumiałem któregoś dnia, że to, co przeżywamy dziś, już jutro stanie się częścią historii. Pamięć jest zawodna. Po latach ten mój zeszyt będzie bezcenny. Wszystko tu mam. Każdy dzień. Każdą zbrodnię. Każde kłamstwo.

- Myślisz, że tylko z tego tworzy się historia? - obruszyła się Gabrysia niepostrzeżenie przechodząc na „ty”. - Tylko ze zbrodni kłamstw’

- Na ogół - potwierdził ze smutkiem Piotr.

- Ejże, a bohaterstwo? A idee? A...

- Tak, tak, idee, te wszystkie piękne idee, które nieodmiennie nikczemnieją...

- No, co za brednia!... - usiłowała dojść do głosu Gabriela, ale Piotr się uparł.

- Żadna brednia. Popatrz tylko na ten świat. Popatrz na tę degradację, popatrz na ten upadek kultury i obyczaju. Popatrz na upadek wszelkich autorytetów...

- Jezus Maria, ludzie, trzymajcie mnie, co on gada?!...

- Oczywiście - galopował Piotr, zapalając się w miarę mówienia coraz bardziej.

- Jeżeli stosowanie się do wskazań autorytetów: rządów, ideologii, sztuki, nauki prowadzi do demoralizacji, upadku, rozkładu społeczeństw - to znaczy, że odrzucono pewne wartości podstawowe, a przede wszystkim prawdę!

- Kto odrzucił?! Kto odrzucił?! - impetycznie poderwała się Gabriela i oparła się oburącz o biurko. - Ja nic nie odrzucałam, kolego, ty mów za siebie... ty...

- Światem rządzi kłamstwo, nienawiść i chciwość - skondensował się Piotr.

- Coś takiego odkrywa się na ogół w wieku pokwitania! - wrzasnęła Gabriela, lecz Piotr nie zwracał na nią uwagi.

- I chciwość - powtórzył dobitnie. - Nadszedł czas na jakiś nowy prąd. Ale on się nie pojawi.

- On się już pojawił! - Gabriela huknęła pięścią w blat biurka.

- A skąd. Ten świat jest już jałowy i bezpłodny jak suche drzewo...

- Będzie taki - powiedziała ostro Gabriela, mrużąc oczy. - Będzie taki, jeśli wszyscy zaczniemy myśleć tak jak ty. Sam ty Jesteś, bratku, jałowy jak suche drzewo. A do tego ślepy jak bezpłodny kret. Co ty się bierzesz do opisywania świata - ty, który nie widzisz kolosalnego słonia przed samym twoim nosem?!...

- Słonia?! - osłupiał Piotr.

- To metafora była, metafora, ty krecie. Chcę powiedzieć, że na naszych oczach, stary, świat się odradza i zmienia. Powstaje nowa moralność, nowe idee, nowa cywilizacja miłości...

- Co? Cha, cha, cha! - zaśmiał się gorzko Piotr. - Cywilizacja miłości! Popatrz na ten świat, popatrz na ten świat, ile trupów dzisiaj padło na całym globie!...

- Ale co to ma do rzeczy...

- Co? Co?! To nie ma nic do rzeczy? Ach, no tak. To my nie mamy o czym gadać w takiej sytuacji...

- Celowo mnie nie chcesz zrozumieć! - krzyknęła Gabriela - Cywilizacja miłości powstaje mimo całego zła, to chciałam powiedzieć i...

- Boże, jak ja nie lubię idealistów! - krzyknął Piotr, łapiąc się za czoło. - A zwłaszcza idealistek! Naiwni i szkodliwi...

- Szkod-li-wi?! - wyskandowała z furią Gabrysia i powstała z miejsca. -To właśnie idealisci zmieniają świat, kolego. Oni a nie takie zapyziałe i ponure świrusy, jak...

- No, no! Tylko nie zapyziałe! Tylko nie zapyziałe!

Gabrysia zgrzytnęła zębami, hamując się przed powiedzeniem czegoś jeszcze gorszego.

- Dawaj ten drut - mruknęła niechętnie. - Dziękuję. Gadać z tobą szkoda, stary, a korki sama naprawię.

Wyszła z hukiem, a Piotr i Maciej jakiś czas nie patrzeli na siebie.

- Wiesz co, Piotruła? - przemówił wreszcie Maciej. - Lubię, jak mi udzielasz rad co do kobiet. Zwłaszcza trafne było to, co powiedziałeś na temat zdrowej krytyki. Jak to szło?... Krytyka dowodzi szczerości... nie?

- Uspokój się. Macieju, bo cię zdzielię - wyrzekł z trudem starszy brat, opanowując wybuch wściekłości. - Pani Gabriela jest oczywistą feministką i jako taka nie może występować w moich rozważaniach o kobietach. Płeć żeńską. Macieju, można podzielić z grubsza na: baby, babsztyle, babusy, babki, kobietki, kobieciątka oraz chłopczyce. Najmniej w tym gronie jest kobiet, Macieju, Kobiet - bo Kobieta - to brzmi dumnie. Otóż Gabriela Borejko...

- Jest mądrą dziewczyną, Piotrusiu - przerwał mu obłudnie Maciek. - Nawiasem mówiąc, dziewczyn jeszcze nie włączyłeś do swej klasyfikacji. Ona jest mądra dziewczyna, więc się jej słuchaj. Czasami można, a nawet należy.

- Czy mi się zdaje, smarkaczu, czy mnie przedrzeźniasz?!

- Ja tylko powtarzam twoje mądre słowa, braciszku. Miałeś wiele racji. Nawiasem mówiąc, Gabrysia też ma wiele racji.

- Taa? Tak. Byłby już czas, żebyś wylazł ze swojej skorupy. Bo inaczej naprawdę będzie z ciebie niezły świrus.

Znienacka rozbłysła lampa na biurku.

- Widzisz? - powiedział Maciek zdradziecko. - I korki naprawiła

- Nie dziwię się, że mąż od niej uciekł- oświadczył Piotr i demonstracyjnie zgasił światło.

Wietrzyk Przeganiał po wilgotnych ulicach aromat świeżej ziemi - i kazał myśleć o ogródkach, kwiatach, sadzonkach, siewach inspektowych i nawozach sztucznych. Podobna myśl, lub zbliżona - nawiedzała dziś myśli każdego z przechodniów. Ale me Ewę Jedwabińską;

Ubrana w beżowy płaszcz wiosenny, uczesana w perfekcyjny kok umalowana z japońską precyzją, wyszła z domu punktualnie o siódmej, ziewając Aurelię pozostawiając u Lisieckich. Aurelia miała co prawda, sporo czasu przed sobą, bo jej zajęcia w zerówce zaczynała o dziewiątej - ale chciała jak najszybciej zostać sama. Potrzebowała tej półgodziny, żeby się zastanowić ze wszystkie siły.

Wolnym krokiem poszła w górę ulicy Mickiewicza - bardzo zamyślona i bynajmniej nie pogodna. Wiosenne podmuchy w najmniejszym stopniu nie miały na nią wpływu. Miała przed sobą zbyt trudny problem.

Wracała oto do szkoły po trzech tygodniach nieobecności. Ponieważ Aurelia nabawiła się zapalenia płuc, Ewa dostała trzy tygodnie na opiekę nad dzieckiem i mogła przez ten czas nie myśleć o klasie Ib. Dni wypełnione pracą naukową i doglądaniem Aurelii mijały szybko i Ewa chętnie odsunęła sprawy szkolne na najdalszy plan pamięci. Podświadomie sądziła, że czas wszystko zatrze.

Jednakże dziś rano, ledwie tylko otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że nie udało się jej uciec od problemu. Problem istniał nadal, świeży i aktualny, i z pewnością klasa Ib poczuje to samo, widząc swą wychowawczynię po raz pierwszy od tamtego buntu. A zatem trzeba coś postanowić. Dlatego właśnie Ewa szła teraz w zamyśleniu przez poranną ulicę i czuła się jak przed skokiem do zimnej wody.

Nic nie wymyśliła. Nic nie postanowiła. Będzie zmuszona zdać się na wyjście improwizowane. A, niestety, wszelkie improwizacje były czymś, czego Ewa Jedwabińską organicznie nie znosiła. Aż jej się serce tłukło, aż w skroniach czuła bolesne pulsowanie.

Doszła pod sam budynek szkolny, ale stwierdziwszy, że ma jeszcze sporo czasu do rozpoczęcia pracy, zawróciła, okrążyła gmach i powędrowała ku Zwierzynieckiej. Przez całą ulicę szły długie snopy słonecznego blasku. Powietrze wiało odcień żółtawy, przynajmniej na tej ulicy, biegnącej ze wschodu na zachód. Ciepłe, miękkie, morelowe światło zabarwiało domy, sylwetki spieszących się ludzi i nieliczne samochody - idąca wprost na wschód, musiała mrużyć oczy, żeby w ogóle cokolwiek dojrzeć. Toteż tylko dlatego zapewne uległa przez chwilę złudzeniu, że widzi Aurelię. Musiało to być jakieś inne dziecko - na pewno - bo przecież Aurelia była teraz z całą pewnością u pani

Lisieckiej skąd przed dziewiątą musiała być odprowadzona do zerówki. Całkowicie niemożliwe, żeby znajdowała się sama o taki kawał od domu, i to o tej wczesnej porze. Ta dziewczynka, widziana pod światło, różniła się od Aurelii przede wszystkim sylwetką i postawą; przemknęła przez chodnik jak burza, radośnie podskakując ta wariacku wymachując rękami. Tak to było różne od zachowania Aurelii - wiecznie skulonej, apatycznej, patrzącej ponuro spode łba - że nie zwróciłoby wcale uwagi Ewy, gdyby nie chude nóżki, kożuszek i, zwłaszcza, ten czerwony mohairowy berecik.

„Głupstwo. To nie ona” - pomyślała, oglądając się raz jeszcze. Wzruszyła ramionami. Mało to dzieci ma chude nóżki i czerwone bereciki? I tak zresztą dziewczynka już znikła. Chyba po prostu gdzieś tu właśnie mieszkała.

Za dwadzieścia ósma. Ewa westchnęła, zawróciła w miejscu i tą samą co przedtem drogą poszła szybko w kierunku szkoły. Była mocno, bardzo mocno zdenerwowana.

A to zdenerwowanie jeszcze wzrosło, kiedy tylko weszła do swojej Ib. Nie dość bowiem, że odczuła ich niemiłe zdziwienie - jakby wcale nie spodziewali się jej powrotu, a już zwłaszcza nie dzisiaj! - nie dość, że w jednej chwili uświadomiła sobie, że w ciągu tych trzech tygodni sprawa testu bynajmniej nie przyschła - to jeszcze, na domiar złego, wszyscy byli ubrani na niebiesko!

Tak, wszyscy, co do jednego - przyglądała się im uważnie, w milczeniu stojąc przed frontem klasy. Skonstatowała przy okazji, że - niezależnie od tego jednakowego stroju - są dziwnie zżyci i zwarci. „To już zupełnie inna klasa” - przemknęło jej przez myśl. Powiodła wzrokiem po twarzach swych uczniów i po ich strojach: niebieskie sukienki, niebieskie koszule, niebieskie swetry. Krechowicz ma niebieską bluzkę z wiązadłami, a starosta klasy - prostu niebieską dżinsową kurtkę.

- O co chodzi? - spytała zamiast przywitania. - Co to znowu za komedie? Dlaczego wszyscy jesteście ubrani na niebiesko?

Przebrzydły Lelujka wstał i wyjaśnił pozornie od rzeczy:

- Bo wczoraj była niedziela.

- A co to ma wspólnego z kolorem niebieskim?

- W sobotę ubraliśmy się na czarno - wyjaśnił okularnik, który jest starostą do tej pory dość inercyjnym, a obecnie najwyraźniej zaczynał poważniej traktować swoją funkcję. Szkoda, że nie tak jak by sobie Ewa życzyła. - Pieróg... to jest pan dyrektor, dała wszystkim naganę, a my jesteśmy temu przeciwni. Uważamy, że mamy prawo

ubierać się tak, jak chcemy. Nikt tu nie wymagał, żebyśmy się ubierali w jakiś określony sposób, panowała zupełna dowolność. W regulaminie ani w Kodeksie ulcznia też nie ma mowy o tym, że nie wolno się ubierać na czarno i na niebiesko. Dziś dyrektor ma z nami historię, i to jest nasz protest. W czwartek będziemy ubrani na fioletowo.

- Dlaczego akurat w czwartek? - zimno spytała Ewa.

- Bo będzie lekcja wychowawcza z dyrektorem. Powiedział nam to. Przeprowadzi z nami rozmowę. A my wtedy będziemy na fioletowo.

- Zabraniam wam! - rzuciła ostro Ewa. - Niech się nikt nie waży!

Czy jej się zdawało, czy też oni rzeczywiście ośmielali się spodziewać po niej czegoś innego? Jeszcze nie skończyła, a już czuła, że po klasie przebiega fala niechęci. Nikt nic nie powiedział, nikt się nawet nie skrzywił, a jednak zbiorowa niechęć uderzyła w Ewę jak chluśnięcie lodowatej wody. Było to szalenie deprymujące. I w dodatku zaraźliwe.

Ewa patrzyła na swoich uczniów i czuła, że ich nie znosi, nie cierpi, że sam ich widok doprowadza ją do mdłości; te wszystkie twarze zbyt blade albo zbyt rumiane, chude, puciołowate, pryszczate albo gładkie, z tępyimi oczami i inteligentne - ach, wszyscy oni byli nie do zniesienia! Miała zimną, ciężką pewność, że nigdy nie polubi nikogo z nich, że nigdy z nikim nie nawiąże kontaktu, że zawsze będzie ich wrogiem - bo oni są jej wrogami. Żadnej nadziei. No, dobrze. Usiadła za swoim stołem, otworzyła dziennik.

- Zaczynamy - powiedziała znużonym głosem; w istocie, była - zmęczona, że z trudem poruszała wargami. - Macie chyba duże zaległości w matematyce. Zrobimy teraz krótki sprawdzian.

- Powinna pani zdać sobie sprawę, że to niedopuszczalne koleżanko - powiedział Pieróg dobrotliwie.

Ewa starała się nie spojrzeć w jego twarz pod łysym czołem. Było to o tyle łatwe, że dyrektor ujął Ewę za łokieć i prowadził z powrotem po pustym korytarzu pierwszego piętra. Trwała czwarta lekcja. Kroki rozlegały się dźwięcznym echem wśród ścian. Martwo lśniła kamienna posadzka, zza mijanych drzwi dbiegały głosy nauczycieli. Na korytarzu nie było żywej duszy mimo to Pieróg mówił głosem ścisłym, jakby podawał Ewie tajne informacje wagi państwowej.

- Zdaję sobie sprawę, panie dyrektorze - odpowiedziała.

- I co to w ogóle za pomysły! Wszyscy na czarno! Wszyscy na niebiesko! Pani wie, że oni nawet nie wykazali skruchy?

- Nie... wykazali?

- Nie wykazali. Ja im nagane, a oni - na niebiesko - dyrektor sapał z irytacją. - Pani wie, nieprawda, co to oznacza?

- Ja... no, tak. Chyba wiem.

- Pani się domyśla, czego my się tu możemy doczekać?

- Tak.

- Pani rozumie, że konieczne jest przeciwdziałanie?

- Rozumiem, panie dyrektorze. Jednakże...

- Czy tu może być jakieś „jednakże”? - spytał majestatycznie Pieróg, patrząc na Ewę tak, jakby znajdował się na piedestale. - Tu nie ma, koleżanko, żadnego jednakże. Pani, koleżanko, jest młodziutka, he-he, pani życia nie zna. Pani chyba zależy na posadzie.

- Mm - tak...

- No, więc, złociutka. Zabrać się za nich. I żeby mi tam żadne te i tak dalej, rozumie się.

- Panie dyrektorze... - odważyła się. - Czy pan dyrektor miałby może jakiś pomysł?

- Pomysł?

- Pomysł na to, jak mam się za nich zabrać. Bo ja właśnie nie mam żadnego.

- Ekhm. No, to się zdarza. Pomysł... się znajdzie. Niech pani pomyśli, przeanalizuje problem. Pani jest jeszcze niedoświadczonym pedagogiem...

- O, przepraszam!

- Pierwszy rok pani u nas pracuje, to mam na myśli, nieprawdaż - dyrektor urwał i uderzył się w czoło. - Ach! To mi przypomina koleżanko, jest taka sprawa. Nasz były kolega Dmuchać, prawda, leży w szpitalu. Jest czwarty tydzień po zawale. Wszyscy musieliśmy... to jest, ekhm, obowiązkiem naszym, w humanitarnym od-
ruchem, zwłaszcza po tym, w jakich okolicznościach nas musiał opuścić, słowem,

prawda, odwiedzamy go koleżanko. Proszę pobrać w sekretariacie ‘dwieście złotych na kwiatki, prawda, i niech pani idzie. Tak, dziś, bo ostatnio jakoś... kolega fizyk miał iść w piątek, ale dostał zapalenia uszu, biolog poszła rodzić, słowem... troszkę było przerwy w tym odwiedzaniu. A to nie wypada, nie wypada. Tak, że rozumiemy się, pani pójdzie jeszcze dziś. Najlepsze są goździki, osobiście przepadam. Tanie i efektywne, a przy tym bezkonfliktowe. Do widzenia, koleżanko, nieprawda.

Popołudnie było chmurne, ale ciepłe. Zapach wiosny wciąż jeszcze trwał w powietrzu, komponując się w specyficzną całość z żółtym gryzącym dymem, który walił z kominów, z wonią spalin oraz z zapachem wielkomiejskiego kurzu i mokrego asfaltu. A Maciek Ogorzałka dodatkowo czuł jeszcze niebiański zapach frezji, których sporą a kosztowną wiązkę niósł właśnie w prawej ręce. W lewej natomiast piastował pakiet, zawierający wodę toaletową „Zielone Jabłuszko”.

Maciek podążał na imieniny Matyldy, która zaprosiła go telefonicznie, dodając, że po swoim ostatnim wygłupie nie może spać ze zmartwienia i że koniecznie musi z Maćkiem pogadać i jakoś się wytłumaczyć. Początkowo nie zamierzał pójść, bo też nie obiecywał jej wcale, że się zjawi. Nie lubił jej nadal, w miarę jednak, jak zbliżał się dzień imienin, postanowienie Maćka słabło. Pochlebiali mu, że Matylda tak się naprasza o tę wizytę, był też ciekaw, jak ona się wytłumaczy ze swego haniebnego postępu. Ponadto, od trzech tygodni znajdował się w bardzo szczególnym stanie ducha i nie Umiał zrozumieć, o co to właściwie chodzi. Nie mógł się uczyć, nie interesowało go czytanie, nie miał również apetytu, często wzdychał i bezmyślnie gapił się w okno, wszystko leciało mu z rąk i wszystko mu było jedno. Pod koniec trzeciego tygodnia Maciek snuł się z kąta w kąt jak chory tygrys, pojawił wreszcie, co mu dolega - po prostu tęsknił za Kreską. Tak jest, tęsknił jak wariat.

Kiedy to sobie uprzytomnił, dotarła do niego cała śmieszność sytuacji: tęskni oto za człowiekiem, mieszkającym o dwadzieścia metrów dalej, w sąsiednim domu, za człowiekiem, którego w każdej chwili mógł spotkać na ulicy (ale ciekawa rzecz swoją drogą ani razu nie spotkał) i do którego w normalnych warunkach mógł wpadać, kiedy zechciał. Teraz jednakże warunki się zmieniły: Kreska go odepchnęła nie chciała znać, nie wiadomo o co wariatce chodzi, a on na pewno się nie upokorzy się do tego stopnia, żeby za nią latać i narażać się na kolejne afronty. Nie lubił tej zbzikowanej Kreski. Kiedy o niej myślał, aż go trzęsło ze złości. A jednak za nią tęsknił. Pewnie dlatego, że zadziałał tu ten znany mechanizm przekory - tłumaczył sobie rozsądnie. Jak

człowiek zgubi parasol, to dopiero zaczyna go potrzebować. Jednakże nawet przyrównywanie Kreski do parasola nie przynosiło Maćkowi ulgi. A ponieważ przez nią cierpiał, miał do niej żal.

Tym samym, w sposób zrozumiały, szansę Matyldy nieco wzrosły. Jeszcze w sobotę Maciek nie był zdecydowany, czy pójść na te jej imieniny. W niedzielę skłaniał się zaledwie ku temu.

Tego ranka jednakże, idąc do szkoły i mijając dom Kreski, Maciek spojrział w otwarte jej okno. Suszyła się w nim na wieszaku ufarbowana na fioletowo bluzeczka, kołysała się na wietrze i powiewała rękawami. Maciek, nie wiadomo czemu, poczuł takie szarpnięcie w piersi i taki gniew zarazem, że już na rogu Dąbrowskiego podjął ostateczną decyzję: pójdzie na imieniny Matyldy. Na złość tej małej beksie.

Po obiedzie ubrał się pięknie, wyszedł do miasta i kupił za wysoce nierozsądną sumę, myśląc przy tym: „A co mi tam. Matylda głupia i paskudna, ale przynajmniej nie udaje księżniczki. Zaszedł do perfumerii i ustawił się nawet w kolejce po „Zielone Jabłuszko”, zasięgnąwszy na jego temat szczegółowych informacji stojącej przed nim fertycznej brunetki z zadartym noskiem. Miła pogawędka, skróciła mu nieco czas oczekiwania i omal nie umówił się z brunetką, która sugerowała coś w tym rodzaju i zachęcająco strzelała piwnymi oczami, ale Matylda zaprosiła go na szóstą.

Szedł teraz przez Most Teatralny i był w zupełnie niezłym nastroju, po raz pierwszy od trzech tygodni. Maszerował sobie i pogwizdywał pod nosem i myślał, że świat jest pełen pięknych i miłych dziewczyn, które strzelają oczami i tylko czekają na Macieja Ogorzałki, inicjatywę. Byłby naprawdę idiotą, gdyby się nadal przejmował fumami jakiejś bladej, płaksiwej historyczki.

Za dwadzieścia szóstą znalazł się w okolicy bezlistnego, wilgotnego Parku Moniuszki. I wtedy właśnie ją zobaczył. Kreskę. Roześmiana, śliczna, zarumieniona, w rozpiętym płaszczu i z gołą głową. Kreska pędziła przez parkową alejkę i Maćkowi serce zatrzepotało, krew mu uderzyła do głowy, stracił oddech z radości - już chciał krzyknąć „Hej!”, kiedy zobaczył, że Kreska nie do niego tak biegnie i że bynajmniej nie jest sama w tym parku.

Niedźwiedziowaty chłopak kłusował ciężko za nią, rycząc głośno z radości, wymachując łapskami i goniąc - tak jest, goniąc Kreskę wokół starego dębu. Ona zaś wydawała się zachwycona tym rodzajem prostackich zalotów, z kwikiem biegała wokół drzewa, zanosząc się śmiechem i wykrzykując coś urywanym głosem. Wreszcie sko-

czyła w bok, rzuciła się naprzód, chłopak pocałował za nią i wkrótce oboje znikli za narożnym budynkiem.

Maciek zamrugął, potrząsnął głową i ruszył przed siebie. Dopiero po chwili dotarło do niego, że wciąż jeszcze ściska frezje w wyciągniętej przed siebie ręce - i że nie-szczęśne rośliny mają całkowicie zmiażdżone łodyżki.

Kreska zatrzymała się na rogu Libelta, naprzeciwko restauracji „Łowieckiej.” Ciężko dysząc, oparła się o słupek ogrodzenia i wydała język.

-Hyhy Hyży - powiedziała.

- No, jak? - zaśmiał się Lelujka, patrząc na nią z zadowoleniem. - Lepiej z tym nastrojem?

- O... o wiele - wysapała Kreska.

- Ja to zawsze powtarzam: więcej ruchu! - rzekł Lelujka. - Chandry stąd się właśnie biorą, że człowiekowi brak tlenu i witamin

- Nie wszystkie - zipnęła Kreska.

- Większość na pewno. Popatrz na siebie. Przed kwadransiem chciałaś umierać. Byłaś, bez urazy, po prostu sina. A teraz. Obraz zdrowia i siły. Ja cię co dzień tak przegonię. Pamiętaj jestem twoim szczerym przyjacielem, więc jak będziesz chciała doprowadzić się do anemii, to ja ci nie pozwolę. Ja o ciebie zadbam.

Kreska popatrzyła na niego przez chwilę.

- Jacek - odezwała się wciąż jeszcze z zadyszka.

- Hę? - spytał Lelujka i poprawił jej płaszcz na ramionach

- Musisz wiedzieć, że ja też jestem twoją szczerą przyjaciółką

Lelujka milczał chwilę.

- Wiem o tym, Janeczko - rzekł.

- Tyle już dla mnie, Jacek, zrobiłeś. A ja dla ciebie nic. To nie w porządku - powiedziała Kreska. - Więc postanowiłam... w dowód przyjaźni... - wsadziła rękę do olbrzymiej kieszeni swojego płaszcza i wydobyla paczuszkę owiniętą szeleszczącym papierem w różyczki i przewiązaną ślicznie na kokardkę. - Proszę. To dla ciebie. Prezent.

- Co to... co to jest? - wydukał zaskoczony Lelujka. - Co tam jest, w środku? -
wydukał zaskoczony Lelujka. - Co

- Otwórz może, to się dowiesz - zaśmiała się Kreska.

- Aż się boję.

- No, nie bomba przecież. Otwórz.

Lelujka ostrożnie rozwiązał kokardkę i zajrzał pod papier.

- Ok-urcze! - powiedział, rozczulony.

Wyjął z paczuski piękną, ciepłą, wełnianą czapkę w granatowo—biało-czerwone paski, z granatowym, imponującym pomponem. Dotknął jej trochę nieśmiało, po czym zdarł z głowy burą pończochę i przystroił się dziełem Kreski.

- Naprawdę, zrobiłaś to specjalnie dla mnie? - chciał wiedzieć.

- Specjalnie.

- Szydełkiem? Szydełkiem?

- Na drutach.

Lelujka nie mógł się uspokoić.

- Tak po prostu, pomyślałaś sobie: zrobię Jackowi czapkę?

- NO.

- Opowiem to mamie - rzekł Lelujka, rozplywając się ze szczęścia i poprawił czapkę, uśmiechnął się szeroko i rzekł: - Dziękuję. Co za fajny prezent! Co za fajny prezent!

Ewa Jedwabińska zaszła jeszcze po pracy do supersamu i ustawiła się w kolejce po wędliny. Dla dobra Aurelii tu właśnie zarejestrowała swoje kartki na mięso; tu bowiem, mimo koszmarnych kolejek, można było czasem zdobyć szynkę lub polędwicę.

Stała bardzo długo w zaduchu i ścisku. Ale nie stanie ją męczyło, tylko myśli. Była wyczerpana do ostatnich granic tym pierwszym dniem w pracy i teraz na samą myśl o dyrektorze, Lelujce czy Janinie Krechowicz czuła lodowaty dreszcz odrazy, biegnący wzdłuż kręgosłupa. O czekającej ją wizycie u Dmuchawca po prostu myśleć nie mogła. Odczekała swoje, kupiła kurczaka i trzydzieści deka szynki, po czym z ulgą pospieszyła do domu.

Tramwaj numer 9 dojechał wolno do przystanku pod wiaduktem. Ewa wysiadła - i pierwszą osobą, jaką ujrzała, był promienny Lelujka w ohydnej czapce z kolosalnym pomponem, noszącej wyraźne znamiona indywidualności twórczej panny Krechowicz. Rozpływając się w uśmiechach, Lelujka szedł u jej właśnie boku, gadał jak najęty i ani myślał zauważyć swoją wychowawczynię. Podobnie Krechowicz. Całe szczęście zresztą. Ewa miała ich serdecznie dosyć. Odczekała, aż sobie pójda, przeszła energicznie przez Roosevelta i pomaszerowała wzdłuż zabudowań szpitala Raszei, w kierunku swojego osiedla.

Z daleka wyglądało ono dość pośepnie. Z bliska obraz ten poprawiał się nieco - bo jakkolwiek asfalt, którym wylano wszystkie ścieżki i boiska, lśnił czarno i ponuro od wilgoci, to jednak tu i ówdzie w oknach błyskały już światełka. Jakże miło byłoby ujrzeć światło w swoim oknie! Ewa westchnęła i skręciła w Norwida, stukając o asfalt obcasami botków. Niestety, Eugeniusz ostatnio po prostu ucieka z domu, bierze prace zlecone i nocne dyżury; Aurelia zaś jest u pani Lisieckiej i będzie musiała tam pozostać jeszcze przez jakiś czas, przez ten przeklęty szpital i Dmuchawca.

Jakie to szczęście, swoją drogą, że się trafiła ta pani Lisiecka. W tym samym bloku w dodatku, co za wygoda dla Aurelii. Gdyby nie to, dziecko musiałoby się objąć po jakichś świetlicach aż do teraz.

Prawda, że pani Lisiecka żądała sporego wynagrodzenia za pomoc - ale trudno. Dziś wszystko kosztuje, a Ewa nie miała zwyczaju żałować czegokolwiek swemu dziecku. Dziecko nigdy nie powinno odczuć, że jest zawadą w życiu zawodowym rodziców. Oto dlaczego Ewa płaciła bez zmrżenia oka duże sumy tylko po to, by oszczędzić Aurelii stresu, by uchronić ją przed długotrwałym przebywaniem w świetlicy. Kupiła jej po prostu domowe warunki u spokojnej i solidnej rodziny. Tylko że oczywiście Aurelia tego nie docenia.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem do pani Lisieckiej, która zdawała się nieco zaskoczona jej widokiem.

- Dzień dobry pani, już pani wróciła?

Ewa nie wdawała się w zbędne wyjaśnienia.

- No, jakże tam Aurelia dzisiaj? Nie było kłopotów?

- Ona zawsze jest grzeczna - odrzekła przymilnym głosem pani Lisiecka. - Istny aniołek. Cichutka, spokojna.

- A jak z apetytem?

- Kiepsko - westchnęła sąsiadka. - Znów prawie nic nie zjadła.

- No cóż - powiedziała Ewa, starając się ukryć, jak bardzo ją boli fakt, iż jej dziecko robi uparcie wszystko, by się upodobnić do typowego, podręcznikowego nerwicowca. - Aurelio! Chodź tu na chwilę!

Cisza. Pani Lisiecka uśmiechnęła się niepewnie.

- Kiedy... ona jeszcze nie wróciła, proszę pani magister. Zaraz po obiedzie poszła sobie pobiegać, na podwórko.

- Ale już jest ciemno!

- Poszła z moimi chłopcami na huśtawki, a teraz pewnie siedzą gdzieś na telewizji.

- Na telewizji?

- Na pewno. Na pewno. Jarek i Marek zawsze się nią opiekują, z oka nie spuszczaają.

- No cóż - zawahała się Ewa. - Wobec tego nie pójde jej poszukać

- A pewnie! Pewnie! Po co! Zawsze chodzą do tej świetlicy w blokuj...

- Do świetlicy!...

- Tak, tam jest też kolorowy telewizor, bilard i różne gry. Na pewno zaraz wróca.

- Ja muszę jeszcze wyjść - powiedziała Ewa sucho. - Na kolacje jednak niech Aurelia wróci do domu. Dostałam szynkę.

- pewnie długo pani stała?

- Długo. Ale to dla dziecka.

- Dla dziecka! - przytaknęła żarliwie sąsiadka.

- No, to dobranoc pani i dziękuję.

- Nie ma za co - powiedziała przymilnie pani Lisiecka. - Nie ma za co.

Przez krótką, pełną irytacji chwilę Ewa gotowa była przyznać jej rację. Ta świetlica!... Zmilczała jednak. Zawróciła na pięcie i poszła do windy.

Mieszkanie przywitało ją zapachem róż i czystości. Ewa zapaliła światło i jak zwykle odczuła głębokie estetyczne zadowolenie na widok czystych, czarnych i białych linii i płaszczyzn tego wnętrza. Mieszkanie było jej prawdziwym hobby i dowiodła

wszystkim swego smaku, urządzając je wyłącznie w tych dwóch kolorach - w czarnym i białym. W tym graficznym wnętrzu jedyną płaszczyznę koloru stanowiły książki w obramowaniu pnącej zieleni. Wszystkie inne przedmioty i drobiazgi utrzymane były z żelazną konsekwencją w gamie czarno-białej. Nawet róże, które kupiła wczoraj, były białe (w czarnym wazonie).

Kuchnia nie zawierała żadnych innych kolorów poza bielą. Kiedy się zapalało jarzeniówki, ta biel po prostu wybuchała w ich blasku. Ewa - poruszając się z przyjemnością po tym lśniącym, laboratoryjnym wnętrzu - zrobiła sobie mocnej kawy, potem się umyła i przebrała w łazience wyłożonej czarnymi kafelkami, wreszcie zaczęła się zbierać do wyjścia. Po drodze zajrzała jeszcze do pokoiku Aurelii, żeby zamknąć uchylone okno.

Prześliczny pokoik. Tapety w czarno-białą kratę, białe mebelki, białe łóżeczko i biała pościel w czarne groszki. Trzeba Aurelii przydać, że utrzymuje idealny ład. Ewa nagle zmarszczyła brwi, bo ujrzała wystający spod poduszki brudny ogon tego kudłatego psa, z którym Aurelia nie chce się rozstać od lat. Oczywiście, błędem byłoby wyrzucać go siłą zrobiłaby z tego tragedię; dzieci często miewają takich swoich zabawkowych powierników... natomiast uzasadnione jest chowanie czegoś takiego od czasu do czasu. W ten sposób dziecko łatwiej się odzwyczai. Swoją drogą, rzecz szczególna, jakiego nosa ma Aurelia. Gdzie by tego paskudztwa nie schować, zawsze je znajdzie.

Owinęła zabawkę w stary sweter męża i wrzuciła go do w jego pokoju (czarne skórzane meble, biały dywan, stopy na okna białe w ogromne czarne ptaki). Potem z westchnieniem, ubrała się i wyszła z pękiem goździków w ręce.

Maciek przybył jako pierwszy gość. Wręczył Matyldzie bukiet i prezent, wysłuchał jej zachwytów zasiadł w fotelu i wypił sok pomarańczowy, po czym z wolna dotarło do niego, że jest nie tylko pierwszym gościem, lecz - prawdopodobnie-jedynym.

Jakoż w rzeczy samej, mijały minuty, a nikt inny nie przybywał. Mieszkanie Matyldy, piękne, wytworne i luksusowe do niemożliwości, onieśmieliło Maćka nieco, zaś fakt, że w całym domu prócz niego i Matyldy znajduje się tylko jej piękna, wytworna i luksusowa matka, sparaliżował mu zupełnie dowcip. Matka Matyldy przywitała go na progu, uściśniła aksamitnie rękę, oceniła go jednym rzutem podczernionego oka, zapachniała „Soir de Paris”, wręczyła Matyldzie talerz z czekoladowymi różkami i udała się do swoich apartamentów.

Co do Matyldy, nie przestawała gdać od jakiegoś kwadransa, wciąż na ten sam temat. Tłumaczyła się mianowicie, dość zresztą niezręcznie, z tamtego paskudnego postępu. Maciek był początkowo ciekaw, jak też Matylda się z tego wyłga. Potem jednak, usłyszawszy pierwsze słowa, w których zwała większość winy na koleżankę, wyłączył starym zwyczajem fonię, natomiast nie wyłączył wizji. Zamiast przyglądać się Matyldzie, obrócił spojrzenie do wewnątrz i oddał się retrospekcji. Raz, drugi i trzeci. Pamięć, jak telerecording, powtarzała mu natrętnie wciąż ten sam obraz: Kreska piszczy i goni się po parku z krostaczym młodziankiem. A im częściej to widział oczami duszy tym bardziej furia targała jego sercem. A kiedy pomyślał, Kreska na pewno kpi teraz z niego, z jego wyznań, z jego cmoknięć i niezgrabnych propozycji!... uch, darłby pasy, ciął, mordował, siekał w kosteczkę!

Matylda usiadła tuż przy nim na kanapie i podała mu talerzyk tortem marcepanowym. Maciek spojrział na nią jak morderca, wziął talerzyk, zgrzytnął zębami i pochłonął cały kawałek tortu za jednym zamachem. Następnie zdjął rękę Matyldy ze swego ramienia, z taką miną, jakby zdejmował dżdżownicę, umieścił ją na oparciu kanapy, wstał, warknął:

- Przepraszam! - i wyszedł. Postanowił bowiem natychmiast, ale to natychmiast pójść do Kreski i zrobić jej piekielną awanturę.

Bo jakże to, jakże?! Obraża się, że on, Maciek, cmoknął ją wtedy, tak? Mój Boże. Ale nie obraża jej cholernego poczucia godności baraszkowanie po parku z tym tępym prostakiem!

„Powiem jej - myślał, ubierając się w pędzie, ignorując gorączkowe pytania Matyldy i zatraskując za sobą drzwi willi. - Powiem jej, że to, co widziałem, obraża mnie! Powiem jej, że to, co widziałem, obraża każdego! Że zachowuje się niestosownie, niegodnie i niewłaściwie. Oto, co jej powiem!”

Ewa ledwie dowlokła się do szpitala. W autobusie był dziki tłok, omal nie zgnetli jej goździków. Kiedy wyszła z jego dusznego wnętrza na powietrze, zakreśliło się jej w głowie. Było jej słabo i pomyślała sobie, że winne są chyba te wiosenne skoki ciśnienia. Miała uczucie, że każda jej noga waży tonę, z trudem szła i na widok taksówek, czekających na postoju przed szpitalem, ledwie się pohamowała, by nie wsiąść do pierwszej z brzegu i wracać do domu. Poczucie obowiązku skłoniło ją wszakże do dalszego marszu. Przebyła pustkowie między bramą ze szlabanem a rotundą, weszła i stanęła przed szklanymi drzwiami, pchnęła je. Były zamknięte.

- A pani do kogo? - zawołała, wychylając się z okienka portierni, gruba kobieta o lśniących ulizanych włosach.

- Do profesora Dmuchawca, oddział B-2.

- Dziś nie ma odwiedzin!

- Jak to? - stropiła się Ewa. - Przecież pan dyrektor jest...

- Niech mi tu pani dyrektorami nie wygraża! Ktoś z rodziny?

- Nie, jestem koleżanką... z pracy.

- Aha - mruknęła kobieta. - Odwiedzin dziś nie ma ale profesor już chodzi. Był tu zaraz po obiedzie, odprowadzał wnuczkę i tego jej kawalera. Ale panią to ja pierwszy raz widzę. Jak pani nazwisko?

Ewa zmroziła ją spojrzeniem.

- Czy to ważne?

- Ważne, ważne - gderliwie odparła kobieta. - Bo muszę zadzwonić na oddział, czy pan profesor w ogóle będzie chciał do pani zejść.

- Jedwabińska - odparła Ewa i w tym momencie zbawcza myśl przysła jej do głowy. - Ale nie musi pani dzwonić. Skoro dziś nie ma odwiedzin, to ja sobie pójdę. Proszę tylko przekazać mu te kwiatki - położyła bukiet na okienku.

Portierka spojrzała na nią podejrzliwie.

- A to dopiero - powiedziała. - Już dzwonię.

Ewa miała ochotę uciec, ale było za późno.

- Może pani wejść. Ale nie na oddział - powiedziała zza szyby portierka. - Tu, w rotundzie, są fotele. Można też palić. Pan profesor zaraz zejdzie.

Zszedł.

Blady, przygięty, odziany w jakiś żalony szlafrok barchanowy, wyglądał rozpaczliwie, nie do poznania. Jego ruchy były ostrożne i wyważone, jakby się bał stłuc kruche naczynie, umieszczone za pazuchą. Ewa poczuła, że coś ją ścisną za gardło - i ze zdumienia i złości na tę swoją reakcję omal nie tupnęła nogą. Profesor nadchodził powoli, rozglądając się po hallu rotundy; nie widział jej więc wstała, podeszła bliżej, uśmiechnęła się z trudem. Na razie nie zwracał na jej minę uwagi. Poprawiał się właśnie i mimowolny skurcz wykrzywił mu twarz, Ewa drgnęła, chciała wstać ze swojego miejsca i pomóc ale myślała, że się ośmieszy, zawahała się. Tymczasem on już usado-

wił się wygodnie, oparł głowę na brunatnej, pomarszczonej dłoni odetchnął i spojrzał na nią siwymi oczami.

Takie jasne były te stare oczy.

Nigdy go nie lubiła, nigdy. Naprawdę. Był złośliwy, dokuczliwy niesprawiedliwy i się czepiał. Nigdy jej nie doceniał. Otaczał się zawsze gromadą pupilków i pupilek i nigdy wśród nich nie było miejsca dla niej. Zawsze wyczuwała jakąś dezaprobatę w jego wzroku chociaż tak pilnie się uczyła. Stawiał jej piątkę i jednym spojrzeniem odbierał ocenę jakąkolwiek wartość. A potem, zachwycony, żartował z jakąś leniwą i niedbałą uczennicą. Nie lubiła go nigdy. Więc dlaczego teraz było go jej tak żal?

Uśmiechnął się.

- Wiesz co - powiedział słabym głosem. - Kiedy byłem jeszcze zupełnie młodym nauczycielem... - urwał i aż sam się zaśmiał z wywołanej przez siebie wizji. - Takim chudziutkim blondynkiem w okularach...

- Blondynkiem? - Ewa uśmiechnęła się z grzeczności. Ale on się prawdziwie tym jej uśmiechem ucieszył.

- Tak! Blondynkiem! Blondynkiem! - przytwierdził, śmiejąc się i kiwając głową. - Miałem wtedy, wiesz, mnóstwo nowych i odkrywczych koncepcji wychowawczych... które, niestety, zupełnie nie chciały sprawdzać się w praktyce.

- To się zdarza - powiedziała ostrożnie Ewa.

- Tak - skinął głową. - Każdemu.

Ewa szybko spojrzała na niego, ale profesor miał teraz twarz poważną. Chyba z niej nie drwił.

- Ta pierwsza moja klasa - powiedział - była okropnie trudna. Tak mi się zdawało. Musiały minąć lata, zanim pojąłem, że każda klasa jest taka.

- Tak? - Ewa podniosła głowę.

- Tak, naprawdę. To dlatego, że tak okropnie trudno jest znaleźć drogę do drugiego człowieka.

- Trudno - przyświadczyła Ewa ledwo dosłyszalnie.

- Ale wtedy, wiesz... na początku... uznałem, że jeśli nie daje rady po dobroci - muszę być bardziej stanowczy. I tak krok po kroku stałem się pełnym despotą. Szalałem. Karcilem, waliłem, robiłem sceny, wyrzucałem za drzwi i ze szkoły. I na nic.

- Na nic?

- Na nic. Nie dało się ich ugryźć z żadnej strony. To oni byli silniejsi. Ile ja się nadrczyłem, zanim zrozumiałem, że te moje szaleństwa były właśnie dowodem bezsilności. Oni wcześniej niż ja rozumieli, że jestem słaby. I wymykali mi się wszystkimi sposobami. I wtedy... - urwał.

- Co wtedy? - spytała Ewa bez tchu. Dmuchawiec znów kilka razy głęboko odechnął, odkaszlnął i powiedział z uśmiechem:

- Instynktownie wyciągnąłem do nich rękę. Dużo mnie to kosztowało, ale zrobiłem pierwszy krok. Przeprosiłem ich, chociaż Bóg jeden wie, jak się musiałem do tego zmuszać. Poprosiłem ich o współpracę i o wyrozumiałość dla moich błędów. Pamiętam, starosta klasy wstał wtedy, uściskał mi dłoń i pogratulował odwagi cywilnej! Przeprosilili mnie również. To była młodzież! To były czasy! - powiedział tęsknie profesor. - No i tak. I odtąd już jakoś poszło. Chyba odtąd uczniowie mnie lubili.

- Nie wszyscy - wymknęło się niechcący Ewie. Ugryzła się zaraz w język. Miała nadzieję, że profesor nie słyszał. Ale słuch to on miał doskonały.

- Pewnie, że nie wszyscy - przytaknął, patrząc w bok. - Nie można podobać się wszystkim, trudno. A przecież chciałoby się... prawda?

Ewa była zakłopotana.

- Pójdę już - odezwał się profesor po chwili. - Trochę się zmęczyłem. A ty też pewnie chcesz pędzić do swojej córeczki. Jak ona ma na imię?

- Aurelia.

Postali przez chwilę w milczeniu.

- Masz dobry kontakt z tym dzieckiem? - spytał wreszcie Dmuchawiec takim tonem, jakby sam sobie udzielił już odpowiedzi.

Ewa wciąż milczała.

- Boisz się czegoś? - spytał nagle, pochylając się i zaglądając jej w twarz.

Wcale nie musiała odpowiadać na to pytanie. Mogła była na przykład odwrócić się i odejść, on by to zrozumiał. Ale pół godziny coś w Ewie złagodniało. Może to sprawiła torzsamość, że tu za każdą ścianą cierpi albo umiera człowiek Albo po prostu winna była ta wiosenna zmiana pogody. Ten niż. Odpowiedziała:

- Boję się zawodów.

- Śmieszności? - nie zrozumiał Dmuchawiec.

- Cierpienia - szepnęła Ewa.

- Ale przecież ono jest potrzebne! - wykrzyknął profesor patrząc na nią ze zdziwieniem. - Wielu rzeczy nie jesteś w stanie nawet pojąć, jeżeli przedtem nie pocierpisz!

- A ja już dosyć pocierpiałam.

Nauczyciel patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zastanawiał się

- Tchórz z ciebie - zdecydował.

- Może - odparła Ewa z uporem.

- Dziecko też będzie tchórzem. Będzie się bało kochać.

Ewa spojrzała na niego szklanymi oczami.

- To ja już pójdę - powiedziała.

I odeszła, niosąc swój bukiet goździków.

Maciek był u Kreski dwa razy i nie zastał jej w domu. „Trzeci raz nie pójdę” - postanowił sobie, choć oburzenie bynajmniej z niego nie wywietrzało. Usiadł do lekcji, ale nauka mu nie szła. Spróbował porozmawiać z Piotrem, ale ten go ofuknął i kazał milczeć, bo mu myśli uciekają. Maciej poszedł więc do kuchni, napił się mleka, spróbował zjeść kolację, choć nic mu nie przechodziło przez gardło.

W takim to nastroju zastała go Genowefa Bombkę vel Pompkę.

- Cześć i czołem! - zawrzęsła, kiedy na jej alarmujące dzwonicie poszedł otworzyć drzwi. - Dobrze, że jesteś! Przyniosłam ci kapuśniaczka!

- Co? - spytał Maciej z roztargnieniem, obserwując jej chudą figurkę o pobladłej buzi i wyostrozonym nosku.

- Kapuśniaczka! - powtórzyła Genowefa promiennie i wyjęła z kieszeni spodniczki pakiecik z bibułkowych serwetek. - Masz, zjedz. Dla pana Piotrusia mam w drugiej kieszeni.

- Piotr! - wrzasnął Maciej. - Kapuśniaczka ci przynieśli! --

Kapuśniaczek okazał się pierożkiem drożdżowym, napelnionym kapusta i grzybami i upieczonym w piekarniku.

- Jeszcze ciepły! - krzyknęła z dumą Genowefa.

Piotr wyszedł na jej przywitanie.

- Cześć i czołem - powiedział i pogłaskał małą po głowie. - dawno cię u nas nie było.

- Uhm - odparła nieuważnie, wręczając mu swój kożuszek i czapkę. Następnie przeszła ze swobodą do kuchni, gdzie zajęła miejsce przy stole. - Poproszę o herbatkę - powiedziała. - Mówie wam, ale heca! U Borejków.

Nie spotkała się z oczekiwanym zainteresowaniem, więc chrząknęła i powiedziała z naciskiem:

- Widziałam, jak się oświadczał!

- Kto komu? - chcieli wiedzieć bracia.

- Sławek Idusi!

- A ta Gabriela? - spytał od rzeczy Piotr.

Genowefa spojrzała nań ze zdziwieniem.

- Gabriela? Nie było jej. Tylko ja byłam w domu. No i Ida. No i Natalia, Patrycja i pani Borejko, ale w pokoju. A my byłyśmy w kuchni. Ida piekła kapuśniaczki, bo nie było na kolację, bo pani Borejko zgubiła kartki na mięso i dlatego muszą kombinować, a oni mają mało pieniędzy, nie mówili mi, ale ja wiem. I Ida piekła te kapuśniaczki, i na nosie miała mąkę, i wałkowała ciasto, i w kuchni tak ślicznie pachniało. I Sławek zadzwonił, i ja mu otworzyłam, i wszedł do kuchni, i nic nie powiedział, tylko podszedł do Idy i ją pocałował!!! - tu Genowefę zatkało od potoku wymowy, więc łapczywie nabrała tchu i kontynuowała: - Pocałował ją jak w telewizji, ale inaczej niż ty...

- Niż ja? - spytał Maciek.

- Niż ty Matyldę. Ładniej. Tak się całowali ładnie i całowali, a myśmy sobie patrzyły, ile chcieć, Natalia, Patrycja i ja. Natalia i Patrycja były czerwone! - tu Genowefa wydała z siebie rechocik pełen satysfakcji i zakryła usta ręką. - Ojejku. Fajnie było. Potem ja powiedziałam, że woda się gotuje, bo ten czajnik gwizdał - gwizdał, a pan Sławek popatrzał na mnie, jak, jak...

- Ja wiem, jak - domyślił się Maciej.

- No tak, właśnie. A Ida go pogłaskała po policzku i zapytała, czy chce herbatki, a on powiedział, tak, Idusiu, i coś do jedzenia, bo wracam prosto z roboty, i usiadł

przy stole. I wtedy weszła pani Borejko i się zdziwiła, co robi Sławek w naszej kuchni... a on... - nabrała tchu. - Teraz uważajcie, on powiedział: proszę pani chciałbym się ożenić z Ida i będę ją kochał i szanował całe życie. Pani Borejko się rozpląkała i usiadła, i nie powiedziała do Sławie nic w ogóle wszyscy tak nic nie mówili, że aż to było głupie więc szybko powiedziałam, tak, Sławku, możesz się ożenić... i wszyscy zaczęli się śmiać, a pani Borejkowa przestała płakać i powiedziała niech wam Bóg błogosławi, a ja wtedy zabrałam te kapuśniaczki i przyszłam, bo teraz pan Piotruś mógłby lecieć i się oświadczyć.

To powiedziawszy, Genowefa umilkła wreszcie i z nadzieją wpatrzyła się w pana Piotra. Maciek zaczął się śmiać, kręcąc głową i waląc rękami o kolana Piotra diabli wzięli.

- Czy może, hm, podzieliłaś się swymi planami z panią Borejkową? - spytał z przerażającym spokojem.

- Czy co? - nie pojęła Genowefa.

- Maciej, trzymaj mnie, bo nie ręczę za siebie - kontynuował Piotr Ogorzałka jak przez sen. - Jeżeli ten bachor... Genowefo! Jeżeli powiedziałaś...

- Aaaa! Nie! Nie powiedziałam! - zrozumiała wreszcie Genowefa. - Co, myślisz, że jestem głupia?

Piotr pozostawił jej pytanie bez odpowiedzi.

- Nic nie mówiłam o tobie i Gabrysi, tylko wyszłam. Ale ty tam szybko leć i się oświadczaj, bo oni teraz tak się cieszą, że na pewno ci nie odmówią!

- O Jezu - rzekł Piotr ponuro, ponownie siadając przed nią na taborecie i patrząc jej prosto w oczy. - Genowefo, musisz zapamiętać raz na zawsze, co ci powiem. Uważam Gabrielę Borejko za przemądrzałą feministkę bez wdzięku i nie ożeniłbym się z nią, nawet gdyby była jedyną kobietą na świecie! A przypuszczam, że ona czuje to samo. Natomiast co do ciebie, masz pamiętać, żebyś już nigdy więcej nikogo z nikim nie żeniła!

- O, a to dlaczego? - obrazila się Genowefa. - Ze Sławkiem, patrz, jak mi ładnie poszło!

Pięknym słonecznym popołudniem, w podmuchach wiosennego wiatru, pod mamą, pierwszy od bardzo dawna, sprawiał jej wyraźna przyjemność. Uśmiechała się

nawet, policzki miała zarumienione a w oczach radosne błyski. Ubrana w wiosenne beżowe paletko i bezowy kapelusik ze sztruksu, dziewczynka z chwili na chwilę stawała się weselsza i bardziej ożywiona.

Co do Ewy, czuła się niepewnie. Idąc powoli, tak jak od dawna jej się chodzić nie zdarzało, zastanawiała się, co właściwie skłoniło ją do zaproponowania Aurelii małego spaceru. Czy powodem był wczorajsza rozmowa z Dmuchawcem i te wszystkie jego wypowiedziane i nie wypowiedziane zarzuty? Czy też może powodem był po prostu widok Aurelii siedzącej smętnie na parapecie okna z nosem przy szybie, wpatrującej się z tęsknotą w wiosenne podworko?

Tak czy inaczej, szły oto na spacer już spory kawałek, przewędrowały sobie powoli przez osiedle, przez Poznańską, skręciły w Roosevelta i teraz pięły się tą stromą ulicą pod górę - a przez cały czas nie zamieniły właściwie ani słowa. Były już w połowie Roosevelta, kiedy Ewa stwierdziła, że właściwie nie ma o czym z córką pomówić. Męczyła się przez najbliższe dziesięć metrów, wreszcie wymyśliła pytanie:

- Co słyszeć w zerówce, Aurelio?

- E... nic - odpowiedziała z ociąganiem dziewczynka.

- A pani nie pytała, czemu tak długo cię nie było?

- Nie pytała.

- Dlaczego?

- Bo przecież napisałaś usprawiedliwienie.

Ewa umilkła. Przeszły jeszcze kilka kroków, kiedy Aurelia odezwała się znowu:

- Ona nigdy o nic nie pyta, ta Klucha.

Ewa uczepiła się tego zdania jak koła ratunkowego.

- Dlaczego Klucha? - spytała pośpiesznie.

- Bo gruba i biała - wyjaśniła jej Aurelia dość ochoczo. - I tak kluskowato gada, o tak: tl-tl-tl... - zaśmiała się i podskoczyła parę razy.

- Lubisz ją? - pytała dalej Ewa, ściskając mocniej chłodną rączkę córki.

- Taak - powiedziała Aurelia z wahaniem. - Dosyć... - dodała uczciwie.

Zatrzymała się.

- Słuchaj, a może poszłybyśmy sobie do zoo? - spytała.

- Taaak! - wrzasnęła radośnie Aurelia.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Jakaś prosta kobieta w starym płaszczu, z siatkami w obu rękach, wysoka i postawna, uczesana w czarny kok - zatrzymała się niż przed nimi i wpatrzyła w Aurelię.

- Geniusiu! Czy to ty?! - wykrzyknęła radośnie.

Ewa poczuła, jak łapka w jej dłoni zaciska się mocno. Aurelia stała jak słupek, z rozdziawionymi ustami, i gapiła się na tę kobietę, unosząc w górę głowę. Tamta zaś postawiła swoje toboły i pogłaskała Aurelię po buzi.

- Dobrze, że cię wreszcie spotykam! - powiedziała z uśmiechem, przenosząc życzliwe spojrzenie na Ewę i zaraz znowu wpatrując się z sympatią w twarzą Aurelii. - Tak już sobie myślałam, czemu ta Geniusia przestała przychodzić na obiady. Czyś ty się wtedy nie obraziła na mnie?

Ewa ze zdumieniem ujrzała, że jej dziecko się uśmiecha i przecząco kręci głową. Jeszcze do tej pory mogła przypuszczać, że zaszła tu jakaś pomyłka, że kobieta bierze Aurelię za kogoś innego. Ale reakcja córki przekonała ją, że o pomyłce mowy nie ma.

- Nie, nie obraziłam się! - powiedziała szybko. - Ja tylko się bałam przyjść.

- Ale czemu? - wykrzyknęła serdecznie wysoka kobieta. - Wszystko się dobrze skończyło. Wiesz, że Sławek się zaręczył?

- Wiem, wiem, ja wtedy właśnie byłam u Idy - powiedziała Aurelia, kiwając radośnie głową.

Oślupiała Ewa stała bez ruchu i nawet nie mrugała, chłonąc każde słowo. Wysoka kobieta skierowała na nią swoje bystre i ciekawskie spojrzenie. Ewa miała idiotyczne uczucie, że te intensywnie błękitne oczy prześwietlają na wskroś.

- Na spacer z mamusią, co? - spytała kobieta życzliwie, gładząc znów Aurelię po buzi. - Dzień dobry pani. Jestem Lewandowska.

- Jedwabińska - mruknęła Ewa.

Kobieta spojrzała na nią z zaskoczeniem. Potem jednak uśmiechnęła się znowu.

- Ale też pani ma fajną córeczkę - powiedziała wesoło. - Mój mąż to ją lubi. Kiedy ta Geniusia znów przyjdzie bo chciałbym się uśmieć, powiada - coś w twarzy Ewy zraniło widocznie panią Lewandowską, bo trochę zmierzchła - nic, ja już pójdę -

oświadczyła i przeniosła wzrok na Aurelie - A ty, Geniusia, już się nie bocz z wpadnij do nas jutro na śledzika. Właśnie dostałam kilo solonego, zrobię z cebulką, w śmietanie - uśmiechnęła się znowu i skręciła do bramy na prawo znikając wkrótce za ciężkimi drzwiami o kobaltowych szybkach.

- Kto - to - był?! - spytała Ewa, z trudem wymawiając słowa Aurelia spojrzała na nią błagalnie. W jej czarnych oczach zbierały się już łzy.

- Miałyśmy iść do zoo, mamusiu... - przypomniała jęśliwym głosem, który Ewę zawsze, nieodmiennie, irytował.

- Przestań! - krzyknęła. - Nie mów mi teraz o głupstwach! Kto to była ta pani? Co ona... co ona mówiła o jakichś obiadkach?!

Aurelia uderzyła w płacz.

- Ja ci powiem, mamusiu... wszystko ci powiem... - szlochała, rozmazując łzy po twarzy. - Ale nie teraz, nie teraz... Chodźmy do zoo, chodźmy do zoo!!!

Gniew niemal Ewę oślepił.

- O, nie - powiedziała cicho i groźnie, prawie bez tchu. - Żadnego zoo, teraz nie pora na spacerki. Wracamy do domu i...

- Nie! Nie! Nie do domu! Nie do domu!

- Uspokój się! - syknęła Ewa, bo już przechodnie zaczęli się oglądać za ryczącą wniebogłosy Aurelia. - Powiedziałam, wracamy do domu i tam mi wszystko opowiesz!

Złapała dziewczynkę za rękę i pociągnęła za sobą. Aurelia ryczała przez całą drogę. A ledwie tylko weszły do mieszkania, rzuciła się - jeszcze w płaszczu i bucikach - na swoje łóżko. Tam ukryła twarz w poduszce i kontynuowała swoje histerie. Ewa zamierzała po prostu przeczekać, aż się dzieciak uspokoi, ponieważ widziała, że na ten atak płaczu nie ma innej rady. Ale zajrzawszy do pokoju stwierdziła, że Aurelia leży z tym ohydny, brudnym psem szmacianym i płacząc ssie znów ten nieszczęsny kciuk.

Na ten widok w Ewie coś jakby pękło.

- Znów go znalazłaś!!! - wpadła do pokoiku, wyszarpnęła psa od Aurelii i bez zastanowienia wyrzuciła go przez szeroko otwarte okno. Sarna nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, przez chwilę miała wrażenie, że Aurelia wyskoczy za psem. Głupia mała, rzuciła się z krzykiem do okna, ledwie ją Ewa przytrzymała. Zatrzasnęła okno, oparła

się o nie plecami, spojrziała na córkę. Brzydkie, zapuchnięte, wykrzywione dziecko. Niedobre dziecko.

- W tej chwili wytłumacz mi to wszystko! - zażądała. - Dlaczego chodziłaś do tej pani... na obiady!

- Ja chcę iść po Pieska!!! - krzyknęła Aurelia strasznym głosem i rzuciła się do wyjścia.

- Pójdiesz - obiecała jej Ewa, zatrzymując drzwi pokoiku. - Ale najpierw opowiedz mi o wszystkim. Dlaczego ona nazywała cię Geniusia?

- Ja chcę iść po Pieska!!!

- Aurelio, odpowiadaj, ja to muszę wiedzieć! Gdzie jeszcze byłaś na obiedzie? Do kogo jeszcze chodziłaś? Co to za Ida? Co to za Sławek?

- Ja... chcę... iść... po... Pieska!

- Dlaczego pani Lisiecka pozwalała ci tam chodzić? Boże wielki. Przecież ona nawet nie wiedziała!... - Ewa złapała się za czoło. - Czy ty sobie nie zdajesz sprawy... co mogło się stać? - Aurelia znów zaczęła nudzić o swoim piesku, więc Ewa potrząsnęła nią i krzyknęła: - Ty wstrętna, ty! Mogłaś wpaść pod samochód! Mogli cię porwać! Chodziłaś po cudzych domach! - usiadła na krześle bez sił. - Co za wstyd, co za wstyd! - jęknęła. - Moje dziecko zebrało o jedzenie! Boże, ja oszaleję. Do kogo jeszcze chodziłaś? Do kogo jeszcze?... - Aurelia, wstrząsana szlochem, osunęła się na podłogę i przycupnęła w kąciaku koło szafy. Wyglądała jak mały szympans.

Ewa poczuła, że nie wytrzyma tego dłużej.

- Siedź tu! - przykazała. Wyszła z pokoiku i pobiegła do łazienki. Połknęła dwie tabletki, popiła, przemyła twarz zimną wodą. Straszliwie bolała ją głowa. Trzymając się za czoło, wróciła do pokoiku.

Aurelii nie było. Drzwi na klatkę schodową stały otworem pulsowała świetlna strzałka przy windzie, Ewa podeszła do okna. Z góry zobaczyła, jak Aurelia w na chodnik i gorączkowo biega pod blokiem przeszukując krzaczek. Jakoś bez skutku szukała. Chyba ktoś już zabrał tego jej psa.

Ewie zrobiło się głupio. Mała figurka jej dziecka miotła się rozpaczliwie to w tę, to w tamtą stronę. Ewa mogła sobie wyobrazić jak Aurelia zanosić się płaczem. Zawstydziała się swojego wybuchu i tego zupełnie już idiotycznego wyrzucenia psa przez okno. Zapięła płaszcz i wyszła z domu. Zjechała windą na dół i wybiegła przed blok ze

szczerym postanowieniem, że pomoże Aurelii w poszukiwaniach. Rozejrzała się. Aurelii nie było. Nie było jej pod domem ani za domem, ani na całym w ogóle podwórku. Ewa przebiegła całe osiedle, zanim wreszcie zdała sobie sprawę, że postępuje nieroztropnie, bo może Aurelia po prostu już znalazła psa i wróciła do domu. Ostatecznie, w bloku były dwie windy. Wjechała na górę, pewna, że ujrzy dziecko czekające pod drzwiami mieszkania, obmyślając sobie, jak je teraz spokojnie skarci za takie historyczne wyskoki. Wyszła z windy i przekonała się, że Aurelii nie ma.

Około godziny dwudziestej Maciej Ogorzałka stał przed drzwiami Kreski i przyglądał zwichrzoną czuprynę przy pomocy rozpostartej dłoni. Uczyniwszy co trzeba dla poprawienia swej aparycji (zawsze to człowiek ma w ręce więcej atutów, kiedy dobrze wygląda), nacisnął klamkę i wszedł.

Był nadal wzburzony i naładowany złością. Przybył tu właśnie po to, by swoje oburzenie Kresce wyrazić, i to jak najdobitniej. Tak jak ułożył sobie wczoraj, chciał jej powiedzieć, co myśli o scenie, którą miał nieszczęście widzieć wczoraj w parku.

W miarę jednak jak szedł długim korytarzem, ogarniało go onieśmienie w pustym pokoju profesora czuł się już całkiem niezłe zaś kiedy dotarł do drzwi kuchni, pamięć tamtego krzyku przerażenia Kreski skłoniła go do bardzo delikatnego zapukania

- Proszę? - odezwał się z kuchni spokojny głos. Maćkowi serce zmięło popchnął drzwi, wszedł.

W kuchni było już ciemnawo. Na biurku Kreski paliła się lampa kreślarska. W jej świetle Maciek ujrzął dwie głowy pochylone nad zeszytami. Kreska i ten chłopak siedzieli obok siebie i w najlepsze rozwiązywali matematykę. Trzecią osobą w pomieszczeniu była Genowefa Bombkę, siedząca bez drgnienia na kuchennym stołku, piastująca w objęciach jakąś brudną zabawkę i wspierająca się plecami o stary piec węglowy.

- Dobry wieczór - powiedział Maciej dość zjadliwie. Oczy wszystkich trojga zwróciły się ku niemu i poczuł się nagle okropnie głupio pod spokojnym spojrzeniem Kreski. Odchrząknął.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - zwrócił się do niej. - To ważne.

Ona milczała, wlepiając w niego wielkie, błyszczące oczy.

- Naprawdę ważne - dodał, starając się nie patrzeć na niedźwiedziowatego face-
ta. Oczy Kreski jeszcze bardziej pociemniały. Maciej poczuł, że serce mu zamiera. Na
chwilę przestał oddychać.

- Dobrze - powiedziała Kreska słabym głosem.

Niedźwiedziowaty natychmiast wstał, zebrał pospiesznie zeszyty i włożył kurt-
kę.

- Ja muszę już lecieć, Janeczko - powiedział serdecznie, powodując szarpnięcie
zazdrości w duszy Macieja. Przeszedł obok muskając Maćka rękawem, przeprosił i
zatrzymał się z widocznym wahaniem. - Lelujka - przedstawił się, wyciągając rękę.
Maciek bąknął swoje nazwisko, z najwyższą, lecz tajoną, niechęcią, ściskając podaną
mu dłoń. - Hm, tak, tego... to ja lecę! - rzucił Lelujka, obejrzał się szybko na Kreskę i
znikł. Maciek otworzył usta, lecz spojrzenie jego padło na osowiałą Genowefę Pomp-
kę, siedzącą bez ruchu na swym stołku.

- Genowefo, wyjdź! - powiedział. - Proszę cię, posiedź chwilkę w pokoju. Ja
muszę porozmawiać z Kreską o czymś bardzo ważnym. Dobrze?

Dziewczynka spojrzała na niego sennie, przycisnęła swoją zabawkę, zsunęła się
ze stołka i bez słowa wyszła z kuchni. Maciek był tak przejęty, że ledwie zwrócił na to
uwagę. Zamk za nią drzwi i powiedział stanowczym głosem:

- Janka.

- Słucham - natychmiast odpowiedziała ona, wciąż nie ruszając się z miejsca.
Zauważył, że ręce jej drżą. Przechwyciwszy jego spojrzenie Kreska podniosła z biurka
ołówek i ścisnęła go oburącz z całej siły

- Kto to... kto to jest, ten Lelujka?! - wyrwało się Maciejowi

- Mój przyjaciel - odparła ona. - Bardzo dobry chłopiec.

- Nie podoba mi się ten model przyjaźni - warknął Maciej. Kresce zadrżały
usta, ale nic nie powiedziała.

- Widziałem was wczoraj w parku - rzekł Maciek z goryczą. - Tak jest, wszystko
widziałem.

Ponieważ Kreska nadal milczała jak zaklęta, Maciek dodał:

- Byłem rozczarowany tobą, Janino. Tak jest, głęboko rozczarowany.

Cisza. W tej ciszy rozległ się nagle trzask ołówka, który pękł Kresce w rękach.

- Zachowywałaś się haniebnie, tak jest, haniebnie! - wykrzyknął Maciek.

- No, ale to przecież moja sprawa - uprzejmie odezwała się Kreska.

Macieja zatkało.

- A co?! - krzyknął nagle. - Czyżbym nie miał prawa powiedzieć ci, co myślę?

- No, właśnie chyba nie masz - powiedziała Kreska cichym głosem. - Jakieś prawa masz tylko wobec Matyldy. A wobec mnie - nie.

Maciek aż podskoczył.

- Przestań z tą Matyldą! - krzyknął. - Mówiłem ci, że z nią koniec!

- Ona tak nie uważa - powiedziała Kreska z minimalnym, smutnym uśmiechem.

- Co - co - co?! -

Kreska wyszła zza biurka, stanęła obok Maćka i położyła rękę na klamce.

- Spotkałam ją w tramwaju. Powiedziała, że byłeś u niej na imieninach jako jedyny gość. - Tu głos Kreskę lekko zawiódł, nacisnęła klamkę i powiedziała: - No, to już idź, Ma-Ma-ciek idź nie chce żebyś tu przychodził, bo wtedy musisz kłamać.

- Ależ ja nie kłamię! - krzyknął Maciek i w tym momencie zgasło światło. Noto-ryczny złodziej korków tego wieczoru grasował w bramie Kreski.

Maciek wykorzystał tę nagłą a sprzyjającą ciemność na próbę uporządkowania swoich spraw uczuciowych. Wyciągnął w mroku rękę, uchwycił ramię Kreski i przyciągnął ją do siebie. Klepiąc po omacku odnalazł jej twarz, nos i usta, po czym zabrakło mu odwagi i pocałował ją w głowę.

- Głuptasie - szepnął i uciekł jak szalony, objijając się po ciemku o szafy, krzesła i futryny.

Kreska najpierw długo się uspokajała. Stała z czołem opartym o zimną ścianę i przyciskała rękami płonące policzki. Potem zaś zaczęła szukać zapalek. Wydawało się jej bowiem, że jest rzeczą dziwnie nieprzystojną przebywać tak długo w tej samej ciemności, która skryła Macieja Ogorzałkę wraz z jego pocałunkami. Serce jej biło jak szalone, kiedy po omacku otwierała szuflady kredensu i pobrzękiwała w ciemności sztućcami oraz grzechotała drewnianymi łyżkami. Akurat, kiedy wreszcie zapaliła świecę, usłyszała, że ktoś się objaja w przedpokoju.

Najpierw ucieszyła się, że to Maciek, potem przestraszyła się, że to Maciek, wzięła lichtarzyk ze świecą i wyszła do przedpokoju, zastanawiając się, czy dobrze robi, i decydując się w przyszłości Jednak zamykać drzwi wejściowe na zasuwkę. Ale rychło okazało się, że to tylko Gabrysia Borejko tłucze się po ciemku, niosąc spory koszyk wiklinowy nakryty serwetką.

- Ja tego skunksa poćwiartuję - oświadczyła z furją, wkraczając wreszcie do pokoju. - Ty wiesz, że go nieomal przyłapałam?!

- Na... na czym? - przeraziła się Kreska, przypuszczając rainie, że ta sama osoba, która zaprzętała jej własne myśli, jest teraz obiektem burzliwej napaści Gabrieli.

- Stał koło naszego domu, pod latarnią, i oglądał bezpiecznik!

- Maciek?!

- Jaki Maciek, skąd Maciek. Jakiś ponury margines społeczny a nie Maciek. Ale ja go zupełnie nie skojarzyłam, bo u nas dziś się świeci. I co? I wchodzę do twojej bramy, a tu już ciemno cos więcej, idę po schodach, a tu jakiś wielki facet leci na łeb na szyje w tych egipskich ciemnościach i bełkoce „moja malutka, moi kochana”. Myślałam, że umrę ze strachu, ale poleciał dalej i wypadł na ulicę.

- Jak... jak mówił? - spytała Kreska bez tchu zalewając się płomiennym rumieńcem.

- „Moja malutka”... No, tak, chyba mu nie o mnie chodziło - zorientowała się Gabrysia i parsknęła śmiechem. - W końcu ja mam metr osiemdziesiąt. Z drugiej jednak strony, było ciemno zupełnie i mógł tego nie widzieć. Czego się śmiejesz, hę?

- N-nie, nic...

- Chodź no do kuchni, mam coś dla ciebie - zarządziła Gabrysia. W kuchni zapaliły jeszcze dwie świece, po czym Gabrysia przystąpiła do wyładowywania zawartości koszyka.

- Mama przysłała ci kapuśniaczki, co nie znaczy, że musisz je zjeść - powiedziała. - Ida dała do ciasta trzynaście deka drożdży, zamiast trzech, potem napiekła tego potworne ilości, w trakcie czego wszedł Sławek Lewandowski i się oświadczył o jej rękę. Natalia i Patrycja mówią, że to było cudowne.

- Ja myślę! - wykrzyknęła zbulwersowana Kreska. - Który to Lewandowski?

- Sąsiad Ogorzałków - wyjaśniła Gabrysia. - Wrażenie zrobił takie, że kapuśniaczków do dziś nikt nie tknął, czemu zresztą osobiście się nie dziwię. Przyniosłam

ci tylko po to, żeby się nie zmarnowały. Mam też polecenie od mamy: dowiedzieć się, z czego ty żyjesz, kiedy dziadka nie ma, bo widziano cię w sklepie spożywczym, jak kupowałaś dwie bułki i ser camembert i ledwie ci starczyło forsy.

- O, mam wszystko, czego mi potrzeba - sztywno odpowiedziała Kreska. - Naprawdę bardzo dziękuję, ale dam sobie radę sama i...

Gabrysia złapała ją za łokieć i potrząsnęła jak workiem gruszek.

- Te, mała - rzekła serio. - Lepsi od ciebie ludzie korzystają z pomocy bliźnich i nie zadzierają nosa, tylko się cieszą, że więzi międzyludzkie krzepną. Jasne?

- Jasne - zgodziła się Kreska.

- Więc tu są kapuśniaczki, a tu forsa składkowa, a tu witaminy amerykańskie dla profesora, a tu witaminy dla ciebie, a tu parę konserw.

- Ja nie mogę...

- Możesz. Jak ty będziesz miała za dużo, to oddasz temu, kto akurat potrzebuje. Taka jest zasada. Dziękować nie należy. W porządku?

- W porządku. A jak on wyglądał?

- Kto? - zdumiała się Gabrysia.

- Ten facet.

- No, jak to margines. Brudny, gęba czerwona, oczy niewyraźne... Ja myślę, że on je przepija. Te korki.

- Ale nie... ten drugi... ten, co to po schodach...

- A, ten, no nie wiem, jak wyglądał.

- Nie wiesz?

- Ciemno było kompletnie. Wiem tylko, że wysoki był, mojego wzrostu, i skafandrem szeleścił. A dlaczego pytasz?

- Ja? A nie, nic - tu Kreska zaśmiała się nedorzecznie, spuściła głowę, podniosła ją, spojrzała na Gabrysię i znów się zaśmiała.

- Co ci tak wesolutko? - podejrzliwie spytała Gabriela. - Czy ja mam coś na twarzy?

Kreska nie odpowiedziała, tylko zniechęta pocałowała Gabrysię w policzek, aż zadzwoniło, i zaproponowała jej herbatę z kapuśniaczkiem.

- Tylko nie to - powiedziała Gabrysia. - Zresztą, ja już lecę. Mam poważne zajęcia na dziś wieczór. Bo, wyobraź sobie, przyszedł list od Janusza.

- Od twojego męża?!

- Od niego - Gabrysia zerknęła na Kreskę, westchnęła i powiedziała: - List szedł trzy i pół miesiąca. Gdybym ja wiedziała trzy i pół miesiąca to, co wiem dzisiaj...

-To co?

- Tobym tak nie pomstowała. Trzy i pół miesiąca temu on już był zdecydowany wracać...

- Do Polski?

- No a gdzie. Napisał w tym liście, że chce wracać, że nas kocha jak głupi, mnie i Pyzunię, i że był idiotą, i że zaraz bez nas zwariuje z tęsknoty, i pyta, czy mu przebaczę.

Kresce zabrakło tchu z wrażenia. Co za historia!

- A ty - przebaczysz? - spytała.

Gabriela oświadczyła, że oczywiście tak. Przebaczy mu natychmiast, przebaczyła mu w ogóle już dawno, ale nieszczęście polega na tym, że ona jest w gorącej wodzie kąpana. Zanim list Janusza dotarł, ona już wyrąbała do niego ze trzy epistoły, w których misza go z błotem i nie pozostawiła żadnej nadziei na pojednanie. Wskutek opieszalskości poczty Janusz Pyziak otrzyma te listy w odpowiedzi na swój sprzed trzech i pół miesiąca, otrzyma je właśnie w momencie, kiedy czeka na przebaczenie i zachętę do powrotu. Jeżeli nawet Gabriela napisze dziś wieczór list wyjaśniający, to może się zdarzyć, że Janusz otrzyma go za kolejne trzy miesiące, przez który to czas albo się załamie, albo się obrazi, albo w ogóle zrobi coś głupiego. Sytuacja wyglądała beznadziejnie i Gabrysia nie miała pojęcia, co robić.

- Zadzwoń do niego! - wymyśliła Kreska. Okazało się, że Janusz nie ma telefonu.

- To wyślij telegram! - poradziła Kreska po prostu, na co Gabriela osłupiała, zerwała się z miejsca i zakrzyknęła:

- Dziewczyno, jesteś genialna! Jedno słowo: wracaj! Albo nie, dwa słowa: wracaj, kochany! Albo nie, cztery słowa... Do licha, dlaczego mnie to dotychczas nie przyszło do głowy? - klepnęła Kreskę po plecach, złapała swój koszyk i wybiegła pięknym sprintem.

Kreska poskoczyła za nią, żeby jej choć z daleka poświecić i żeby zamknąć jednak te drzwi wejściowe na zasuwkę. Wracając ze świecą do pokoju, już po drodze cieszyła się na chwile, które teraz nastąpią, na chwile spokoju i samotności, kiedy to będzie można zatonać bez reszty w radosnych rozmyślaniach o tym, co wydarzyło się między nią a Maćkiem. Bo że coś ważnego się wydarzyło, było rzeczą pewną. Przez cały czas rozmowy z Gabrysią Kreska miała świadomość czynną tylko w połowie; drugą połowę, zarówno świadomości, jak przytomności, wypełniało jej coś w rodzaju precudownej kantaty w wykonaniu chóru istot bezcielesnych oraz dojmujące wrażenie, że przy wtórze tych niebiańskich melodii grają się przed nią. Kreską, jakieś fantastycznie piękne, olbrzymie podwoje, wiodące w przestrzeń pełną złotego blasku, mniej ostrożnie niosąc świecę weszła do pokoju i zmartwiała. Na poduszce dziadka spoczywała czyjaś ciemna głowa. Ktoś - ktoś leżał w jego łóżku!

Nogi wrosły jej w ziemię z przerażenia, ale dzielnie przemogła strach i zmusiła się, by podejść trzy kroki bliżej. Wyciągnęła dygocącą rękę z lichtarzykiem najdalej, jak mogła - i z westchnieniem ulgi rozpoznała leżącą postać. Genowefa.

Boże drogi. Biedny dzieciak. Jak można było tak o niej zapomnieć? Wyproszone ją z kuchni, to siedziała tutaj tak długo, aż ją zmorzyło po prostu o właściwej dla jej wieku porze. Padła na dziadkowy tapczan i zasnęła. Nawet nie zdjęła bucików. Nawet się nie przykryła. Trzyma tego kudłatego pieska kurczowo przy piersi i śpi jak zabita, biedna brzydulka. Która to godzina? Wpół do dziesiątej. A przyszła tu o szóstej. Pewnie jej matka się zamartwia. Trzeba będzie małą obudzić i odprowadzić do domu. Kreska usiadła na krawędzi tapczana i przy chwiejnym blasku świeczki patrzyła przez chwilę na uśpione dziecko. Genowefa Bombkę spała jak w narkozie: gęste rzęsy spokojnie leżały na policzkach, usmarowanych łzami i brudem, włosy rozsypane na poduszce lśniły jak czarny jedwabny wachlarzyk. Aż żal było ją budzić, spała tak smacznie.

- Hej, bączku! - Kreska pogładziła ją po czole.—Hej, obudź się! Trzeba wstać!

Genowefa chrapnęła nagle, rzuciła się jak ryba na piasku i przeturlała na drugi kraniec posłania. Kreska się przesiadła i potar mosiła ją za rękaw.

- No, wstawaj! - powiedziała głośno.

Dziewczynka poderwała się nagle do pozycji siedzącej, krzyknęła i zanim jeszcze otworzyła przerażone oczy - już płakała. Szybko urywanie szlochając, przyciskała z całej siły swojego kudłatego Pieska. Przestraszona Kreska objęła małą za ramiona i

próbowała uspokoić, ale było to trudne zadanie. Dziewczynka była jak w transie. Wreszcie czułe poklepywania i szepty Kreski dały rezultat na tyle niezły, że Genowefa przynajmniej przestała lkać. Jeszcze chwila i przemówiła:

- Gdzie on jest? - Spojrzała nieco przytomniej na swoją zabawkę i uspokoiła się:

- Tu. - Przeniosła wzrok na Kreskę

- Cześć i czołem. Zasnąłś u mnie, wiesz? - uśmiechnęła się Kreska i poklepała małą po ręce. Genowefa rozpromieniła się nagle.

- He, he - powiedziała z satysfakcją.

- Musiałam cię obudzić, bo już czas do domu. Mama tam pewnie płacze...

Genowefa wyraźnie zeszywniała, oczy jej zabiegały.

- Nie - powiedziała.

- Co „nie”?

Mała spojrzała dziko na Kreskę.

- Nie płacze! - oświadczyła z mocą. - Mama... wyjechała.

- Ejże? I nikogo nie ma w domu?

- Nikogo... Nikogo.

- Oj, czy ty aby prawdę mówisz?

- Mówię.

- Bo mnie się zdaje, że bujasz. A tymczasem mama tam płą...

- Nie! Nie płacze! Nie bujam.

- Hm. No, to co?

- No, to śpię u ciebie - podsumowała z zadowoleniem Genowefa i padłszy na wznak, zacisnęła szczelnie powieki.

- Słuchaj - powiedziała jeszcze Kreska. - Myślę, że powinnam jednak mieć twój adres... tak na wszelki wypadek... - miała zamiar odczekać, aż dziewczynka zaśnie, i wtedy pobiec jednak do jej domu, żeby sprawdzić, co się tam naprawdę dzieje, uspokoić rodziców Genowefy, powiedzieć im, gdzie jest dziecko.

Ale Genowefa już spała albo udawała, że śpi. W każdym razie nie odpowiedziała Kresce ani słowem, ani ruchem, a wkrótce zaczęła cicho i równo posapywać.

Kreska westchnęła, zdjęła z bezwładnych nóżek buciki i rajstopy przykryła dziecko dziadkową kołdrą i poszła do kuchni. Tam przez następną godzinę siedziała na kozetce i, osłupiałym wzrokiem wpatrując się wciąż w ten sam punkt przestrzeni, obracała w pamięć wciąż te same pięć minut minionego wieczoru.

Kwadrans po północy w drzwiach zazgrzytał klucz i Ewa Jedwabińska doczekała się wreszcie, pan domu powrócił z zebrania, czy czegoś w tym rodzaju. Stał w progu wesół, ożywiony i z błyszczącym okiem. Jego twarz pokryta była zdrowym rumieńcem, kołnierz wiosennego palta nonszalancko rozpięty.

- Jeszcze nie śpisz? - zdziwił się uprzejmie na widok żony. Mniej więcej od szóstej po południu, kiedy to stwierdziła zniknięcie Aurelii, Ewa zdołała już zamęczyć telefonami wszystkie możliwe instytucje, od pogotowia, poprzez komisariaty MO, po izbę dziecka na dworcu Poznań Główny. Teraz siedziała na stołeczku w przedpokoju, ścisnęła zaplecione ręce i bladła z chwili na chwilę. Oczy miała nieruchome i z lekka rozszerzone po zażyciu sporej dawki środka uspokajającego.

- Aurelia uciekła z domu - powiedziała napiętym głosem. Eugeniusz Jedwabiński przyjrzał się żonie uważnie, zdjął płaszcz, odwiesił go starannie do szafy ściennej, po czym wysunął ostrożną propozycję, by napili się oboje herbaty. Troszeczkę nie dowierzał ocenie. Ewy. Lubiała, jego zdaniem, przesadzać. Miał nadzieję, że po przełknięciu czegoś gorącego, jej napięcie zelżeje i będzie można pogadać z nią po ludzku.

Ale ona nie chciała słyszeć o niczym. Ubrała się szybko i oświadczyła, że czekała tylko, na niego, żeby wyjść. Nakładając gorączkowo buciki dodała, że właściwie nie spodziewała się po nim niczego konstruktywnego - ani rady, ani pomocy, i że nie zaskoczył jej bynajmniej żądając w tak dramatycznej chwili jakiejś kretyńskiej herbaty. Wybiegła trzaskając drzwiami, wobec czego Eugeniusz Jedwabiński zdecydował, że żartów nie ma, wdział pospiesznie płaszcz i wypadł za nią.

- Pójdę z tobą - zadeklarował, wkraczając do windy.

- Lepiej zostań - zdenerwowała się Ewa. - Ktoś powinien być w domu, na wypadek, gdyby Aurelia wróciła.

- Miałaby wrócić teraz, w środku nocy? Jakim cudem? Na pewno śpi - rzekł rozsądnie Eugeniusz Jedwabiński.

- Gdzie śpi?! - krzyknęła Ewa, podczas gdy winda monotonicznie osuwała się w dół. - Nie ma jej w szpitalach, nie ma na milicji, nie ma u nikogo z naszych znajo-

mych, wszędzie dzwoniłam. Jest Jeszcze tylko jedno miejsce, gdzie ona może być, i tam właśnie idę, chociaż wolałabym tego nie robić nigdy w życiu! Proszę, żebyś stał, żebyś nie szedł tam ze mną.

- Dlaczego? Co to za miejsce? - zdumiał się pan Jedwabiński. Winda zatrzymała się, byli na parterze.

- Zostań, Eugeniuszu, bardzo cię proszę - z naciskiem powiedziała Ewa. - Zostań w domu i czekaj na moje dziecko.

- O, nie, chwileczkę - zaproponował pan Jedwabiński. - Ide z tobą. Ostatecznie, to także i moje dziecko.

- Jakoś rzadko o tym pamiętasz! - wybuchnęła Ewa. - Zazwyczaj całkiem cię ona nie obchodzi! Biedna mała! Traktujesz ją jak zabawkę, jak... jak tresowaną małpkę! Potrzebna ci jest tylko po to, żeby deklamowała wierszyki, kiedy przyjdzie twój dyrektor!

- A tobie nie jest potrzebna wcale! Nawet do wierszyków! - wrzasnął rozżalony małżonek. - Obcym ją oddajesz, bo ci przeszkadza! Całymi dniami nie ma jej w domu! Co to za dom zresztą! To nie dom, tylko wystawa mebli! Nic dziwnego, że dziecko wolało uciec! Ja też co dzień uciekam!

I tak dalej, i tak dalej. Drogę na ulicę Roosevelta małżonkowie przebyli w szybkim tempie, kłócąc się bez przerwy i obsypując oskarżeniami, a także zarzucając sobie nawzajem zupełny egoizm. Jak to bywa w sytuacjach, gdy sumienie doskwiera, woleli niepokój z tym związany oddalić i zagłuszyć, przerzucając winę na drugą osobę.

Na szczęście droga nie była zbyt długa i nie zdążyli pokłócić się na dobre. Stanęli przed ozdobną bramą kamienicy numer pięć i spór urwał się samoczynnie, ponieważ Eugeniusz Jedwabiński chciał się dowiedzieć, do kogo Ewa idzie i czy nie zwaśniowała przypadkiem, nachodząc ludzi po nocy.

- Ona tu musi być! - oświadczyła gorączkowo Ewa. - I nie mnie nie obchodzi, czy ci ludzie śpią, czy nie! Ja szukam mojego dziecka!

To powiedziawszy, wdarła się do bramy, zapaliła światło i przestudiowała listę lokatorów, bez trudu odnajdując numer mieszkania państwa Lewandowskich. Pobiegła korytarzem sutereny i znalazłszy się przed właściwymi drzwiami, nacisnęła guzik dzwonka. Nacisnęła raz, drugi i trzeci. Nikt nie otwierał, Ewa zadzwoniła raz jeszcze, mocno i długo, powodując serię psykań ze strony Eugeniusza, potem - wobec braku reakcji za drzwiami - wyobraziła sobie, że podli członkowie rodziny Lewandowskich

przytali się gdzieś w mroku, ukrywając jej biedne dziecko, i udają tylko, że nie słyszą, jak ona się dobija - więc załomotała pięścią do drzwi, wtedy doczekała się reakcji. Za drzwiami męski głos powiedział:

- Idę, idę! - ktoś zaczęła pantoflami, szczęknęła zasuwka, drzwi uchylono, pozostawiając zabezpieczający je łańcuch.

W szparze ukazał się czarniawy wąsacz o gołym torsie, nakrytym kurtką od piżamy. Oblicze jego było nasepione, a spojrzenie niechętne i czujne. Zlustrował parę natrętów, dokonawszy zaś wstępnej oceny, odprężył się nieznacznie i spytał głosem burkliwym, o co chodzi.

Był zagniewany, twarz miał skrzywioną, mrużył oczy od światła bijącego z gołej żarówki na korytarzu. Wyglądał na typowego mieszkańca sutereny i jako taki wyraźnie nie spodobał się Ewie.

- Nazywam się Jedwabińska - powiedziała znacząco.

- No, to co? - spojrzał z niechęcią mieszkaniec sutereny.

- Nic to panu nie mówi?

- Kompletnie.

- A zna pan Geniusię?

- Znam.

- To jest moja córka Aurelia! - krzyknęła dramatycznie Ewa.

- Gdzie? - przeląkł się wąsaty. - Nic nie rozumiem.

- Czy ona jest tutaj?

Długo jeszcze mogliby się tak porozumiewać, gdyby nie pani Lewandowska. Wyszła ona cicho z głębi mieszkania - tęga, postawna, odziana w ciepły niebieski szlafrok flanelowy, przerzucając przez ramię luźno spleciony szpakowaty warkocz.

- Co tu się dzieje? - spytała, podchodząc do drzwi i odpinając łańcuch. - Sławuś, nie krzycz tak, bo ojca obudzisz.

- To nie ja krzyczę - rzekł Sławuś posępnym barytonem. Pani Lewandowska dostrzegła parę nocnych gości na progu i lekki błysk rozpoznania mignął w jej wzroku.

- To pani... - powiedziała. - Stało się coś?

- Moja córka... zaginęła - wykrztusiła Ewa. - Czy... czy może jest ona tu, u państwa?

Pani Marta zaniepokoiła się.

- Zaginęła?!... Nie, tu jej nie ma. Nie widziałam jej już więcej, od tego naszego spotkania. - Popatrzała w błędne oczy Ewy w strapioną twarz jej małżonka i zdecydowała krótko: Proszę wejść. Może razem coś wymyślimy. Sławuś, ty wracaj do łóżka wstajesz o piątej.

Skinieniem dłoni, majestatycznym jak u władczyni, uciszyła Eugeniusza Jedwabińskiego, który począł się sumitować, że godzina tak późna, ale niepokój o dziecko przygnał ich tu, nieprawdaz. Już otworzyła drzwi w głębi przedpokoju i gestem zaprosiła Jedwabieskich do środka.

Początek rozmowy był trudny. Jedwabińscy sztywno siedzieli w wysokich twardej krzesłach przy wielkim pustym stole z nicianą serwetką i wazonem, rozgiąć dali się ukradkiem po meblach, obrazkach i ścianach jadalni i nie bardzo wiedzieli, co oni tu właściwie robią. Pani Marcie zaś niełatwo było zaczynać od pytań, z konieczności niedyskretnych. Toteż westchnęła raz i drugi, splotła ręce na powierzchni stołu i powiedziała:

- Więc Geniusia zaginęła...

- Aurelia - sprostował odruchowo pan Jedwabiński.

- No, tak, ja wiem, ale nam mówiła, że się nazywa Genowefa Lompke...

- Jak?!... - krzyknęli jednocześnie małżonkowie.

- No... Lompke. Też mi się zdawało, że nazwisko jakieś dziwaczne. Zdziwiłam się, że dziecko takie dobrze ubrane, a prosi o obiad...

Urwała, bo Ewa aż podskoczyła na krześle. Eugeniusz Jedwabiński osłupiał.

- Prosiła o obiad? Aurelia?

- No, tak, nic wielkiego, pewnie była akurat głodna... - tłumaczyła skonsternowana pani Lewandowska.

- Aurelia nigdy nie jest głodna - oświadczył pan Jedwabiński. - Nigdy. Trzeba ją po prostu zmuszać do jedzenia.

- A to czemu? - zdziwiła się pani Marta. - Dziecko zdrowe i szczęśliwe zawsze ma apetyt. Geniusia najbardziej u nas wsuwa te kluski z kartofli. Ale jadła! Aż miło było patrzeć.

- Kluski!...

- Przy tych kluskach akurat spytałam ją o rodziców. A ona na to: „umarli na bronchit” - pani Lewandowska śmiała się, aż jej się plecy zatrzęsły, ale widząc poruszenie swych gości, spoważniała i zamrugła przepraszająco.

Ewa i Eugeniusz spojrzeli odruchowo po sobie, po czym natychmiast - Jakby doznali oparzenia - odwrócili gwałtownie głowy. Zrobiło się cicho i ta cisza aż dzwoniła w uszach. Słysząc było, jak tyka budzik w sypialni za ścianą, jak tamże pochrapuje głośno pan Lewandowski, jak kapie woda z kranu w kuchni. Ewa Jedwabińska nerwowo postukiwała paznokciami o blat stołu.

- Nie stukaj, moja droga - chłodno zwrócił Jej uwagę mąż. - Lepiej się zastanówmy, gdzie teraz może być Aurelia.

- A dzwonił państwo do... - doznała natchnienia pani Marta.

- Wszędzie - machnęła ręką Ewa. - Wszędzie dzwoniłam - podniosła wzrok. - Pani wspomniała o jakiejś Idzie. Czy Aurelia też tam chodziła... na obiady?...

- Ja naprawdę nie rozumiem, o jakich obiadach tu mowa - wtrącił zdenerwowany pan Jedwabiński. - O ile wiem, dziecko miało jadać u pani Lisieckiej, moja Ewo...

- Daj spokój, Eugeniuszu...

- Nie, no bo chciałbym to zrozumieć...

- Później! Później ci wytłumaczę.

Pojednawczym tonem wtrąciła się teraz pani Marta.

- Pytała pani o Idę, to jest Borejkwona. Córka tego Ignacego Borejki, wie pani... Oni mieszkają na parterze, pod dwójką. Bardzo porządna rodzina.

- Idziemy tam! - zerwała się Ewa.

- Ale chwileczkę... ale przecież nie po nocy... - zaproponował ze wzburzeniem Eugeniusz.

- Zresztą... - wtrąciła się pani Marta - Geniusi może tam nie być. Teraz mi przychodzi do głowy, że będzie raczej u pana Ogorzałki.

- Ogorzałki! No, ciekawe, czego ja się jeszcze dowiem - rzekł złowróżbnie pan Jedwabiński, patrząc z potępieniem na swą żonę.

Ta zapisywała coś w swym pięknym notesie. - OGORZAŁKA - kaligrafowała - BOREJKO, MIESZKANIE NR 2 - zakreśliła pióro, wstała.

- Idziemy!

- Ale faktycznie niech państwo nie chodzą po nocy - wtrąciła pani Marta. - Eugeniusia gdzieś tu musi być, pewnie ją kto przenocował. Przyjdziecie państwo od rana, to mała na pewno gdzieś się tu znajdzie.

Jedwabińscy przyznali po namyśle i sporach, że jest to istotnie najlepsze, co mogą zrobić. Ewa schowała notes i pióro, odczekała aż Eugeniusz wyartykułuje swoje przeprosiny i ucałuje dłoń pani Lewandowskiej - skinęła wyniośle głową i szybkim krokiem opuściła mieszkanie w suterenie.

Budzik zaterkotał jak co dzień i brutalnie wyrwał Kreskę z bardzo słodkiego snu. Ledwie tylko otworzyła oczy, ledwie się podniosła, ledwie ujrzała różowy, świetlisty prostokąt okna na błękitnawym tle ściany - już poczucie bezmiernego szczęścia chlusnęło w nią Jak morska fala. Padła z powrotem na poduszkę i przycisnęła obie ręce do ust, chichocząc z radości.

- Ha! Zakochana z wzajemnością!

Z WZA-JEM-NO-SCIA!!!

Ach, cóż to za niezwykle uczucie, jakby w człowieku krew musowała. Ach, jejku, jakie inne jest życie, jakie inne myślenie, jakie wszystko w ogóle jest inne niż wtedy, gdy chodziła sama po ponurych ulicach udręczona obojętnością Maćka. Ach, jejku, jak lekko się oddycha - i jaki świat stał się nagle piękny, przytulny i swojski!

Ach, Maciek, Maciek!...

Budzik tykał głośno i z nudną pedanterią przesuwiał swoje idiotyczne wskazówki w przód i w przód. Kreska dość długo nie zwracała uwagi na jego monotonne poczynania; podłożywszy ręce pod głowę, leżała sobie z niezmiennym uśmiechem na twarzy i wbijała szczęśliwe spojrzenie w sufit, tak wytrwale, jakby chciała wywiercić w nim otwór. Nagle jednak przeszła ją świadomość, że spóźni się do budy, więc zerwała się, jednym kopnięciem odrzucając kołdrę, i pognęła do łazienki płacząc się w fałdach nocnej koszuli.

Umyła zęby, spojrzała w lustro i aż znieruchomiała na chwilę. Jeszcze nigdy chyba nie wydawała się sobie taka ładna. No, no! Coś podobnego!...

Umyła się, ubrała piorunem w co popadło, wróciła do kuchni, złapała kapuśniaczka, obejrzała go, odłożyła, spakowała rozrzucone książki i zeszyty, uświadamiając sobie przy okazji (Ach, jej! Wpół do ósmej!), że nie odrobiła wczoraj polskiego i historii, i myśląc, że pewnie wleci jej dzisiaj dwójka albo i dwie, ale niech tam, wszystko już jedno, jakież to w końcu ma znaczenie (za-ko-cha-na z wza-jem-no-ścią!), Napila się zimnej wody prosto z kranu, wrzuciła do torby jabłko i już wychodziła, kiedy pośrodku pokoju dziadka przystopował ją widok śpiącej twardo Genowefy. Znów o niej zapomniała. I co teraz?

Czas leciał nieubłaganie, Lelujka już od dłuższej chwili pogwizdywał i pohukiwał pod domem, a tu tymczasem Genowefa twardo spała i nie reagowała wcale ni na poszturchiwania, ni na łagodne namowy. Kreska pomyślała, że na pierwszej lekcji jest historia i że jeśli się spóźni, to wpadnie i natychmiast będzie pytana.

- Geniuusiu, błagam cię, wstawaj! - pociągnęła małą za nogę, ale bardzo ostrożnie; bała się ją przestraszyć jak wczoraj. Jeżeli, może wszystkim, będzie musiała Genowefę uspokajać tak długo jak wczoraj, to spóźni się już na pewno.

Postanowiła zostawić małej kartkę z poleceniem, by udała się do Borejzków zaraz po obudzeniu, ale na myśl o tym, że Genowefa zapewne nie umie jeszcze czytać, schowała długopis do torby. Do licha!

Zatrzasnęła wyjściowe drzwi, zbiegła po schodach, rzuciła, „zaczekaj sekundkę” Lelujce, który już podskoczył ku niej i pytał, co jest grane - i pognąła do bramy sąsiedniej kamienicy. Zadzwoiła do drzwi jak na pożar i już po chwili relacjonowała rozczochranej Gabrysi swój kłopot:

- Genowefa śpi u mnie, przyszła wczoraj i nie chce się obudzić! I ja muszę do budy, i błagam, weź ten klucz i idź tam jak najprędzej, ja się boję, że ona narobi głupstw, i mnie się zdaje, że ona uciekła z domu, adresu nie znam i to jest cholerny kłopot, zajmę się tym po szkole, ale ty jej teraz nie spuszczaaj z oka, dobrze?

Gabrysia, mrugając wolno i z zaskoczeniem, przyjęła klucz, podciągnęła spodnie od rozwleczonej różowej piżamy, ziewnęła i obiecała że zrobi, co będzie w jej mocy.

Kreska pobiegła więc z Lelujką do szkoły, Gabrysia weszła pod zimny prysznic, a o dom dalej Aurelia Jedwabińska spała twardo na tapczanie profesora Dmuchawca -

i taki był stan na godzinę ósmą rano, mniej więcej. Nieco później układ ten się zmienił o tyle, że Gabryśia wylazła wreszcie z łazienki, ubrała się, wzięła klucz Kreski, pieniądze i siatkę na zakupy, i oświadczyła, że wychodzi, zostawiając Pyzę pod opieką mamy.

Zmieniło się również i to, że Aurelia-Genowefa obudziła się, wstała, poszła do kuchni i stwierdziła, iż Kreski nie ma w domu. Domyśliwszy się, że poszła ona do szkoły, dziewczynka spenetrowała ze swobodą wnętrze lodówki, a znalazłszy tam czerstwe kapuśniaczki, nadgryzła jednego, skrzywiła się i postanowiła pójść gdzieś na jakieś lepsze śniadanko.

Zostawiła Pieska w łóżku profesora z całym zaufaniem. Zamierzała bowiem wrócić tu dziś na noc, a w dalszej przyszłości zamieszkać z Kreską na stałe. Złożyła główkę Pieska na poduszce, przykryła go troskliwie kołdrą po szyję i przez chwilę przyglądała się z satysfakcją, jak tak sobie leżał w dziennym świetle jawnie i bezpiecznie, w pełnej okazałości i krasie. Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, wdziała płaszczyk i buty, przystroiła czubek głowy kapelusikiem sztruksowym i wyszła, zatrzaśnięta drzwi.

Do mieszkania Ogorzałków zadzwoniła właśnie w chwili, gdy Gabryśia Borejko wychodziła z domu. I podczas gdy Gabriela kroczyła słoneczną ulicą, ciesząc się, że znów dziś będzie ciepło i Pyzunia pojedzie na spacer do parku, Genowefa ponowiła swój alarm i doczekała się wreszcie, że Maciek otworzył jej drzwi. Ubrany był tylko w majtki tenisowe i koszulkę, a na widok Genowefy przejawiał zniecierpliwienie.

- O, to ty - powiedział, wymachując skarpetką. - Słuchaj, mała, bardzo się spieszę. Zaspiałem jak cholera. Idę na ósmą czterdzieści pięć, a jest dwadzieścia po, więc rozumiesz.

- Nie.

- Boże, no wchodź, trudno. Ale ja się będę mył i ubierał.

- I bardzo dobrze - powiedziała Genowefa. - A ja ci szybciotko zrobię śniadanie, tylko zapal gaz pod czajnikiem.

Wyjęła chleb z pojemnika, nabiał z lodówki i kubeczki z kredensu. Podśpiwując, zabrała się do ochoczej pracy, podjadając sobie ze smakiem to tego, to owego.

W tym samym czasie Gabryśia Borejko otwierała drzwi mieszkania Kreski. Oczywiście było ono puste, w łóżku profesora wylegiwał się wyłącznie piesek o brudnych kudełkach i szklistych oczkach kretyna, w kuchni też nikogo nie było, podobnie

w łazience. Nie było też żadnego okrycia wierzchniego Genowefy, co skłoniło Gabriele do konkluzji, że dziewczynka wyszła. Gabrysia siarczyście zaklęła, palnęła się w czoło i zaczęła myśleć, co by ona sama zrobiła, będąc na miejscu małej uciekinierki. Poszłaby do jakiegoś zaprzyjaźnionego domu, naturalnie. Dzieciak jest na pewno u Lewandowskich albo u Ogorzałków. Albo i w jej, Gabrysinym, domu.

Uspokojona Gabrysia opuściła mieszkanie profesora, obiecując sobie, że dla pewności wleci tu jeszcze wracając z zakupów. Wybierała się również na pocztę, żeby stamtąd nadać telegram do Australii.

W tej samej chwili, gdy Gabrysia zbiegała po schodach, Maciek Ogorzałka, umyty, uczesany i głodny, wychynął ze swojej łazienki i powiedział: „ach, ach!” na widok starannie, acz niewprawnie, przygotowanego śniadania. Genowefa, siedząca triumfalnie za kuchennym stołem, zrobiła wspaniałą ekspozycję stomatologiczną i chlusnęła Maćkowi kwaśnego mleka do herbaty.

- Spróbuj tego sera - poradziła życzliwie. - Pycha, mówię ci.

Maciek usiadł, wziął nóż, ukroił kawał białego sera i zagapił się w ścianę, uśmiechając się tęsknie.

- A ja dziś spałam u Kreski! - pochwaliła się Genowefa, wierząc się na kuchennym stolku.

Maciek spojrzał na nią zazdrośnie.

- Taaa?

Kiwnęła głową, uszczęśliwiona.

- Ja już chyba u niej zostanę. Na zawsze.

Maciek nie był zachwycony tą decyzją.

- No, no - mruknął. - I czemuż to?

- Bo ja Kreskę kocham - wyznała Genowefa.

- Ja też, cholera jasna psiakrew - powiedział Maciek patrząc prosto w ścianę.

- Taaa? - ucieszyła się Genowefa. - To fajnie. Mogę jej to powiedzieć.

- Nie!!! - przeraził się Maciek. - Nie pozwalam! Jak to zrobisz, to ci naprawdę przyleję! To... to tajemnica.

- Do kiedy? - chciała wiedzieć Genowefa.

- Co do kiedy, co do kiedy, może na zawsze. Ona nie kocha mnie, wiesz?

- Kreska wszystkich kocha - z przekonaniem odparła Genowefa.

- Głupek z ciebie, Geniusiu. Tak jak wszystkich, to może mnie i kocha. Ale ja tak nie chcę. Zresztą, po co ja gadam z tobą, ty i tak nic nie zrozumiesz. A ja się spóźnię - spojrzął na zegarek. - O rany, szlag by trafił, muszę w tej chwili lecieć. - Wstał, coś mu się przypomniało i spytał: - A pamiętasz, jak byliśmy w Operze?

- Z Matyldą, no - przytwierdziła Genowefa, wzniecając w Maćku szczerą irytację.

- Nie z Matyldą, a z Kreską! - krzyknął. - Ja przyszedłem z Kreską!

- Ale wyszedłeś z Matyldą - niewinnie przypomniła mu Genowefa. - Z Kreską ja wyszłam, ja! Taka była smutna wtedy...

- Tak - rzekł Maciej Ogorzałka, kiwając posępnie głową. Jaki to człowiek czasami jest ślepy. Ile bym dał, żeby można było zawrócić czas. Albo, żeby... - tu urwał, bo myśl jakaś przyszła mu do głowy. - Mała - powiedział. - A nie wybralibyśmy się znów do Opery - ty, ja i Kreska?

- Cudownie! O! Cudownie! - wrzasnęła Genowefa, rozbłyskując czystym szczęściem. - A czy znów będzie ten miły Robaczek?

- Robaczek? Może będzie... na pewno zresztą. Będzie robaczków, ile chcesz - kusił Maciek. - Słuchaj, to ja kupię bilety i i tego... ponieważ Kreska trochę się na mnie gniewa, ty ją zaprosisz do tej Opery. Zgoda? Nie powiesz, że ja też będę. Tylko spotkamy się już tam, na widowni. To będzie taka niespodzianka, dobrze?

- Ojejku, no pewnie! - zapiała Genowefa, rozplywając się ze szczęścia. - Kupuj szybko, ja go znów poklepię!

- Proszę? - nie zrozumiał Maciej. - Zresztą, nieważne, umowa stoi. Zaraz po szkole kupuję bilety, wszystko jedno na co, na jakiś najbliższy możliwy spektakl. Przyjdź tu po południu, zgoda? Dam ci dwa bilety i ty ją zaprosisz. Tylko pamiętaj!!! Powiesz, że sama kupiłaś. W porządku?

- W porządku!!!

- No, to teraz idziemy - Maciek łyknął sera, ugryzł chleba, wypił herbaty z kwaśnym mlekiem i omal jej nie wypluł na stół. - Ubieraj się, mam jeszcze tylko dziesięć minut, cholera jasna psiakrew.

Genowefa udała się z Maćkiem do szkoły - to znaczy, on popędził w tamtą stronę, a ona go tylko odprowadzała dla przyjemności. Podczas zaś, gdy oboje kłusowali przez poranną ulicę Dąbrowskiego, Ewa Jedwabińska stała pod drzwiami Borejków, dzwoniąc bezskutecznie po raz czwarty. Nikt jej nie otwierał, ponieważ pani Borejkowa już kwadrans temu ubrała rozbrykaną wnuczkę w kombinezonik ze zrzutów i wyjechała z nią na spacer, żeby nie zwariować.

Zdesperowana Ewa zbiegła więc do sutereny, by z kolei poszukać Aurelii pod drugim wskazanym adresem, to jest u Ogorzałków. Ale oczywiście i tam nikogo nie zastała, toteż przeklęła w duchu pomysł Eugeniusza, który radził najpierw, nim zaczął biegać po ludziach, raz jeszcze sprawdzić, czy Aurelii nie ma u Lisieckich. Pomysł ten był o tyle idiotyczny, że oczywiście Aurelii tam nie było, natomiast pani Lisiecka kazała sobie długo wszystko opowiadać udając, że nie widzi w tym, co zaszło, żadnej swojej winy i twierdząc bezczelnie, że to nie ona wychowała Aurelię na wstrętnego kłamczucha. Rozmowa przeciągnęła się, nie dała nic poza obustronnym zdenerwowaniem i spowodowała oczywiście to jedynie, że wszyscy potrzebni Ewie ludzie po prostu powychodzili z domów.

Tylko pani Lewandowska nie wyszła. Otworzyła już po pierwszym dzwonku, uśmiechnęła się życzliwie na widok Ewy i zapytała, co z Genusią.

- Jeszcze jej nie znalazłam - jęknęła Ewa, osuwając się na pierwszy lepszy stołeczek w kuchni, dokąd ją wprowadzono.

- No, jak to? - usłyszała w odpowiedzi. - Przecież ja ją widziałam przez okno, przykucnęła i zajrzała tu, do kuchni. Potem chyba słyszałam jej głos przez ścianę, od Ogorzałków... - Ewa aż osłabła z ulgi.

- A więc żyje!...

- O Jezusie, no chyba, że żyje! Mówiłam przecież, że dziecku nic się nie stanie, jak tu do nas trafi. W naszej kamienicy mieszkają sami porządni ludzie, kochana. Nawet ci Nowaccy nagle się okazali w porządku.

- Ale gdzie? - krzyknęła Ewa. - Gdzie ona teraz jest?! Co to za dziecko niedobre. Ani pomyśli o tym, co rodzice przeżywają. Nie spałam całą noc! No, gdzie ona może być, jeśli nikt nie otwiera ani u Borejków, ani u Ogorzałków?

- Może wróciła tymczasem do domu - zasugerowała ostrożnie Pani Lewandowska, wzniecając w Ewie nowe nadzieje.

- Może! - zerwała się ze stołka. - Lecę! W domu jest mój mąż, przynajmniej czegoś się dowiem. A jeśli jej nie ma, to szybko tu wrócę. Proszę pani... gdyby ona pojawiła się w tym czasie...

- Nie bój się, dziecko, na pewno ją zatrzymam – powiedziała pani Marta serdecznie.

- Dziękuję - sztywno powiedziała Ewa. Nie przepadała za tym, żeby ją kto tykał.

- Patrzę tak i myślę - przemówiła nagle pani Lewandowska. - Ze ty ani razu jeszcze nie spytałaś: dlaczego uciekła. To znaczy, że ty wiesz dlaczego. Coś ty jej zrobiła? Przecież ten dzieciak -wciąż od ciebie ucieka, dzień w dzień.

- Nic nic zrobiłam! - krzyknęła Ewa z oburzeniem. - Nie prawda, że ona ode mnie ucieka! Nieprawda! Ona wie że ja ja Kocham! Ja tylko... ja tylko nie umiem tego okazać!... Ale...

- Trele-morele - burknęła pani Lewandowska prawie ze złością. - Okazać nie umie. Też coś. Jak nie umiesz, to się naucz i to szybko. - Urwała i spojrzała na Ewę, która była purpurowa i naburmuszona. - Dobrze, leć no teraz do Ogorzałków. Może Maciek już jest. I słuchaj...

Ewa odwróciła się już od drzwi.

- Jakby przyszła sama to nie krzycz, tylko przygarnij i pocałuj - przykazała pani Lewandowska. - Niech dzieciak wie że wrócił do domu.

Gabrysia była ostatnia w długiej kolejce przed okienkiem telegrafu. Stała sobie i raz jeszcze sprawdzała, ile ostatecznie wyszło jej słów. Kondensując tekst i poddając go nieprawdopodobnym wygibasom i przerzutkom stylistycznym, zdołała wyprodukować stosunkowo zwięzły komunikat o stanie swoich uczuć i pogłędzie na powrót Pyziaka. Słów było dwadzieścia siedem, co po uwzględnieniu obowiązującej taryfy dawało sumę... chwileczkę. chwileczkę... Gabrysia przemnożyła cyfry na odwrocie blankietu. Wyszło jej tysiąc siedemset osiemdziesiąt dwa złote, mniej więcej jedna trzecia tego, co w najlepszym razie potrafiła zarobić w ciągu miesiąca, wykonując tłumaczenia z łaciny i greki starożytnej.

- Ożeż jasna cholera - powiedziała na cały głos i zaczęła wykreślać z telegramu, co się dało.

- Co panią tak irytuje? - spytał uprzejmie Piotr Ogorzałka który wszedłszy przed chwilą z ulicy ujrzał się w sytuacji alternatywnej. Miał bowiem do wyboru: albo wiać, gdzie pieprz rośnie albo stawić czoło niebezpieczeństwu utajonemu w osobie pyskatej sąsiadki z parteru. Wybrał wyjście godne mężczyzny, to znaczy - śmiało podszedł do Gabrieli i zaczął rozmowę.

Gabrysia podniosła na niego roztargnione spojrzenie i mruknęła bez entuzjazmu:

- A, cześć. Co mnie irytuje? W tej chwili ceny. Wysłałam telegram do męża i właściwie to mnie na to nie stać.

- A co, Stało się coś? - uprzejmie zainteresował się Piotr.

- O tyle, o ile - powiedziała Gabrysia, wykreślając trzy słowa z telegramu. - On wraca!

- A!... - rzekł Piotr. - Właściwie to nawet lepiej.

- Proszę?!...

- Nie, nic. Nic. Chciałem powiedzieć, że to bardzo dobrze.

- Ja myślę! - krzyknęła radośnie Gabriela, przyciągając momentalnie spojrzenia wszystkich, zdumionych tym nagłym wyznaniem współobywateli.

Kolejka przesunęła się o parę centymetrów. Pan Piotr chrząknął.

- Myślałem trochę o naszej ostatniej rozmowie – przemówił nagle. Gabrysia nie mogła sobie takowej przypomnieć. Spory, dyskusje i rozmowy były bowiem dla niej chlebem powszednim.

- Wtedy, kiedy pani... kiedy przyszaś do nas po drucik - przypomniał Piotr. - Ze trzy tygodnie temu.

- A! Po drucik. Ciekawe, ale nie pamiętam, o czym wtedy mówiliśmy.

- A ja owszem. Przez długi czas potem czułem się zapyziałym świrusem. Tak mnie bowiem nazwałaś na zakończenie rozmowy,

- O. To być nie może - spieszyła się trochę Gabrysia.

- Ależ tak. Otóż, chciałem wyjaśnić... bo ta twoja konkluzja i lekceważenie w niej zawarte...

- Nie było go tam!... chyba.

- Było - stanowczo rzekł Piotr. - Więc chciałem wyjaśnić, że zasadniczo przyznaję ci rację, jestem tylko człowiekiem doświadczonym przez życie i dlatego - pesymistą.

- Każdy jest doświadczony przez życie. Ja również - oświadczyła Gabriela. - Ale to nie może automatycznie oznaczać pesymizmu. Pesymizm jest - wybaczyć, stary - słabością ludzi małodusznych.

- Cholera - uniósł się Piotr Ogorzałka.—Chyba mam dość.

- Czego?

- Znowu mnie obrażasz. Ja w tym nie gustuję.

- Przepraszam! Przepraszam. Nie miałam zamiaru...

- Miałaś! A ja naprawdę nie jestem człowiekiem małoduszny

- Chętnie wierzę! - oświadczyła Gabriela pojednawczo i nasi zamachała rękami, wlepiając oczy w wielką, zakurzoną szybę dzielącą wnętrze poczty od ulicy Kraszewskiego. Ulicą przeciągał właśnie sznur wojskowych ciężarówek, nie on jednak przywiódł Gabrielę do ekscytacji. Wśród ruchliwego tłumu na chodniku widniał jeden zastanawiające stały punkt: refleksyjne dziecko w kapelusiku sztruksowym naciśniętym na oczy. Stało ono w klasycznej pozie baletowej, na jednej cienkiej nóżce, drugą wznosząc wysoko w tył, ręce zaś rozkładając po bokach. W chwilę później dokonało błyskawicznej zmiany pozycji: skrzyżowało nogi, stanęło na czubkach palców i zamarło, unosząc ręce nad głową jak królowa łabędzi.

- Łap ją! - krzyknęła Gabriela i popchnęła Piotra w stronę wyjścia. - Prędko, bo ja mam kolejkę!

- Kogo? Zaraz, chwileczkę - zirytował się pan Piotr, który nie lubił być popychany do czegokolwiek przez kogokolwiek, a już zwłaszcza przez kobiety.

- Tam, tam stoi dziewczynka, widzisz? Łap ją!

Pan Piotr spojrział.

- Ależ to Genowefa Zombke! - stwierdził flegmatycznie. - Dlaczego miałbym ją łapać? Sama przyjdzie.

- Proszę cię, złap i przyprowadź! Kreska mi kazała jej pilnować, bo ona uciekła z domu.

- Ach, Kreska kazała. To co innego - rzekł Piotr i poszedł łapać Genowefę Zombke.

Przedpołudnie minęło Ewie jak dręczący sen, z którego obudzić się nie sposób. Biegała z Roosevelta na Norwida, zNorwida na Roosevelta, a ilekroć przybiegła na Roosevelta zastawała zamknięte drzwi czyjegoś mieszkania.

U Borejków nie było nikogo przez całe pół dnia (mama Borejkowa znajdowała się bowiem nadal w Parku Przyjaźni i Braterstwa Broni na Cytadeli, Gabriela zaś, doprowadziwszy tam Genowefę i nakarmiwszy Pyzę, oddała tę pierwszą pod opiekę mamy Borejko i poszła do kolejki).

Podobnie było u Ogorzałków (Maciek tkwił w szkole, zaś Piotr po złapaniu Genowefy i po koleżeńskim w duchu rozstaniu z Gabrielą udał się do kooperanta przy ulicy Kościelnej, po odbiór towaru). W mieszkaniu Lewandowskich nie było już nawet pani Marty, która musiała przecież w końcu udać się po zakupy. Tak więc przedpołudnie zleciało na niczym i Aurelia się nie znalazła.

Wyzuta z sił Ewa postanowiła po prostu usiąść w bramie kamienicy numer pięć i czekać, aż się pojawi ktoś z mieszkańców sutereny albo jakiś członek rodziny Borejków, albo sama Aurelia.

Rozłożyła na schodku gazetę, usiadła wyprostowana i nienaganna jak zwykle i siedziała tak przez pierwsze pół godziny. Potem rozbolały ją plecy, więc oparła się ramieniem o tę brudną ścianę. Potem złapał ją skurcz w szyi, oparła więc o ścianę i skroń. A potem chyba - o, zgrozo! - przysnęła w tej bramie, oszołomiona pigułkami, znużona bieganiną po bezsennej nocy - bo znienacka spojrzawszy na zegarek stwierdziła, że wskazówki przesunęły się znacznie i że jest już wpół do dwunastej. Ledwie to spostrzegła, drzwi od ulicy rozwarły się i na schody weszła pani Lewandowska z dwiema pełnymi siatkami.

- Bój się Boga, kobieto! - przelękała się na widok Ewy. - Co ty tu robisz? - postawiła siatki, wysłuchiwała zwięzłego raportu o wydarzeniach, a raczej - o ich braku - chwyciła się za głowę i zabrała Ewę z sobą, do swej ciepłej kuchni, gdzie nie słuchając grzecznościowych i ambicjonalnych protestów Ewy, nakarmiła ją gorącą zupą jarzynową z lanymi kluseczkami.

W dziesięć minut potem Gabriela Borejko powróciła triumfalnie z miasta i zabrała się natychmiast do przyrządzania w szybkowarze pożywnego rosolu z wołowiny.

- Rosół?! - krzyknęła niedowierzająco pani Borejkowa, kiedy około w pół do pierwszej wróciła do domu z długotrwałego, bardzo udanego spaceru, holując śpiącą twardo wnuczkę i śmiertelnie głodną Genowefę. - Jakim cudem?!

- Cuda się zdarzają, utracjuszko - oświadczyła zadowolona ze swej niespodzianki Gabriela. - Sama bym nie uwierzyła. Jak wiesz, spotkałam rano Piotra Ogorzałkę.

- Mówiłaś mi, ale widzę, że nie wszystko. Czy on ci kupił trochę mięsa zamiast róz?

- On mi pożyczył kartkę, matuś moja, kartkę na siedemset gramów wołowiny z kością. Mogę mu oddać, kiedy zechcę, bo oni z Maćkiem już trzeci dzień jedzą rosół, co prawda nie z wołowiny Piotr Ogorzałka w podróży służbowej ubił kurę na szosie. Rzuciła mu się pod koła.

- Biedna.

- Prawdziwa bohaterka. Dzięki niej mamy dziś obiad. Jedno mnie tylko zastanawia: skąd ten sympatyczny starszy pan wiedział że zgubiłaś kartki na mięso?

- Pewnie od ciebie, Gabrysiu.

- A skąd! Mówiliśmy zupełnie o czym innym. Dopiero na pożegnanie on powiada: słyszałem, że zginęły wam kartki, proszę oto moja.

- Dżentelmen starej daty! - wykrzyknęła z podziwem mama Borejko.

- Nowej.

- To ja opowiedziałam o kartkach panu Piotrusiowi - wtrąciła Genowefa, dotąd cichutko siedząca przy kuchennym stole. - Ja zawsze opowiadam wszystkim wszystko o wszystkich.

- Aaaa! - powiedziały chórem mama i Gabriela.

- To milutko. Jesteś naprawdę kochana dziecina - pokiwała głową Gabriela. - Niezależnie jednak od mięsa, przyznać muszę, że Ogorzałka to prawdziwy kumpel.

- Powiem mu to, mogę?! - uradowała się Genowefa.

Zjadła dwa pełne talerze rosółu z makaronem nitki jednojajeczne i poleciała uszczęśliwiać pana Piotrusia. Ledwie Gabriela zdążyła za nią krzyknąć, żeby zaraz wracała, bo przyjdzie Kreska.

Pana Piotrusia nie było jednak w domu (bawił w dalszym ciągu u kooperanta na Kościelnej, gdzie wynikły nieoczekiwane trudności z rozliczeniem partii obróżek metalowych dla psów). Toteż Genowefa odeszła z niczym od drzwi w suterenie. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie wpaść do państwa Lewandowskich, ale że właściwie była już po obiedzie, uznała, że teraz można by zajrzeć do kochanej Kreseczki.

Jednakże po wyjściu na ulicę spotkała Maćka, który wracał ze szkoły; zamierzał on zaraz po lekcjach udać się do kasy operowej po bilety na cokolwiek, lecz przypomniał sobie po drodze, że jest całkiem bez grosza i teraz oto leciał właśnie do domu, żeby złapać trochę forsy.

- To ja z tobą - zdecydowała się Genowefa.

Wzięli pięćset złotych z szuflady Piotra i popędzili zaraz oboje w stronę Opery - dorodny jasnowłosy dryblas oraz mała, chudziutka brzydulka o szerokim uśmiechu; on sadził przodem, powolnym, równym kłusem, ona zaś plątała mu się pod nogami, zabiegając drogę, podskakując jak piłka i bezustannie gadając.

Na Moście Teatralnym znaleźli się w tej samej chwili, kiedy Ewa Jedwabińska zadzwoniła do drzwi Borejków i nareszcie kogoś zastała. Jeżeli by kto kiedykolwiek uważał, że jest sam na świecie - to dałby tym niewątpliwy dowód braku wyobraźni.

Nikt z nas nie jest sam. Ludzie oddziałują na siebie nawzajem, jakby byli połączeni kręgami tajemniczej energii - a przez każdego z nas przechodzi przynajmniej kilka takich kręgów. Dzięki temu wszystko, co czynimy, każde nasze uzewnętrznione uczucie, a może i myśli - nawet te, którym nie dajemy wyrazu - zyskują nieskończony rezonans. Każdy z nas, nawet nieświadomie, wpływa na innych i staje się ogniwem łańcucha myśli, uczuć, reakcji i wydarzeń mogących zogromnieć wręcz do procesów historycznych.

Tak więc nigdy nie wiesz, czy fakt, żeś rano zachował się podle wobec kolegi w szkole, nie sprawi, iż w południe następnego dnia kto inny dostanie zawału, za tydzień dojdzie do poważnej scysji rodzinnej w miejscowości położonej na drugim krańcu Polski, a po roku jakiś mąż stanu wyda złą decyzję, mogącą zaważyć nawet na losach świata. Bódźce negatywne bowiem wykazują zdumiewającą żywotność, przypominając w tym wirusy lub gronkowca złocistego. Jednym złym czynem prowokujemy zło w innych ludziach, a ono - raz wyzwolone - mnoży się już bez końca.

Cale szczęście, że z dobrem jest tak samo. Dobry czyn, dobre słowo czy myśl powodują pozytywną reakcję w coraz to nowych osobach i mogą przenosić swój ład-

nek dalej i dalej - rosnać w postępie geometrycznym i pomnażać zasób Dobra we Wszechświecie.

Wystarczy sobie to uprzytomnić, by poczuć ciężar tej odpowiedzialności. Bo przecież naprawdę nikt z nas nie jest sam. Wpływamy na siebie nawzajem - i często zdarza się, że przelotne spotkanie, rozmowa, wymiana myśli, złośliwy żarcik nawet _ potrafią wyłobić głęboki ślad w czyjejs pamięci i zaważyć nawet na całym życiu człowieka.

Ewa Jedwabińska usłyszała właśnie szczęknięcie zamka w drzwiach z podniszczoną tabliczką „Borejkowie”. Pisnęły dawno nie oliwione zawiasy. Drzwi otwarto. Na progu stała siwa, drobna kobieta w skromnej sukni. Ponieważ zaś Ewa zawsze zwracała większą uwagę na powierzchowność ludzi i rzeczy niż na ich istotną treść - kobieta ta nie zyskała jej aprobaty. Ewa nie uwierzyłaby zapewne, że rozmowa z tą niepozorną osobą zaważy jakoś na jej życiu.

Zresztą, pani Borejkowa też nie miała o tym pojęcia. Stała na progu, patrzyła na gościa z życzliwym zainteresowaniem, a nie doczekawszy się na razie ni słowa - zaprosiła Ewę do przedpokoju.

- Proszę wejść - powiedziała z uśmiechem i wyciągnęła rękę. Ręka ta była drobna, ale mocna i ciepła, o szorstkiej skórze i trochę pokrzywionych reumatyzmem palcach.

Ewa przyjęła uścisk, konstatując, że jest on dziwnie krzepiący i miły.

- Jestem Jedwabińska - przedstawiła się.- Matka Aurelii... to jest, hm, Genowefy.

Przez twarz pani Borejkowej przeleciał uśmiech.

- Genowefy Pompkę? - upewniła się.

Pompkę!... Ufff. Ewa przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Wtedy jej wzrok padł na półeczkę pod zmatowiałym ze starości lustrem. Leżał tam, niedbale ciśnięty, sztruksowy kapelusik Aurelii.

- Ona tu jest!!! - krzyknęła.

- Nie, wyszła przed chwilą - pogodnie odpowiedziała pani Borejko. I nagle złąkla się: - Co pani... co pani tak zbladła?

Złapała Ewę pod rękę i zaprowadziła ją do najbliższego pokoju, gdzie było chłodno, pusto i przytulnie. Pośrodku panoszył się wielki, rozwichrzony rododendron.

Pod ścianami żyły sobie cicho swym własnym życiem równe rzędy książek, fotografia białej sylwetki z rozpostartymi ramionami zdobiła główną ścianę i czyjeś puste biurko lśniło gładkim, odkurzonym blatem.

- Już dawno chciałam z panią porozmawiać - oświadczyła mama Borejko, sadzając gościa w kulawym fotelu pod rododendronem.

Ewa mogła myśleć tylko o jednym.

- Gdzie jest teraz moja córka? Czy mówiła, dokąd idzie? Może do domu?

- Poszła, zdaje się, do sąsiada. Do pana Ogorzałki. Wróci niedługo.

- Idę tam - zerwała się Ewa, po czym jakaś myśl kazała jej przystanąć. - Przepraszam, czy ona też... chodziła tu... na obiady?

- O, tak! - zaśmiała się pani Borejko. - Apetyt ma, aż miło! Przed chwilą wrębała dwa wielkie talerze rosołu i...

- Rosołu?! - Ewa była tak zdumiona, że już nawet nie usiłowała przeproszać za córkę. - Aurelia nie cierpi rosołu! Nienawidzi! Trzeba ją zmuszać, żeby przełknęła choć łyżkę! Czy może to był jakiś specjalny rosół?...

- Zwykły chudy rosółek.

- Może... jakaś specjalna przyprawa?...

Pani Borejko roześmiała się.

- Może. Przyprawa pana Ogorzałki. Zresztą potem i Gabrysia, moja córka, przyprawiała, i ja. To niezawodna przyprawa. Wszystko z nią smakuje, nawet suche ziemniaki.

- Maggi? - dopytywała się Ewa całkiem już natarczywie, po czym zreflektowała się i pokryła zmieszanie suchym śmieszkiem. - Albo może jakiś narkotyk?

- Może to i narkotyk: trochę serca - śmiała się pani Borejko. - My tu bardzo lubimy Geniusię. To jest, Aurelię. To takie wesołe, ufne, śmiałe dziecko. Taki ma łatwy, serdeczny kontakt z ludźmi.

Ewa aż usta otworzyła ze zdumienia.

- Kto, Aurelia?!

Mama Borejkowa spojrzała uważnie na twarz młodej kobiety. Oprócz zdumienia ujrzała tam i napięcie. A także głęboki, ukryty smutek. Nic nie powiedziała, tylko przechyliła się i poklepała Ewę po ręce. Gest ten był tak zaskakujący, że Ewie ścisnęło

się gardło i łyzy stały w oczach prędeej, niż zdołała pomyśleć, co się dzieje. Przełknęła z wysiłkiem. Zagryzła wargę.

- Nie martw się, mała - powiedziała cicho mama Borejko. - Z bliska widać najgorzej. Czasem trzeba oddalenia, żeby kogoś zobaczyć naprawdę. A czasem własne nieszczęście zasłania widok na bliskiego człowieka. A ty jesteś nieszczęśliwa, prawda? - mówiąc to, pogłaskała Ewę po policzku, jakby pocieszała własną zgnębioną córkę.

Coś się stało z Ewą Jedwabińską. Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. I nagle ze zdumieniem stwierdziła, że płacze. Łzy leciały po jej policzkach, rozmywając precyzyjny makijaż, kapiąc na zamszową kurteczkę i powodując przyływ wilgoci w nosie, a ona siedziała bez ruchu, gęsto tylko mrugając, i usiłowała jakoś się rozeznąć we własnych uczuciach. Ale bez skutku. Mama Borejko stropiła się nieco.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie przypuszczałam, że to aż tak... nie chciałam... - przeszła do okna i wyjrzała na ulicę.

Ewa nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to po raz ostatni zdarzyło się jej tak kompromitujące rozkleić.

- A Aurelia uciekła z domu - wyznała niespodziewanie.

- Wiem - pokiwała głową pani Borejko. - Buntuje się, prawda? Nie chce nawet swojego imienia i nazwiska. Słuchaj, ja... porozmawiam z nią, jak tylko się pojawi. Odprowadzę ją do domu. Napisz tu swój adres.

- Może ją znajdę u tych sąsiadów na dole - wyraziła nadzieję Ewa zwracając kartkę i ołówek.

- Może. Albo u Kreski. To znaczy, u Janki Krechowicz, w sąsiedniej kamienicy. Ona bardzo Jankę kocha. Właściwie, tam siedzi najczęściej - powiedziała pani Borejko i urwała, przerażona, kiedy jej wzrok padł na twarz Ewy.

Jeszcze nigdy nie widziała, żeby coś tak człowiekiem wstrząsnęło.

Maciek pchnął ciężkie drzwi i oboje z Genowefą wkroczyli do zacisznego hallu Opery. Wzbudzając dźwięczne echo w kamiennych płytach posadzki podszli do oświetlonego okienka kasy. Stały tam dwie osoby, a trzecia właśnie weszła i kroczyła teraz ich śladem. Przy kasie okazało się, że trzecią osobą był nie kto inny, jak Lelujka.

- Cześć - burknął, przyglądając się Genowefie i Maćkowi.

- Cześć - odburknął Maciej Ogorzałka.

- Cześć i czołem! Dzień dobry, ach, dzień dobry! - powitała Lelujkę wylewna Genowefa. - Co ty tu robisz? Bo my idziemy z Kreską do Opery!

Lelujka spojrzał spode łba.

- Patrzcie państwo - mruknął. - Akurat miałem ten sam zamiar. Też chciałem iść do Opery. I też z Kreską.

Maciej zmierzył go wzrokiem pełnym antypatii.

- Wiesz co, koleś - rzekł. - Sprawa jest cholernie głupia. Ale raczej wybij sobie z głowy, że pójdziesz jeszcze z Kreską gdziekolwiek.

Powiedziało mu się to ostro, niegrzecznie i zaczepnie - właściwie przygotowany był na to, że niedźwiedź Lelujka ryknie lub machnie na oślepi łapą. Ale nie. Spuścił głowę, westchnął i po dłuższej chwili rzekł:

- No. Ja wiem. Wszystko wiem. Ale możesz się, stary, nie denerwować. Ja z Kreską tylko się przyjaźnię.

Chwila ciszy nabrzmiała znaczeniem.

- Aha - mruknął Maciek. - No, to inna sprawa. Przepraszam.

- Głupstwo - niechętnie odparł Lelujka. - Ja wiem, że ona cię... tego... toleruje. Ale dobrze będzie, żebyś wiedział... że ja osobiście za tobą nie przepadam.

- I nawzajem, stary. I nawzajem.

- I że ja, stary, Kreski nie spuszczę z oka. Jak jej nie będziesz szanował, to ci dam w te rumieńczyki. Skuję ci, stary, ten twój zażywny dziób.

Już od pewnego czasu przy kasie nie było nikogo. Lelujka i Maciek stali twarzą w twarz i rzucali sobie cicho po ostrym zdanku, Genowefa zaś, szalenie zainteresowana rozwojem akcji, ogryzała z przejęcia paznokcie obu rąk.

- No, no, tylko żebym ja tobie czegoś nie skuł, chłopcze!

- Ok-urcze, ale się okropnie boję.

- Nie myśl sobie, że ja się boję. Więc tylko mi tu bez pogrózek, cholera jasna psiakrew!

I tak dalej, w tym duchu. To Lelujka był tym, który pierwszy oprzytomniał.

- Proszę uprzejmie, kasa czeka - rzekł posępnie. - Kupuj bileciki, a ja sobie idę. Przyjemnego odbioru. Przyjemnego wieczoru. Czółko. - Już odchodził - wielki i zwali-

sty - kołysząc się na boki i garbiąc się jak człowiek pokonany, kiedy Maćka ukąsiło sumienie.

- Ej! - krzyknął, aż echo poszło po marmurowym wnętrzu. Lelujka się zatrzymała. Maciek podszedł.

- Faktycznie, nie przepadam za tobą - powiedział. - Ale cię szanuję. Daj łapę czy coś.

Uścisnęli sobie ręce.

- I tego. Dziękuję - burknął Maciek.

- Nie ma za co - burknął Lelujka. I odszedł. Ale już się nie garbił.

Kreska wróciła ze szkoły w tym samym wciąż promiennym nastroju, czując się tak, jakby płynęła ze dwa metry nad ziemią na różanej chmurce. Nie zauważyła, kiedy znalazła się na swoim czwartym piętrze. Nie pamiętała, czy i kiedy sforsowała schody - nagle po prostu oprzytomniała w korytarzu przed lustrem i stwierdziła, że widzi w nim bardzo przystojną osobę, która ma oczy zielone i szczęśliwe, policzki różowe i czerwone usta, i że nawet rzęsy jakby jej urosły od wczoraj. Wcale nie była głodna, tylko okropnie chciało się jej pić. Pochłonęła trzy szklanki zimnej wody i zaczęła chodzić po kuchni w tę i z powrotem, objając się o twarde kanty kredensu i zupełnie nie odczuwając bólu, ale nagle coś ją ugodziło od wewnątrz, w samo serce, i Kreska aż przystanęła, tracąc oddech.

O, idiotko. A co, jeśli ten chłopak, który wpadł na Gabrysię na schodach, to wcale nie był Maciek? A co, jeśli wszystko, co zaszło, ona, Kreska, tłumaczy sobie po swojemu i fałszywie? Co za okropna kompromitacja. Przecież już raz tak się nabrała. Wtedy, z tą Operą. Wymyśliła sobie, ubzdurała, wmówiła. A co, jeśli tym razem jest tak samo? Bo cóż on właściwie zrobił? Cmoknął ją w czoło, jak starszy brat. A co takiego powiedział? Powiedział: „Głuptasie”.

Rzeczywiście, jest z czego budować sobie piramidę w wyobraźni. Kreska usiadła na kozetce, załamała ręce i przez pół godziny nieustannie myślała na ten sam temat. Wyszło jej, że jest potwornie zarozumiała i ślepa. Kiedy Genowefa weszła w progi mieszkania, Kreska była właściwie na dnie depresji: leżąc na kanapce z twarzą wtuloną w pluszowe wezłowie, ronila ciche a beznadziejne łzy i nawet nie podniosła głowy, kiedy usłyszała optymistyczne, rześkie:

- Cześć i czołem!

- Ehem - jęknęła tylko.

- Co, jesteś chora? - troskliwie zainteresowała się Genowefa. - To na pewno z głodu. Jadłaś już obiad? Ja jadłam u Gabrysia dobry, ale mało. Właściwie to jeszcze bym zjadła jakieś drugie danie.

Kreska nie uchwyciła aluzji, więc Genowefa postanowiła wyrazić się ściślej:

- Jakbyś miała jajko, to ja usmażę - zaofiarowała się ochoczo. - Mogłam zjeść u Gabrysia mięso, ale oni sami mają mało. Pan Piotruś im pożyczył kartkę na siedemset gramów...

- Oooo - zajęczała Kreska, więc Genowefa przerwała ploteczki i usiadła na krawędzi kanapy.

- Boli cię coś? - spytała z lękiem. - To by było niedobrze. Nie mogłabyś iść do Opery.

- He? - Kreska nagle podniosła znad wezłowania twarz zalaną łzami.

- Do Opery, mówię. Mam bilety.

Kreska usiadła, jak podciągnięta potężną sprężyną.

- Bilety?

- Tak. Na dzisiaj. Dwa bilety mam. Trzeci ma - yh! - ten... tego, o Jezus. Musimy się pospieszyć, bo to jest po południu, nie wieczorem. Przedstawienie dla dzieci. „Dziadek do orzechów”.

Kreska milczała, z napięciem patrząc w usta Genowefy, jakby oczekiwała, że lada chwila wyfrunie z nich ptaszek. No i wyfrunął. Genowefa, z lekka zdetonowana nieruchomym spojrzeniem Kreski, zaczęła mówić szybko i nerwowo, zaplatając paluszki i oblizując co chwila wargi różowym jęczyzkiem.

- Mmmm... więc to jest o... mmm... zaraz, o której? O wpół do szóstej chyba. Jest napisane na bilecie. Maciek powiedział, że jakbym zapomniała, to mam ci tylko pokazać bilet i ty już będziesz wiedziała, o której... co tak patrzysz?

- Boże - powiedziała Kreska słabym głosem. - O Boże. Ja tego nie zniosę... ja chyba... zemdleję.

Ale wbrew zapowiedzi nie zemdląła, tylko zerwała się na równe nogi, zapiszczała, przycisnęła ręce do policzków i zaczęła się śmiać jakby jej odebrało rozum.

Tak więc sprawa była już jasna. To Maciek kupił bilety. Kreska wiedziała, że jego myśli szły tym samym torem, co jej myśli. To samo więc musiało dotyczyć jego uczuć. Intuicyjnie wiedziała też, wcale się nad tym nie zastanawiając, czego on po niej oczekuje i czego się spodziewa po dzisiejszym wieczorze. Odgadła, że chciałby dziś wieczorem cofnąć czas. Toteż o godzinie siedemnastej dwadzieścia pięć znalazła się z Genowefą w hallu Opery i stanęła pod popiersiem Moniuszki, tak jak wtedy.

Tak jak wtedy, Maciek przyszedł zaraz po niej i odszukał ją wzrokiem wśród tłumu obcych ludzi. Spojrzeli sobie w oczy z dwóch krańców hallu - i oto wydarzyła się rzecz dziwna, bo oboje przestali widzieć cokolwiek poza sobą nawzajem. Maciek podszedł całkiem blisko i powiedział głosem zachrypłym z emocji:

- Dzień dobry.

A Kreska odpowiedziała:

- Chodźmy - tak jak wtedy.

Zabrali podskakującą Genowefę i weszli wszyscy razem do ciepłego, lśniącego licznymi światłami westybulu. Jak wtedy, zatrzymali się przy szatni i Kreska zdjęła płaszcz. Podała go szatniarce i stanęła spokojnie w swojej zielonej, farbowanej sukience i starych bucikach, czekając, aż Maciek na nią spojrzy.

Maciek spojrzał. Usta mu drgnęły i wziął ją za rękę.

- Dzwonek jest! - zwróciła im uwagę Genowefa, która do tej pory oglądała sobie z fascynacją krtań i górne drogi oddechowe w kryształowym zwierciadle ściennym. - Chodźmy już, bo się spóźnimy.

Ale oni jej nie słyszeli. Stali i patrzeli sobie w oczy z takim napięciem, że nic wokół dla nich nie istniało. Jakby ktoś pstryknięciem wyłączył cały świat wokół, zostawiając tylko wąski snop światła zalewający ich dwoje.

- Chodźcie! - nudziła Genowefa, bliska płaczu. - No, bo nie zdążymy - ja muszę zobaczyć, jak on się będzie kłaniał!

- Ślicznie wyglądasz - powiedział Maciek do Kreski i ujął drugą jej rękę. - W ogóle jesteś śliczna. Ale w tej sukience wyglądasz najpiękniej ze wszystkich dziewczyn w tym mieście. Co mówię, w tym kraju. Na tym świecie.

Kreska zaczerwieniła się z radości i oświadczyła:

- Bardzo chciałam, żebyś to zauważył.

- To ja idę sama - zdenerwowała się Genowefa, ale na szczęście oni już podzieli sobie wszystko, co powiedzieć było trzeba, żeby cofnąć czas i odczarować to miejsce koło szatni. Teraz więc mogli wejść na salę, żeby się zająć intensywnym odczarowywaniem pierwszego rzędu.

Miejsca były te same, ten sam kryształowy żyrandol rzucał wspaniałe blaski na wypełnioną widownię, ten sam czerwony plusz pokrywał się tym samym kurzem, te same kinkiety zgasyły na zdobnych złoceniach ścianach bocznych - i dwie tylko rzeczy były inne niż wtedy. Po pierwsze: na tamtym miejscu, gdzie wtedy siedziała Matylda, rozpiął się teraz gruby chłopczyk w marynarskim ubranku i podkolanówkach. Po drugie zaś - niestety, ku bezdennemu rozczarowaniu Genowefy, dyrygent miał włosy aż do ramion i na domiar złego był kobietą.

- Odprowadzę cię teraz do domu - powiedziała pani Borejko kiedy Genowefa zjadła już kolację dwie bułki z serem i kiszzonego ogórka.

- Nie! - padła stanowcza odpowiedź.

Pora była wieczorowa i u Borejków paliły się już światła, jak zwykle wszystkie możliwe, bo dziwnie w tej rodzinie nie umiano oszczędzać. Łagodny blask kuchennej lampy z białym abażurem rysował wyraźne cienie na chudej twarzyczce Genowefy, czy raczej Aurelii Jedwabińskiej.

Dziewczynka zacisnęła zęby tak, że na policzkach wystąpiły jej guziołki żuchw i z uporem pokręciła głową:

- Ja idę spać do Kreski - oświadczyła.

- Musisz wracać do domu, Geniusiu - tłumaczyła jej pani Borejko. - Twoja mama była tu dzisiaj, szukała cię wszędzie.

Dziewczynka spojrzała szybko na panią Borejkową i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Ale zaraz zacisnęła je w wąziutką ciasną linijkę.

- Przyszłam tylko po mój kapelusik - powiedziała po dłuższym namyśle. - Idę do Kreski. Będę tam spać. Już zawsze.

Mama Borejkową udała, że nic nie słyszy, zaplotła mocno ręce pod stołem i spokojnie ciągnęła dalej:

- ...była u Ogorzałków i u Lewandowskich. Wreszcie trafiła do mnie. Bardzo płakała.

- Pła... kała?

- Tak. Ona cię kocha, bardzo.

Genowefa nic nie powiedziała, tylko spuściła niżej głowę. Pani Borejkowej ścisnęło się serce.

- Musisz naprawdę szybko, jak najszybciej, do niej wrócić. Czy ty wiesz, jak człowiek cierpi, kiedy straci kogoś kochanego?

- Wiem - powiedziała cicho dziewczynka.

- Ja myślę, że biedna jest ta twoja mamusia - dodała pani Borejkową jeszcze ciszej. - Bardzo cię proszę, chodźmy do niej zaraz.

Milczenie przeciągało się nieznośnie, ale pani Borejko bała się już teraz dodać choć słowo więcej. Aurelia siedziała z opuszczoną głową i gryzła paznokcie. Lśniące czarne włosy skryły jej twarz w głębokim cieniu i mama Borejko dałaby pół życia, żeby się dowiedzieć, o czym to dziecko teraz myśli.

- No, to chodźmy - powiedziała wreszcie powoli Aurelia i wstała z takim trudem, jakby dźwigała na ramionach wielki ciężar. Nagle znieruchomiała.

- A Piesek? - spytała.

Pani Borejko nie zrozumiała, o co jej chodzi, i wykonała tylko bezradny gest ręką - ale Aurelia powzięła już jakąś decyzję.

- Nie wezmę go - powiedziała ze smutkiem. - Niech on sobie tam zostanie. Tam będzie miał dobrze.

Pani Borejkowa powiedziała, że mamusia kocha Aurelię - ale Aurelia nie była o tym całkowicie przekonana. Szczerze mówiąc, im bliżej była domu, tym bardziej oparowywał ją lęk. Już ją zaczynał boleć brzuch, już zaczęła mówić o tym, że chce wracać - tylko że pani Borejkową trzymała ją za rękę i zaraz zaczęła opowiadać coś wesołego. Aurelia najpierw słuchała jednym uchem, potem - ponieważ opowieść zawierała dużo faktów z okresu, gdy Gabrysia była mała i niegrzeczna - poddała się rozbawieniu i kiedy obie znalazły się w windzie - Aurelia już prawie chichotała.

Cały strach opadł ją dopiero przed drzwiami mieszkania. Ale było już za późno. Pani Borejko naciskała dzwonek i całe szczęście, że jednak przez cały czas trzymała rękę Aurelii, bo dziewczynce było jakoś różnie. Drzwi otworzyła mamusia, dziwnie potargana, i aż westchnęła widząc Aurelię. Nie powiedziała ani słowa. I wcale nie krzyczała. Oparła się tylko o ścianę i patrzyła to na córkę, to na panią Borejkową, wreszcie osunęła się na stołeczek, westchnęła i powiedziała:

- No, jesteś. Jesteś. Pocałuj mnie, Aurelio.

Jak zawsze. Ale tym razem Aurelia nie podeszła posłusznie do mamy i nie cmoknęła jej w policzek. Nie. Stała bez ruchu, z uporem spuszczać głowę i czubkiem bucika kopła rytmicznie listwę przy parkiecie.

Pani Borejkowa zaczęła coś wesoło mówić i uratowała sytuację - wszystkie trzy przeszły do pokoju mamy, pani Borejko zachwycała się urządzeniem mieszkania i Aurelia poczuła ulgę, bo uwaga mamy została chwilowo odwrócona. One dwie rozmawiały o tym okropnym czarno-białym obrazie, który wisiał nad tapczanem (w kącie obrazu była plama w kształcie nietoperza i Aurelia zawsze zamykała oczy, kiedy przechodziła przez pokój, żeby tej okropności nie widzieć, żeby się jej nie przyśniła), a tymczasem Aurelia cicho wymknęła się z pokoju i weszła do łazienki. Umyła się, wyczyściła zęby i włożyła piżamę, która wciąż jeszcze - chociaż całe dwa dni już minęły, odkąd Aurelia odeszła - wisiała na haczyku przy drzwiach. Potem zgasła światło w łazience i stanęła w progu pokoju.

- Dobranoc - powiedziała grzecznie.

Odwróciła się i poszła do swojej sypialni, wciąż widząc - jakby kolorowa fotografia przykleiła się jej do oczu - zaskoczone twarze obu kobiet: mamusi i pani Borejkowej. Nie rozumiała, co je tak zaskoczyło. Położyła się do łóżka i leżała tak sobie bez ruchu, szeroko otwierając w ciemnościach suche oczy.

Tymczasem Maciek i Kreska, uwolnieni od absorbującego towarzystwa Genowefy, która kazała odprowadzić się do Borejków - szli trzymając się za ręce. Szli, szli i szli, sami nie wiedząc dokąd, aż - ku swemu zdumieniu - ocknęli się nagle przed bramą szpitala przy Lutyckiej. Wieczór był ciepły, ciemny i pachniał świeżą ziemią. Na horyzoncie, nad dachami dalekich przedmiejskich domków, widniała jeszcze różowa smuga, jak muśnięcie pędzlem akwarelowym. Po drugiej stronie, nad masywem Osiedla Piątkowe, niebo było już czarne i zapalały się na nim pulsujące gwiazdy.

- A gdzie księżyc? - zapytała Kreska, rozglądając się po niebie. - A, jest. Patrz, Maciek, tam na drugim piętrze, trzecie okno od lewej. Oświetlone. Widzisz? Tam jest dziadek.

- Aha.

- Chyba po to tu przyszłam. Żeby mu powiedzieć. Ale jest już po dziewiątej, a w ogóle to chyba bym się wstydziała.

- Hej, Kreska! Wiesz co? To nie jest żaden tombak, pamiętaj. To jest bardzo porządny kruszec, z tego obrączki robią.

Kreska z powagą skinęła głową.

- Tak, Maciek - powiedziała. - Ja też. - I tylko pozornie była to odpowiedź bez związku.

- Więc możemy mu to powiedzieć. Naprawdę nie ma czego się wstydzić.

- O, ja wiem. Ja tylko wstydziłabym się o tym mówić tak... otwarcie. Zresztą, nawet nie trzeba. On i tak zaraz wszystko sam odgadnie. Ale za to napiszę do mamy.

- Albo powiesz jej sama. Już niedługo. Wierzę w to, że niedługo.

- Ja też w to wierzę - powiedziała Kreska.

Północ. Jakiś wielki samolot z ponurym warkotem przeciągnął nisko nad dachami i obudził czujnie śpiącą Aurelię. Nerwowo drgnąwszy pod kołdrą, dziewczynka otworzyła oczy i wpatrzyła się w mroczne okno. Samolot oddalał się z wolna, huk cichł pod chmurami, jakby go tłumiał ten atramentowy mrok.

„Dobrze, że go już nie ma” - pomyślała Aurelia. Dobrze, że przeleciał i nie zrzucił takiej bomby, jak w telewizji. Już całkiem ucichł. Już odleciał na dobre. Chyba już nie wróci. Szkoda, że nie ma Pieska.

Cisza panowała w całym mieszkaniu. Tatuś chyba jeszcze nie wrócił, bo nie słychać chrapania. A mama na pewno już śpi. Nie, nie śpi. Aurelia usiadła na łóżku i z natężeniem wsłuchiwała się w ciemność. Usłyszała płacz. Wstała po cichu, bosy podszła od drzwi, nacisnęła ostrożnie klamkę i wystawiła głowę do przedpokoju. Tak, mama płacze. Jest w swoim pokoju i płacze. Może też się boi. Ta ostatnia myśl była tak zaskakująco nowa, że aż dziewczynką wstrząsnęła. Nie myśląc, co robi, Aurelia przeszła parę kroków i zatrzymała się w otwartych drzwiach pokoju mamusi.

Księżyc świecił tu przez wąską szparę w zasłonie i ściana rozpylonego blasku szła przez cały ciemny pokój. Tylko tapczan mamusi był za światłem, w ciemnym kącie, nic nie było widać, więc Aurelia podeszła zupełnie blisko. Tuż przed sobą zobaczyła w mroku białą płaszczyznę pościeli i ciemną okrągłą plamę głowy; mamusia leżała na brzuchu, twarzą do poduszki, i szlochała tak rozpaczliwie, że aż podskakiwały jej ramiona. Aurelia stała bezradnie, z rękami opuszczonymi wzdłuż piżamki. Czowała, jak bosa stopy ziębną jej od gładkiej, chłodnej podłogi i zupełnie nie wiedziała, co teraz

powinna zrobić. Przykucnęła przy tapczanie i bez słowa dotknęła pleców mamusi. Mama podniosła gwałtownie głowę i zamarła, patrząc poprzez ciemności. Krótki, żalony szloch wyrwał się nagle z jej ust i wtedy Aurelia jedną ręką niezgrabnie objęła głowę mamy - i pocałowała.

- Nie płacz - powiedziała. - No, nie płacz.

Ale mamusia nie przestała płakać. Usiadła na łóżku, chwyciła Aurelię w ramiona i płakała - płakała - płakała, ściskając córkę i całując ją, gdzie popadło. Więc Aurelia też mamę objęła - z całej siły - i przycisnęła głowę do maminej piersi. Mama z wolna się uspokajała, ale nie rozluźniła uścisku i siedziały tak obie, ciasno objęte i przytulone - i żadna z nich już nic nie mówiła. Księżyc świecił coraz mocniej, Aurelia słyszała, jak stuka mamy serce, stuk—stuk-stuk... Było jej dobrze, ciepło i bezpiecznie. I bardzo szybko zasnęła.

Gabriela Borejko też usłyszała ten samolot. Tylko że ona jeszcze nie spała. Siedziała przy kuchennym stole, pod mocno świecącą lampą z białym kloszem, i prasowała nie kończące się koszulki, kaftaniki, bluzeczki, powłoczki oraz prześcieradła.

W całym domu panowała cisza. Wszyscy już spali, nawet Ida, która niedawno wróciła z randki i najpierw długo nuciła w łazience (...”na stepach mołdawiańskich tam, tak cudnie księżyc łśni, cygańskie życie lubię ja, swobodę - daj - didi - dii...”), lejąc hektolitry wody do wanny, a potem wykąpana, w szlafroku i z wypiekami na policzkach przybyła do kuchni, by oznajmić starszej siostrze, że ustalili już ze Sławeczkiem datę ślubu (Wielkanoc) i że - jak tylko się da - pojedą powiedzieć o tym ojcu.

Teraz było cichutko, duży budzik tykał na półce, monotonicznie brzęczała lodówka. Gabrysia odstawiła żelazko, wygładziła wyprasowaną koszulkę Pyzy i złożyła ją starannie na pół - i w tym momencie przeraźliwie zadzwonił telefon w przedpokoju, rozdzierając aksamitną ciszę nocną jak zardzewiały gwóźdź i budząc z całą pewnością Pyzunię.

Gabriela dopadła go wspaniałym susem i błyskawicznie podniosła słuchawkę, zanim zdążył się rozdzwonić po raz drugi.

- Halo? - rzuciła gniewnym szeptem.

- Co pani taka dyskretna? Nic nie słyszę! - zirytowała się telefonistka po drugiej stronie przewodu. - Pani poda swój numer.

Gabriela uczyniła to konsekwentnym półgłosem.

- Głośniej proszę! - zażądała telefonistka dla podkreślenia swego autorytetu.

- A figę - szepnęła groźnie Gabriela. - Tu ludzie śpią, koleżanko. O tej porze w ogóle, powiem pani szczerze, dzwonić nie wypada!

- Sama dobrze wiem, co wypada, a co nie - zdeklarowała się panienka w słuchawce. - Proszę się nie sprzeciwiać, bo nie przeczytam pani telegramu! Ja pracuję, proszę pani, a pani sobie śpi!

- Telegramu?! - krzyknęła Gabriela, zapominając na moment o swym podstawowym zadaniu, jakim było chronienie słodkiego snu Pyzuni przed wszelkimi hałasami i interwencjami z zewnątrz. - Już słucham!

Zataiła dech i z łomocącym sercem wysłuchiwała tego, co Janusz Pyziak, ten marnotrawny mąż - miał jej do powiedzenia jakieś parę godzin temu, po półtorarocznej rozłące:

JUŻ LECEŃ SZYKUJ OBIAD PIEROGI Z GRZYBAMI UWIELBIAM KOCHAM PRZYBYWAM NIEDZIELA RANO OKĘCIE - JANUSZ

Śliczne błyszczące słońce wyskoczyło zza szpitala Raszei jak malinowa kulka i różowym światłem zalało pokoik Aurelii. Dziewczynka jeszcze spała, wciskając rozgrzany policzek w falbanki poduszki - rozczochna jak jeżozwierz, z gołymi nogami wystającymi spod kołdry po przeciwnej stronie. Spała smacznie, ale już niedługo. Wkrótce zadzwonił budzik w pokoju mamy, potem stuknęły drzwi, zapluskiała woda i zawyły rury w łazience. Potem brzęknęły sztucce w wysuwanej szufladzie i zagwizdał czajnik - krótko, ale przeraźliwie.

Dziewczynka podniosła głowę znad poduszki, usiadła i potarła oczy. Ziewnęła sobie smacznie, głośno i szeroko, przeciągnęła się, aż jej kostki chrupnęły - a kiedy opuściła ręce, mamusia już była w pokoju. Uczesana starannie i starannie umalowana stała w progu. Miała na sobie tylko białą koszulkę i beżową spódnicę od kostiumu, w jednej ręce trzymała beżowy sweterek, a w drugiej - fioletową bluzkę z falbankami, której Aurelia nigdy dotąd nie widziała.

- Obudziłaś się już? - spytała mama takim głosem, jakby chciała zapytać o coś zupełnie innego - i nie miała odwagi. Podeszła bliżej, stanęła tuż przy łóżku Aurelii, zawahała się, usiadła bokiem na kołdrze.

Przez chwilę obie milczały. Aurelii chciało się spać, mama zaś wyglądała na onieśmioną.

- Dzień dobry, córeczko - powiedziała wreszcie. Przechyliła się sztywno, pocałowała Aurelię w policzek.

Dziewczynka aż się zachłysnęła z wrażenia. Natychmiast się zerwała, rzuciła mamie na szyję i rozgłośnie obcałowała jej policzki, czoło i nawet nos. Mama była speyszona i wzruszona, mrugała pomalowanymi rzęsami i usta jej drżały. Przytuliła Aurelię jeszcze raz, przyglądała sterczące kosmyki na głowie córki, wreszcie powiedziała:

- Zjemy razem śniadanie, co?

Aurelia odniosła się do tej propozycji z burzliwym entuzjazmem.

- Specjalnie wstałam trochę wcześniej - oznajmiła mama, po czym odkaslnęła i dodała: - Wiesz, wymyśliłam coś miłego... Masz tylu przyjaciół... co niedziela ugotujemy wspaniały obiad i zaprosimy kogoś z nich - panią Borejkową najpierw, potem Lewandowskich, a potem Ogorzałków. I od nowa. Czy to nie dobry pomysł?

- No! I Kreskę! - Kreskę! - przypomniała Aurelia, gwałtownie klękając na kolczy. - Kreska jest naj- najlepsza!

Mamusia zamilkła nagle i spoważniała, i Aurelia złękła się, że znów coś jest nie w porządku, że coś się znów popsuło - ale trwało to tylko chwilę.

- Dobrze. I Kreskę też. I jej dziadka - zgodziła się mama i znowu wszystko było dobrze. Mama spojrzała na fioletową bluzkę i roześmiała się głośno, potem wstała, znów uśmiechnęła się do córki i powiedziała: - Chodź już, chcę zjeść z tobą śniadanie. I wiesz co? Wrócę wcześniej z pracy i ugotuję dla nas obiadek.

Aurelia zaśmiała się, uszczęśliwiona. Obiadek!...

- Mamusiu - powiedziała, promieniejąc. - Dzisiaj jest taki dobry dzień!

- I ważny - dodała mama, przewieszając sweterek przez poręcz krzesła. - No, wstawaj już, wstawaj... ty mój Jeżyku.